



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(56) 2021

Rok XV

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Millennium Bridge i Tamiza - fot. Paweł Litwiński



Millennium Bridge i Tamiza



Gwardia konna przed Whitehall



Herb City of London



Pałac Kensington



Tower



Notting Hill



Londyńskie budki telefoniczne



Piccadilly Circus

Londyn

Londyn i Tamiza, rzeka przepływająca przez miasto, tworzą nierozdzielalną parę: Londyn powstał nad Tamizą, a Tamiza przez wieki była główną arterią i kręgosłupem miasta. Widać to do dzisiaj, od położonej nad rzeką twierdzy Tower of London, po budynki Westminsteru z parlamentem i wieżą zegarową Big Ben i dalej w górę Tamizy aż po pałac Hampton Court. Rzeka do dzisiaj służy celom komunikacyjnym, umożliwia transport towarów i jest wielką atrakcją dla turystów, których wożą niezliczone statki wycieczkowe.

Przyjeżdżając do Londynu na kilka dni, zazwyczaj poruszamy się dość standardową ścieżką. Odwiedzamy Tower, katedrę św. Pawła, opactwo westminsterskie - słowem, podążamy śladem turystów. I nie ma w tym niczego złego - londyński zestaw obowiązkowy jest wart zobaczenia. Miasto można też zwiedzać z rzeki, przepływając pod niezliczonymi mostami i podziwiając krążownik HMS Belfast zacumowany na Tamizie.

A pamiętacie Państwo film *Notting Hill* i księgarnię prowadzoną przez postać graną przez Hugh Granta? Ta księgarnia istniała naprawdę! No dobrze, może nie dokładnie ta - ale taka, która zainspirowała twórców filmu, położona w londyńskiej dzielnicy Notting Hill, pełnej domów o kolorowych fasadach i targów staroci, na których można kupić wszystko.

Londyn jest ogromny i niesamowicie zróżnicowany. Jako stolica dawnego imperium przyciągał - i nadal przyciąga - ludzi z całego świata, tworząc jedyny w swoim rodzaju organizm miejski. Warto go odwiedzić o każdej porze roku, ale warto spróbować trafić na dobrą pogodę - co prawda londyńskiej mgły nam oszczędzono, ale deszczu już nie, a zdecydowanie lepiej spacerować po mieście Sherlocka Holmesa w słońcu.

Słowo redaktora



Nie trzeba być regionalistą lub historykiem, aby z przyjemnością, a nawet dumą przyjąć wiadomość, że nasze miasto obchodzi w 2021 roku 800. rocznicę pierwszej o nim wzmianki w dokumentach historycznych. Podobnie chlubą napawa wiadomość o sprowadzeniu do rodzinnej parafii relikwii błogosławionego Zygmunta Pisarskiego, krasnostawianina, którego kult powoli nabiera jaskrawości. Oba tematy w niniejszym wydaniu zostały starannie opisane przez Lecha Dziedzicę, Zbigniewa Atrasa i ks. Henryka Kapicę.

Dzieje II wojny światowej i losy „Sępa” (Tadeusza Ośko) pierwowzoru filmowego „Pułkownika Kwiatkowskiego” przedstawi Waldemar Seroka, a tragiczne przeżycia wołyńskich osadników Lucjan Cimek, ilustrując artykuł tematycznym wierszem. Obok, ku przypomnieniu wybitnego hetmana znajdziemy obszerny biograficzny poemat Mirosława Iwańczyka poświęcony Stanisławowi Żółkiewskiemu.

Zdawałoby się, że o Augustcie Cieszkowskim wszystko zostało już przez Monikę Nagowską napisane, ale nic bardziej mylnego, bowiem lektura kolejnego materiału pozwala zachwycić się nowymi dokonaniemi pozytywistycznej działalności tego myśliciela ziemi krasnostawskiej, wzbogaconymi ilustracjami zwyczajów tamtej epoki.

Wędrówki historycznymi ścieżkami, jak zazwyczaj, sprowadzają do lektury pasjonującej „prasówki” - kopalni zwięzłych wiadomości pod redakcją niestrudzonego Kazimierza Stoleckiego.

Osobiste wspomnienia stworzyły całkiem pokaźny rozdział interesujących opowieści. Obok autorów publikujących w poprzednich numerach - Józefa Adama Dąbka, Ireny Iwańczyk i Janusza Wanota, pojawili się debiutanci - wśród nich Andrzej Stanisław Adamczuk, z zawodu budowlaniec, który penetruje przeszłość i epizody rodzinnego Jaślikowa, oraz jeden z dwóch polskich pilotów kapitanów jumbo Jęta Marian Rybczyński, chluba Siennicy Różanej, który z młodości w erę opowiada lotnicze przygody.

W dalszej części nie zabraknie pełnej trudów i sukcesów historii klubu sportowego Strat 1944 Krasnystaw pisanej przez Henryka Sieńkę oraz recenzji i wierszy Amelii Pudzińskiej, Małgorzaty Skwarek-Gałęzki, Wojciecha Bielunia i Edwarda Rogalskiego.

Numer jak zazwyczaj zamknie zaskakujący felieton Wiesława Krajewskiego, a na okładkach znalazły swoje miejsce kadry Pawła Litwińskiego z podróży po Europie oraz malarstwo uzdolnionej krasnostawianki Anny Bembenek.

Andrzej David Misiura

<i>Spis treści</i>		<i>Spis treści</i>	
Londyn	1	Andrzejki	54
<i>Paweł Litwiński</i>		<i>Janusz Wanot</i>	
Słowo redaktora	1	Janusz Korczyński	57
<i>Andrzej David Misiura</i>		<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
800 lat Szczekarzewa-Krasnegostawu 1221-2021	3	Jan Kowalski - facet w bryczesach na jawie 250	59
<i>Lech Dziedzic</i>		<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Jak to z „Sępem” było, czyli kim był „Pułkownik Kwiatkowski”	6	Poezja - Wojciech Bieluń-Targosz	61
<i>Waldemar Seroka</i>		Paragraf 33 i unitarka	62
Poezja - Irena Kulik	15	<i>Marian Rybczyński</i>	
Rękopis znaleziony w...Poznaniu. Nowe tropy w życiorysie Augusta Cieszkowskiego - część II	16	Start 1944 Krasnystaw Część X	72
<i>Monika Nagowska</i>		<i>Henryk Sieńko</i>	
Dramat osadników wołyńskich	22	Poezja - Małgorzata T. Skwarek-Gałęska	85
<i>Lucjan Cimek</i>		Dni, w których mocniej biło serce	86
Poezja - Mirosław Iwańczyk	24	<i>Zbigniew Atras</i>	
Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, organu prasowego lubelskiej Narodowej Demokracji w latach 1920-1921	28	Intronizacja relikwii błogosławionego księdza Zygmunta Pisarskiego w kościele Świętego Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie ...	94
<i>Kazimierz Stolecki</i>		<i>ks. Henryk Kapica</i>	
Mój Ojciec... ..	44	Rozmyślania pod wieczór	98
<i>Józef Adam Dąbek</i>		<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Tragedia w Święta	50	Poezja - Edward Krzysztof Rogalski	99
<i>Irena Iwańczyk</i>		Poezja - Amelia Pudzianowska	100
		Uwaga! Trucizna!	101
		<i>Wiesław Krajewski</i>	
		Anna Bembenek	103

W gronie kolejnych darczyńców pozwalających na zachowanie ciągłości wydawniczej „Nestora” znaleźli się: Stanisław Berbeć, Barbara Rusinek-Zdun, Waldemar Seroka oraz Janusz Ciechański. Serdecznie Państwu dziękujemy.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie 25 8200 0008 2001 0012 4067 0004. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę - Zespół redakcyjny.



NR 2 (56) 2021 - ROK XV NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA - Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Pilat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Pilat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szukla-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Lech Dziedzic

800 lat Szczekarzewa-Krasnegostawu 1221-2021



W bieżącym roku mija 800 lat od czasu powstania najstarszej wzmianki w dokumentach źródłowych o Szczekarzewie, na gruntach którego Władysław Jagiełło lokował miasto Krasnystaw. W Kronice halicko-wołyńskiej, zwanej także Kroniką Romanowiczów mamy taki zapis: *Aleksander zaś odstąpił od Daniela i od Wasylka do Lestka. Nie mieli [oni] pomocy ni od kogokolwiek, tylko od Boga, dopóki [nie] przyszedł Mściśław z Połowcami. Wyszedł Filia z licznymi Węgry i Lachami z Halicza, wziąwszy bojarów halickich i Sudysława teścia [swojego] i Łazarza i innych, a inni rozbiegli się, zhardtali był bowiem [Filia]. W tym czasie przyszedł Lestko na Daniela ku Szczekarzewu broniąc mu iść na pomoc Mściśławowi, teściowi swojemu. Konrad zaś, [który] przyjechał godzić Lestka i Daniela, poznawszy obudę Lestkową, nie pozwolił księciu Danielowi jechać do Lestka. Filia przygotowywał się do boju, sądził że nikt nie może stanąć przeciw niemu do boju. Zostawił Kolomana w Haliczu i zbudował umocnienia na cerkwi Przechystej Władczynie naszej Bogurodzicy, (k. 311 v./638) która nie zniósłszy zbezczeszczenia świątyni swej, wydała ją w ręce Mściśławowi¹. W pierwotnej wersji autorzy kroniki nie umieszczali dat rocznych poszczególnych wydarzeń, dopiero w XV wieku kopista wstawił takie daty, umieszczając powyższe wydarzenie pod rokiem 6727 według kalendarza bizantyjskiego, czyli rokiem 1219. Niestety, jest to rok niezgodny z rzeczywistym czasem, w którym opisane powyżej wydarzenie miało miejsce. Z innych źródeł wiemy, że był to rok 1221².*

Warto w tym miejscu poświęcić trochę czasu okolicznościom, jakie towarzyszyły temu wydarzeniu. Książę, a także późniejszy i jedyny w historii król Rusi, Daniel Halicki był synem Ro-

mana Mściśławowicza (księcia nowogrodzkiego, włodzimiersko-wołyńskiego, halicko-włodzimierskiego, kijowskiego) i Eufrozyny (Marii) córki cesarza bizantyjskiego Izaaka II Angelosa, zaś jego babką była Agnieszka, córka Bolesława Krzywoustego. Roman zginął pod Zawichostem podczas wyprawy przeciw Leszkowi Białemu 19 czerwca 1205 roku. W dniu śmierci ojca, Daniel przebywał wraz z matką i bratem w Haliczu. Mając niespełna pięć lat odebrał on od bojarów przysięgę na wierność. Pomimo tego, Eufrozyna (Maria) wdowa po Romanie, w obawie przed innymi książętami Rusi zdecydowała się na ucieczkę wraz synami, najpierw do Sanoka, gdzie spotkała się z królem Węgier Andrzejem II. Po nieudanej próbie powrotu przy wsparciu Węgrów do Halicza, udała się z dziećmi do Włodzimierza Wołyńskiego, skąd z kolei w 1207 roku uciekła przed księciem kijowskim Włodzimierzem Igorowiczem do Polski, na dwór Leszka Białego, gdzie wraz z młodszym synem Wasylkiem pozostała, zaś jej starszego syna Daniela Leszek Biały wraz ze swoim poselstwem wysłał na dwór króla Węgier Andrzeja II. Tam Daniel przebywał do 1214 roku. W 1212 roku Włodzimierz Wołyński został zajęty przez Leszka Białego i Konrada Mazowieckiego, którzy osadzili tam księcia bełskiego Aleksandra Wsiewołodowicza, zaś tereny do Bugu z grodami Uhrusk, Wereszczyn, Stołpie i Kumów Leszek Biały przyłączył do swojego księstwa. Na początku roku 1215 Leszek Biały usunął z Włodzimierza Wołyńskiego Aleksandra i osadził tam synów Romana - Daniela i Wasylka. W lipcu 1217 roku Halicz znalazł się w rękach księcia Nowogrodu Wielkiego Mściśława Mściśławowicza Udatnego wspieranego przez Leszka Białego. W tym samym roku Eufrozyna (Maria) wdowa po Romanie zaaranżowała małżeństwo Daniela z córką Mściśława Anną. Małżeństwo to wzmocniło na tyle Daniela, że wykorzystał on konflikt pomiędzy Władysławem Laskonogim a Władysławem Odonicem w Wielkopolsce i Konradem a wojewodą Krystynem na Mazowszu oraz najazd Bałtów na Mazowsze, odebrał Leszkowi Białemu tereny pomiędzy Wieprzem a Bugiem wraz z grodami Uhruskiem, Wereszczynem, Stołpiem i Kumowem. W październiku 1219 roku Daniel Halicki przybył na wezwanie swojego teścia Mściśława Udatnego do Halicza, by bronić go przed wojskami króla Węgier Andrzeja II

¹ D. Dąbrowski, A. Jusupović, tłumaczenie, wstęp, komentarze, *Kronika halicko-wołyńska Kronika Romanowiczów*, Kraków-Warszawa 2017, s. 120.

² D. Dąbrowski, *Daniel Romanowicz król Rusi (ok. 1201-1264). Biografia polityczna*, 2012.

i księcia Leszka Białego. Jednak obrona ta okazała się nieskuteczna i Daniel musiał uciekać z Halicza do Włodzimierza. W Haliczu Andrzej II osadził swojego małoletniego syna Kolomana wraz z jego małoletnią żoną Salomeą, córką Leszka Białego. Po ucieczce Daniela z Halicza jego teść Mściśław Udały wyruszył po pomoc do księcia kijowskiego Mściśława Romanowicza, księcia Mściśława Mściśławowicza z Torczeska oraz Połowców, natomiast Daniel zawarł sojusz z Litwinami. W marcu 1221 Mściśław Udały przy wsparciu książąt ruskich Włodzimierza Dymitra Rurykowicza, Roścysława Dawidowicza, Roścysława Mściśławowicza i Połowców zaatakował Halicz, wzywając też na pomoc swojego zięcia Daniela Halickiego. To właśnie wtedy, chcąc uniemożliwić Danielowi wyprawę na Halicz, pod Szczekarzewem pojawił się Leszek Biały, wprowadzając tę miejscowość na karty historii.

Niestety, o Szczekarzewie wiemy bardzo niewiele. Wiemy, że funkcjonował najpewniej jako gród w roku 1221 i roku 1285, a potem jako wieś do lokacji Krasnegostawu, czyli roku 1394, a być może nawet nieco dłużej równoległe z Krasnymstawem. Wiemy też, że w 1285 roku w pobliżu grodu znajdowało się co najmniej 10 wsi. Niestety, nie wiemy czy gród lokowany był na tak zwanym „surowym korzeniu” czy też wcześniej istniała tam już osada otwarta o nazwie Szczekarzew. Nie wiemy kiedy powstał gród i kto go fundował. Nie wiemy nawet, w którym miejscu się znajdował. Biorąc pod uwagę, że w lesie Namule istnieje duża nekropolia kurhanowa z potwierdzonymi pochówkami od neolitu do wczesnego średniowiecza, możemy przyjąć założenie o istnieniu jakiegoś kompleksu osadniczego w rejonie Krasnegostawu składającego się z kilku otwartych osad, a być może także grodu.

Czy gród Szczekarzew można łączyć z mitycznymi Grodami Czerwieńskimi? Piszę „mitycznymi”, bo istnienie takiej organizacji terytorialnej kwestionował już A. Poppe, twierdząc, że nazwa ta powstała w wyniku błędnego odczytania zapisu „Czerwień i inne grody”³. Istnienie Grodów Czerwieńskich kwestionował też J. Skrzypek, wskazując, że liczba mnoga wiąże się z istnieniem kilku

grodów w samym Czerwieniu⁴. Badania archeologiczne w Cermnie wydają się potwierdzać tę hipotezę, bo okazuje się, że w tym miejscu znajduje się kilka wysepek wśród bagien, z oddzielnym obwarowaniem. Czy w takim razie można powiązać Szczekarzew z owymi latopisowymi „innymi grodami”? Gdyby udało się odnaleźć pozostałości takiego grodu datowane przed X wiekiem, to taka hipoteza mogłaby być słuszna. Niestety, jak dotychczas na terenie Krasnegostawu śladów po takim grodzie nie odnaleziono. Nie wiemy także nic o jakichś działaniach inwestycyjnych w tym rejonie przed XIII wiekiem, w czasach, gdy znajdował się on pod władzą Piastów. Tak więc najbardziej prawdopodobna jest hipoteza łącząca lokowanie grodu w Szczekarzewie z okresem panowania na tym terenie książąt Rusi. Wiemy, że najprawdopodobniej w czasach Jarosława Mądrego powstał w „worotach”, czyli dzisiejszej wsi Sąsiadka, gród Sutiejsk, który strzegł szlaku z Rusi poprzez bród na Wieprzu w miejscu zwanym Brody koło dzisiejszego Szczecbrzeszyna ku przeprawie przez Wisłę w Zawichoście. W pewnym okresie był to najdalej na zachód wysunięty gród Księstwa Wołyńskiego strzegący starego traktu wykorzystywanego zarówno przez kupców, jak i przez wojska. Sutiejsk najprawdopodobniej został ostatecznie zniszczony przez ojca Daniela Halickiego - Romana w jego ostatniej wyprawie na Leszka Białego w 1205 roku⁵. Inny stary szlak komunikacyjny prowadził od Wołynia wzdłuż Bugu w kierunku północnym. W jego okolicach widzimy grody Kumów, Stołpie, Uhrusk i Wereszczyn. Dopiero w czasach Daniela Halickiego znaczenia nabiera trakt od brodu na Bugu w Gródku przez Uchanie do Szczekarzewa i dalej w kierunku Lublina (a być może także Kraśnika i dalej do brodu na Wiśle)⁶. Jeśli do tego dodamy działalność Daniela w zakresie intensyfikacji zagospodarowania obszaru pomiędzy Bugiem a Wieprzem, co widzimy najpierw w Uhrusku, gdzie rozbudował gród, potem w Chełmie, to wydaje się, że budowa grodu w Szczekarzewie,

³ T. Wąsowicz, *Uwagi w sprawie osadnictwa wczesnośredniowiecznego na Lubelszczyźnie*, Archeologia Polski, T. 6, Z. 2, 1961.

⁴ J. Skrzypek, *Studia nad pierwotnym pograniczem polsko-ruskim w rejonie Wołynia i Grodów Czerwieńskich*, Warszawa 1962.

⁵ Z. Wartełowska, *Warunki polityczne i społeczne rozwoju i upadku grodu Sutiejska*, Światowid nr 22, 1958.

⁶ T. Wąsowicz, *Uwagi w sprawie...*, dz. cyt.

zwłaszcza gdyby był on zlokalizowany po wschodniej stronie Wieprza ma sens. Gród ten zabezpieczałby jego dziedzinę od strony zachodniej, strzegł brodu na Wieprzu oraz przebiegającego tamtędy traktu. Takie znaczenie Szczekarzewa dla Daniela i jego potomków potwierdzają wydarzenia z roku 1221 i 1285. Natomiast fakt, że Wieprz był w tym czasie rzeką graniczną potwierdza kronikarz, opisując wydarzenie z zimy 1217/1218 i wiosny 1218 roku. *Daniel powrócił do domu i pojechał z bratem i przejął Brześć i Uhrusk i Wereszczyn i Stołpie i Kumów i całą ukraię. Lestko wielki gniew miał na Daniela. Gdy była wiosna, przyjechali Lachowie Gajować i wojowali po Bugu. Posłał na nich Daniel Gawryła Duszyłowicza i Siemiona Ołujewicza, Wasylka Gawryłowicza. I bili się do Suchej Dorogwi 200 i jeńców ujęli i wrócili z wielką częścią do Włodzimierza. Wówczas to Klim, zabity był, Chrystinicz, jedyny ze wszystkich jego wojów. Jego krzyż, do teraz, stoi na Suchej Dorogwi. Lachów licznych zabili i gnali za nimi do rzeki Wieprz.* Czytając ten fragment kroniki, musimy sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Skoro Szczekarzew był grodem ważnym dla Daniela Halickiego i jego potomków, a jak wskazują wydarzenia z roku 1221 oraz roku 1285 był ważny i istniałby przed objęciem władzy przez Daniela, to dlaczego kronikarz nie wymienił go w powyższym fragmencie kroniki? Na podstawie wnioskowania z milczenia źródła możemy, naturalnie bardzo ostrożnie wnioskować, że zimą roku 1217/1218 grodu Szczekarzew jeszcze nie było, a powstał być może dopiero pomiędzy rokiem 1218 a 1221. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że stawiając taką hipotezę, narażam się wszystkim zwolennikom Szczekarzewa jako grodu z czasów plemiennych. Rozstrzygnąć to mogą jedynie kompleksowe badania archeologiczne, ale gdzie je prowadzić, skoro nie wiadomo, w którym miejscu gród ten się znajdował. Co więcej pojawiały się głosy, że opisany w kronice gród Szczekarzew (Szczekariw) nie miał nic wspólnego z Krasnymstawem, a podobno miałby się znajdować w Lubartowie, który wcześniej miał nosić nazwę Szczekariw, a dokładnie miałoby to być grodzisko w Trójni pod Lubartowem⁷. Co więcej, twierdzono nawet, że akt lokacyjny z 1394 roku nie ma nic wspólnego z Krasnymstawem, bo mówi on

o gruntach wsi Szczekarzew w ziemi lubelskiej, a nie chełmskiej. Z tym poglądem skutecznie rozprawiła się B. Nowak, udowadniając, że niewątpliwie chodzi tu o dzisiejszy Krasnystaw⁸. Co do położenia grodu pojawiły się dwie hipotezy.

Pierwsza z nich to hipoteza P. Grządkiego⁹ i R. Szczygła¹⁰ próbująca zlokalizować gród na lewym brzegu Wieprza, nieopodal byłego zamku. Niestety, nie posiada ona żadnego umocowania w źródłach historycznych i - wbrew temu, co pisał R. Szczygieł - w rejonie, gdzie miałby gród być zlokalizowany, nigdy nie prowadzono badań archeologicznych. O wiele bardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza K. Grocheckiego, który w oparciu o zapisy w księgach ziemskich krasnostawskich, z których wynika, że w Krasnymstawie istniała góra nazywana Grodzisko, lokował gród na prawym brzegu Wieprza, na górze zwanej niegdyś Górą św. Jana¹¹. Zapisy te zostały opublikowane przez W. Czarneckiego. Niestety, przy okazji wprowadził on nieco zamieszania, pisząc, że zapiski te znajdują się nie w księgach krasnostawskich a chełmskich, co utrudniło ich odnalezienie, nie przytoczył on też w pełni zapiski o młynie „sub Grodzysko” w rzeczywistości zapiska mówi o młynie „sub monte Grodzysko”, a więc pod górą Grodzisko. Jednak te drobne uchybienia udało się naprawić innym autorom¹². Tak więc wiemy, że góra nazwana później Górą św. Jana być może wcześniej nosiła nazwę Grodzisko, co może wskazywać, że znajdował się na niej jakiś gród. Jednak to wcale nie świadczy o tym, że ten gród to był gród Szczekarzew. Jedynie badania archeologiczne przeprowadzone na Górze św. Jana mogłyby coś na ten temat powiedzieć. Niestety, nie widać nikogo, kto chciałby takie badania sfinansować.

⁸ B. Nowak, *Lokacja Szczekarzowa (Krasnegostawu) z 1394 roku*, R.Ch., R. 1985, T. 1. ss.19-26.

⁹ P. Grządko, *W sprawie lokalizacji grodziska w Krasnymstawie*, Archeologia Polski Środkowowschodniej, T. 7, 2005.

¹⁰ R. Szczygieł, *Powstanie miasta Krasnegostawu i jego dzieje w XV wieku*, Zapiski Krasnostawskie, T. V, 2014.

¹¹ K. Grochecki, *Lokalizacja latopisowego Szczekarzo-wa*, Zapiski Krasnostawskie Dąbrowski, T. VI, 2016.

¹² L. Dziedzic, *Najstarsze młyny krasnostawskie a lokalizacja grodu Szczekarzew*, Nestor 4(30)2014.

⁷ Tamże, przypis 110.

Wypada jeszcze wspomnieć skąd wzięła się nazwa Szczekarzew. Oczywiście nie pochodzi ona, tak jak twierdził to chełmski biskup grecko-katolicki Jakub Susza w XVII wieku, od jednego z mitycznych założycieli Kijowa - Szczeka. Prawda jest bardziej prozaiczna. W języku staropolskim istnieje słowo *szczekarz*¹³, a w języku staroruskim słowo *уцѣкар* (szczekar). Oba oznaczają to samo - człowieka, który mówi dużo, głośno i w sposób zaczepny; krzykacz, pyskacz. Tak więc nazwa Szczekarzew czy Szczekariów to nazwa dzierzawcza najpewniej od imienia założyciela osady, którego nazywano Szczekarz.

Lech Dziedzic

Waldemar Seroka

Jak to z „Sępem” było, czyli kim był „Pułkownik Kwiatkowski”



Bydgoszcz, dnia 27.XI.1946 r.

Mój Najukochańszy Mężu!

Ach jak mi ciężko ten list do Ciebie pisać. Do ostatniej chwili miałam nadzieję, ale teraz mi ją odebrali; co mogłam to zrobiłam. W poniedziałek, dnia 25.XI.46 r. byłam w Warszawie, wczoraj 26, byłam znowu u prokuratora, ale to było tylko takie kręcenie, że miałam jeszcze raz do prezydenta Bieruta pisać. Adwokat Tydelski pisał, ale to wszystko było na nie. Już nie wiem co mam Ci jeszcze napisać, jest mi tak jakby moje serce i zmysły przestały działać. Dzisiaj rozmawiałam z sędzią - w całym sądzie mieli najgłębszą nadzieję, że zostaniesz ulaskawiony. W ostatnią sobotę, gdy byłam u Ciebie to wiedziałam już wszystko, ale nie chciałam Ci nic o tem mówić i serca ranić.

Mój kochany Wojtku! Czy to ma być Boska wola, czy to ma być Twoja zapłata za to co Ty dla swojej Ojczyzny zrobiłeś? Dlaczego ja nie mogę umierać razem z tobą, dlaczego ta sama kula co Ciebie przesyje nie utkwii w moim sercu? Gdybyś zginął w walce z wrogiem nie byłoby mi tak cięż-

ko jak teraz, gdy Twoi bracia mają Cię zgładzić. Mój Kochany Mężu nie martw się o mnie. Bóg tego chciał i my biedne dzieci nic na to nie poradzimy [...] Całuję Cię po raz ostatni. Twoje usta, Twoje oczy i Twoje ręce.

Twoja na wieki kochająca Cię i pozostała sama Żona¹.

Ten pożegnalny list do rąk adresata nigdy nie trafił. W chwili, gdy był pisany, jego życie przeżywała karabinowa salwa. Zanim wyprowadzono go pod mur więziennego dziedzińca, zdążył rzucić na papier kilka słów - bardziej zdumienia niż pożegnania: [...] *los zakpił ze mnie okrutnie, bowiem prędeż bym się spodziewał własnego udziału w defiladzie zwycięstwa niż tego, że stanę przed polskim plutonem egzekucyjnym*².

Wiosną 1946 r. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Bydgoszczy rozpracował pomorski okręg Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość i przystąpił do likwidacji jego struktur. Aresztowanych zostało kilkudziesięciu członków tej organizacji i we wrześniu rozpoczął się ich proces. Przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Bydgoszczy stanęło 21 osób ze ścisłego kierownictwa, z prezesem okręgu i szefem referatu bezpieczeństwa na czele.



Tadeusz Ośko jako kapral 23 Pułku Artylerii Lekkiej (PAL). Będzin 1934 r.

¹ Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, akta więzienne Wojciecha Kossowskiego.

² Z. Biegański, *Sądownictwo i skazani na śmierć z przyczyn politycznych w województwie pomorskim (bydgoskim) w latach 1945-1956*, Toruń 2005, ss. 270-271.

¹³ M. Arct, *Słownik staropolski*, 1920, s. 588.

Jednym z głównych oskarżonych był rotmistrz Wojciech Kossowski, znany wcześniej na Zamojszczyźnie jako podporucznik „Sęp” - postać tyleż barwna, co i tajemnicza. Potrafił tak się konspirować wobec otoczenia, tak spleść fikcję z rzeczywistością, że jeszcze niedawno badacze historii AK mieli trudności z ustaleniem jego prawdziwego nazwiska. Ireneusz Caban w swojej publikacji o osobach sprawujących kierownicze stanowiska w lubelskim okręgu AK pisze o nim tak:

Ośko Tadeusz (Tadeusz Ogiński) ps. „Sęp”. Oficer rezerwy artylerii; plutonowy podchorąży, podporucznik (1.XI.1943 r.). Działalność konspiracyjną rozpoczął w Wojskowej Grupie Nadwiślańskiej, założonej przez chorążego 10 pułku piechoty w Łowiczu Buczmę-Kozłowskiego, która w 1942 r. połączyła się z AK. Później pracował na odcinku wywiadu w I Ośrodku Kedywu w Łowiczu. Na teren inspektoratu Zamość przybył po wyspie w Łowiczu, z [...] kompanią warszawską kpt. „Żegoty”. Po jej rozwiązaniu pozostał na Zamojszczyźnie. Występował tu jako podporucznik. Ranga ta jest kwestionowana przez jego współpracowników z Łowicza, którzy uważają, iż miał tylko stopień podoficera. Od jesieni 1943 r. był faktycznym dowódcą zwiadu konnego zgrupowania OP 9 (nominalnie funkcję tę pełnił ppor. Suchodolski ps. „Dniestr”). Po wojnie wyjechał z Lubelszczyzny. W 1945 r. Wojskowy Sąd Okręgowy w Bydgoszczy skazał go na karę śmierci³.



Strażnik graniczny Tadeusz Ośko, placówka „Podspady”. Rok 1939.



Pogranicznicy z placówki „Podspady”, „Sęp” pierwszy z prawej. Kwiecień 1939.

Wspomniana powyżej „wsypa” to prowadzona od 1940 r. niemiecka akcja prewencyjna o kryptonimie AB, mająca na celu likwidację „przywódczych i niepożądanych elementów narodu polskiego”. Masowe aresztowania rozpoczęte 3 marca 1941 r. objęły szerokie kręgi znacznie-szych obywateli Łowicza, częstokroć powiązanych z konspiracją. „Sęp”, czując się zagrożony, opuścił Łowicz i nawiązał kontakt z otoczeniem kapitana „Żegoty” (T. Sztumberk-Rychtera) - czołowego oficera I oddziału Komendy Głównej AK⁴. W maju 1943 r. „Żegota” zorganizował oddział dywersyjny, z którym w czerwcu przybył na Zamojszczyznę⁵. Od tej pory ten elitarny oddział występował pod nazwą Kompania Warszawska i wchodził w skład zgrupowania oddziałów leśnych kapitana Stanisława Prusa „Adama”.

⁴ Wcześniej II oddziału komendy okręgu AK Warszawa: wywiad, kontrwywiad, legalizacja.

⁵ Oddział warszawski przybył w dwóch rzutach. W drugim - w połowie lipca 1943 r. - przybył „Sęp”.

³ I. Caban, *Ludzie Lubelskiego Okręgu Armii Krajowej*, Lublin 1995, s. 129.



Ppor. „Sęp” (w mundurze) i Jan Zawiślak „Czarny”, majątek Zakrzewskich w Górecku Starym k. Józefowa. Jesień 1943.

Gdy w listopadzie 1943 r. oddziały „Adama” zostały przemianowane na 9 Pułk Piechoty Legionów AK (OP 9), „Sęp” został wyznaczony (jako czasowo pełniący obowiązki) na dowódcę konnego zwiadu. I choć oddział ten nie wszedł jeszcze w fazę formowania, to jego dowódca zyskał już znaczną popularność w terenie: *Byli u nas dzisiaj „Podkowa” i „Sęp”, uzbrojeni, jakby chodzili po lesie. Nadzwyczajne typy... zanotował 28 lutego 1944 r. dr Z. Klukowski ze Szczepieszyna*⁶.



Bogusław Lepionko „Sztorm” ze Szczepieszyna (filmowy por. Dudek).

Prace nad jego tworzeniem rozpoczęły się na początku marca. Organizowany od podstaw, a nie na bazie, wymagał wielu starań. Cały ciężar tego przedsięwzięcia spoczął na barkach „Sępa”. Jego prawą ręką i najbardziej zaufanym człowiekiem był młody chłopak ze Szczepieszyna - Bogusław Lepionko ps. „Sztorm”. W swoich wspomnieniach z lat 1943-1944 odsłania on nieznane dotąd kulisy jego formowania:

Tworzenie konnego zwiadu zostało powierzone por. „Sępowi”, a ja będąc już od drugiej połowy stycznia pod jego dowództwem zostałem automatycznie do niego wcielony. Por. „Sęp” przeziębivszy się w czasie ostatniego wycofywania się z okrężenia, leżał poważnie chory na kwaterze w Turzyńcu, a ja byłem razem z nim jako ochrona. Razem z nami był por. „Leszcz”. Komendant „Adam” wezwał w tym czasie wszystkich oficerów na odprawę, ale że stan zdrowia nie pozwalał tak „Sępowi” jak i „Leszczowi” na pojechanie do bunkra, więc roześlony „Adam” przyjechał tu osobiście. I wtedy byłem mimowolnym świadkiem niemej sceny między komendantem „Adamem” a por. „Sępem”. Doszło do gwałtownej utarczki słownej i o mało nie skończyło się na pistoletach; przeszkodził temu por. „Leszcz”.

Zaraz po odejście „Adama”, por. „Sęp” wezwał mnie i kazał wszystko przygotować do natychmiastowego wyjazdu, a przed tym kazał mi zdać broń, którą miałem z oddziału por. „Podkowy”. Uzbrojeni w karabin, dwa pistolety i granaty wyjechaliśmy w okolice Frampola i tam kwaterując na Kolonii Sokołowskie, rozpoczęliśmy gromadzenie sprzętu potrzebnego do sformowania jednostki kawalerii. Początkowo szło nam bardzo kulawo, ale po zawiązaniu kilku znajomości ludzie sami zaczęli znosić potrzebne nam rzeczy. W ten sposób skompletowaliśmy kilkanaście pełnych rynsztunków kawaleryjskich. Największe trudności mieliśmy ze skompletowaniem koni wierzchowych, ale przy dobrych chęciach wszystko dało się przezwyciężyć. Kilkanaście koni i dwa automaty (pepesze) dostaliśmy od partyzantki sowieckiej z oddziału kpt. Szangina, za okazaną im pomoc w akcjach [...].

Do 15 marca mieliśmy już własnym sprytem zdobytych 16 koni, 11 siodeł, 1 rkm, 2 automaty, 9 karabinów oraz kilkanaście granatów. Z chwilą,

⁶ Z. Klukowski, *Dziennik z lat okupacji*, LSW Lublin, 1959, s. 399.

kiedy mieliśmy już pracę zapoczątkowaną, reszta szła znacznie lepiej i prędzej. Nieraz musieliśmy się tłumaczyć przed komendantem „Adamem” z naszych poczynañ, stawiani pod coraz innymi zarzutami. Komendant czując jakąś dziwną niechęć do por. „Sępa” i jego poczynañ, utrudniał nam pracę i o ile mógł znaleźć jakiś zarzut przeciwko nam - robił to z satysfakcją. Ten stan wzajemnej niechęci zrodzonej przez złe postępowanie komendanta „Adama” pozostał aż do rozbrojenia nas przez armię radziecką.

Od 15 marca 1944 r. mając w oddziale około 30 jeźdźców, oprócz taboru, por. „Sęp” począł szkolić nas w jeździe konnej, sposobiąc do akcji bojowych. Na ćwiczeniach, nieraz bez chwili odpoczynku, moczeni deszczem a suszeni wiatrem, staraliśmy się zdobyć i utrzymać honor polskiej kawalerii. Niestety, wypadki potoczyły się z tak zawrotną prędkością, że mając niedostateczny stan ludzi i broni nie mogliśmy przeprowadzić żadnej akcji bojowej oprócz małych utarczek i patroli w terenie. Por. „Sęp” trzymając szwadron żelazną ręką, nie pozwalał na żadne wybryki, a widząc starania i posłuszeństwo własnych żołnierzy miał zawsze dla nich dobre słowo, a dla uniknięcia spodziewanych przykrości ze strony dowódcy trzymaliśmy się zawsze osobno, utrzymując tylko konieczną w takich warunkach łączność.

Z zadań, które powierzano nam wywiązywaliśmy się z dobrymi wynikami, a za przyjmowanie rzutów i ich ochronę dostał cały szwadron pochwałę, przydział broni, amunicji, bielizny oraz zezwolenie inspektoratu na przeprowadzenie akcji na własną rękę. Od tego czasu (20 kwietnia) staliśmy się jednostką samodzielną. W tym czasie staliśmy obozem w małej wiosce koło Bondyrza - Szewni. Czas nam schodził na szkoleniu, skupie broni, a od czasu do czasu jeździliśmy na akcje. Przez nas zostały zarekwirowane konie w liegenschaftcie w Zamościu, zrobiony młyn w Markowiczach koło Tarnobrodu i inne. W Szewni otrzymaliśmy nowych ludzi jako świeży zaciąg - byli to przeważnie podoficerowie kawalerii sprzed wojny - bardzo przydatni, gdyż pisanych regulaminów nie mieliśmy, a to rozwiązywało nam naukę służby wewnętrznej i działania w terenie. Szczególnie wachmistrz „Pliszka” był niezłym wykładowcą, a nawet potrafił porządnie dać w skórę na ćwicze-

niach. Ja w tym czasie chorowałem poważnie, ale mając dobrą opiekę lekarską, szybko powróciłem do zdrowia i podjąłem dalszą służbę⁷.

Pluton konnego zwiadu w czasie realizacji planu „Burza” operował w rejonie Radzięcin-Teodorówka-Hosznia Ordynacka, gdzie w potyczkach z wycofującymi się Niemcami zdobył broń i tabor. Podczas wkraczania Armii Czerwonej został włączony w skład kompanii sztabowej, tworzonej jako ośrodek dowodzenia pułku. 30 lipca 1944 r. w rejonie wsi Lipsko, wykonując rozkaz mjr. „Adama”, konny zwiad złożył broń. Większość żołnierzy i ich dowódca pozostali nadal w konspiracji.

Początek nowej rzeczywistości zastał „Sępa” w Szczepieszynie. W obawie przed NKWD szukał schronienia w dobrze sobie znanych zakamarkach koło Frampola. Do Szczepieszyna wrócił w listopadzie i od razu popadł w konflikt z „Adamem”, który oskarżył go o defraudację 35 tysięcy złotych za spieniężenie siodeł konnego zwiadu. Jakby tego było mało, to jeszcze „Sten” chciał go „wrobić” w obrabowanie doktora Klukowskiego. W trudnej dla siebie sytuacji, gdy grunt zaczął mu się palić pod stopami, postanowił zgłosić się do wojska. Ten desperacki krok „Sępa” tak przedstawia Klukowski:

5 grudnia. Wtorek. Był dziś u mnie z pożegnaniem „Sęp”, który wstąpił jednak do wojska jako rotmistrz. A dawniej zaklinał się, że nigdy tego nie zrobi, że nie będzie „zdrajcą ojczyzny”, za jakiego uważał każdego żołnierza z armii berlingowskiej. Zostawił u mnie list do „Groma” i „Norberta”, tłumacząc się ze swego kroku. List ten dał mi do przeczytania. Podpisał się „ks. Tadeusz Wojciech Marek Ogiński”. Żalił się przede mną na krzywdzący stosunek do niego komendanta „Adama”, na niesłuszne posądzenie go o zdefraudowanie 35000 zł, itd.⁸.

Tak więc z Zamojszczyzną żegnał się jako trojga imion Ogiński, choć w kieszeni miał kennkartę na nazwisko Aleksandra Tadeusza Odrzywołskiego⁹. Ale w RKU Lublin zameldował się już jako

⁷ B. Lepionko, *Wspomnienia z lat 1943-1944*, k. 519-521 rękopisu ze zbiorów specjalnych biblioteki KUL.

⁸ Z. Klukowski, *Dziennik 1944-45*, Lublin 1990, s. 91.

⁹ Oryginał kennkarty w aktach osobowych Wojciecha Kossowskiego, AP w Bydgoszczy. Kopia w posiadaniu autora.

Kennkarte Miesiąc wystawienia Yrath. Starostwo powiat. Kennnummer Numer rozpoznawczy Gültig bis Ważne do 17. MAI 1943		Tomaszów. Lublin. 453705	
Name Nazwisko Odrzywolski Geburtsname (b. Ehefrau) Nazwisko panieńskie (z małżeństwa) Vorname Imię 31-I-1910. Geboren am Urodzony (ca) w dn. Geburtsort Miejsce urodzenia Radziecin. Kreish. Starostwo pow. Lublin. Land Kraj Kaufen - Kupiec. Beruf Zawód ausgeübter wykonywany Kaufen - Kupiec. Religion Wyznanie Rom - Kath. rym - kat. Besondere Kennzeichen Szczególne znaki rozpoznawcze Keine - niema.		 Unterschrift des Kennkarteninhabers Podpis posiadacza karty rozpoznawczej Aleksander Odrzywolski Tomaszów-Lubelski, den dnia 16. MAI 1943 194 Unterschrift des ausstellenden Beamten Podpis sporządzającego urzędnika 	
Amtliche Vermerke Uwagi Urzędowe Der Kennkarteninhaber wohnt Mieszkał (ca) w Strasse Nr. 21. ulica Kreish. Starostwo powiat. Unterschrift der Meldebühle Podpis urzędu meldunkowego Unterschrift der Meldebühle Podpis urzędu meldunkowego		Der Kennkarteninhaber wohnt Mieszkał (ca) w Strasse ulica Kreish. Starostwo powiat. Unterschrift der Meldebühle Podpis urzędu meldunkowego Unterschrift der Meldebühle Podpis urzędu meldunkowego	

Kennkarte na nazwisko Aleksandra Odrzywolskiego.

Wojciech Kossowski - rotmistrz kawalerii Wojciech Kossowski - syn Jana, urodzony 11.05.1905 r. w Nowym Targu. Z dalszych zapisów w jego karcie ewidencyjnej dowiadujemy się, że jest absolwentem Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu. Zna język niemiecki i czeski, uczestniczył w kampanii wrześniowej... Jako członek Armii Krajowej brał udział w akcji na Janów Lubelski. Rozkazem z 15.02.1942 roku został odznaczony Krzyżem Walecznych¹⁰. Z przedstawionych tu generalistów zgadza się tylko imię ojca i jego udział w rekwizycji na magazyny Kreisgenossenschaft-u w Janowie (wrzesień 1943). Reszta to legenda!

Otrzymał przydział do 2 pułku ułanów 1 Warszawskiej Brygady Kawalerii na stanowisko dublera dowódcy szwadronu¹¹. Ujawnienie akowskiej przeszłości było poważnym błędem z jego strony. Na oficerów z takim „rodowodem” trwało już w brygadzie polowanie¹². Gdy przejrzał na oczy, zdał sobie

sprawę, że musi „pryskać”. Uczynił to pod Solcem Kujawskim, gdy brygada zmierzała w kierunku na Bydgoszcz i Wał Pomorski¹³. W wolnej już od Niemców Bydgoszczy, zjawił się w pierwszych dniach lutego 1945 r. O swojej działalności mówi tak:

Z początkiem lutego 1945 r. znalazłem się w Bydgoszczy. Chodziłem wówczas w mundurze kapitana WP gdyż taki miałem z czasów partyzantki. Po skontaktowaniu się z Bochenem, zamieszkałem u niego. Bochen mając do mnie zaufanie wtajemniczał mnie w sprawy organizacyjne AK na terenie Pomorza. Mając mundur i fałszywe papiery wystawione przez kwatermistrza Konta na moje nazwisko, mogłem się swobodnie poruszać jako oficer UB z Zamościa. Miałem też zaświadczenie w języku rosyjskim, upoważniające mnie do legitymowania podejrzanych osób. Dzięki temu mogłem kontrolować komisariaty MO i UB, starając się o zdobycie informacji o zagrożeniu członków AK¹⁴.

¹⁰ Centralne Archiwum Wojskowe, dział LWP, zespół 141 - akta 2 pułku kawalerii.

¹¹ Dublerów utrzymywano na przydziałach mobilizacyjnych przewyższających etatowe potrzeby celem zapewnienia pełnej obsady w przypadku braku uzupełnienia zasadniczego. Patrz też: E. Kospath-Pawłowski, S. Pataj i M. Szczurowski, *Hej, hej ułani... Z dziejów 1 Warszawskiej Brygady (Dywizji) Kawalerii*, Warszawa 1996, s. 249.

¹² Aresztowani zostali m.in.: dowódca 3 pułku ułanów ppłk Edward Pisula (b. szef Kedywu w tarnopolskim

okręgu AK) i zastępca dowódcy brygady ds. liniowych rtm. Józef Niderhaus-Zawistowski (uczestnik powstania warszawskiego). Patrz: tamże.

¹³ Nominalny dowódca konnego zwiadu ppor. „Dniestr”, zataiwszy swą przynależność do AK - od grudnia 1944 r. służył w 4 zapasowym pułku kawalerii w Hrubieszowie, później w 3 pułku ułanów ww. brygady jako dowódca szwadronu. Ranny na przedpolach Berlina. W 1946 r. awansowany do stopnia porucznika i zdemobilizowany.

¹⁴ Archiwum Sądu Rejonowego w Bydgoszczy, akta b.

Tak rozpoczął swą ryzykowną grę z bezpieką i NKWD. Inspekcjonował powstające komisarjaty, a główny punkt kontaktowy zainstalował w 1. komisariacie MO, którego komendantem był Stanisław Henne - podoficer zawodowy 62 pułku piechoty w Bydgoszczy, członek AK od 1943 r. To tutaj, 27 lutego 1945 roku, dotarła do „Sępa” wiadomość o konwojowaniu przez trzech milicjantów siedmioosobowej grupy pomorskich akowców, w celu przekazania ich sądowi polowemu 47 armii sowieckiej w Jastrowiu koło Złotowa. Do Bydgoszczy przybyli pieszo z Koronowa, a pociąg do Piły i Złotowa miał odjechać dopiero nazajutrz. W tej sytuacji milicjanci zgodzili się na propozycję, aby przenocować u jednego z konwojowanych.

Wśród nich było dwóch bydgoszczan: Florian Dutkiewicz i Ludwik Augustyniak - obydwaj zawodowi podoficerowie WP sprzed wojny, pełniący w bydgoskiej AK ważne funkcje. Po zmobilizowaniu, 7 lutego 1945 roku do czynnej służby, otrzymali przydział do Rejonowej Komendy Uzupełnień w Bydgoszczy. Dutkiewicz na stanowisko zastępcy kierownika referatu oficerskiego, Augustyniak jako kancelista. Ich powiązania z AK rozszyfrował nadzorujący działalność RKU major Demkow z NKWD. 23 lutego 1945 r. obydwaj zostali aresztowani i osadzeni w koronowskim więzieniu. Gdy pod eskortą zjawili się w Bydgoszczy, w drodze ze stacji do domu Dutkiewicza przy ulicy Śniadeckich 41, udało im się „dać cynk” do kolegów z konspiracji.

Następnego dnia, 27 lutego rano, pod wskazanym adresem zjawił się „Sęp” z obstawą. Podczas legitymowania jeden z milicjantów oświadczył, iż jest współpracownikiem NKWD i okazał pismo bez pieczęci, podpisane przez sowieckiego oficera, zawierające jedno zdanie: *Przekazujemy wam niżej wymienionych faszystów - akowców, celem rozstrzelania w strefie przyfrontowej*¹⁵.

Próba upozorowania ich odbicia, wobec sprzeciwu milicjantów, nie powiodła się. W tej sytuacji „Sęp” oznajmił im, że za wysługiwanie się Sowietom zostaną rozstrzelani. Po ukryciu zwłok, aresztowani odzyskali wolność. Przez ponad rok skutecznie zacierali za sobą ślady, ale na skutek zdrady jednego z nich, bezpieka bez przerwy deptała im po piętach.

Pierwszy wpadł Augustyniak - 11.04.1946 r. Po tygodniu praktycznie cała pomorska konspiracja spod znaku WiN była w rękach UB.

„Sęp”, pełniący w tym czasie obowiązki komendanta placówki WiN w Chełmnie, zamelinował się w leśniczówce Bolumin koło Ostromecka. Razem z nim byli tu jego dawni podkomendni ze Szczeczeszyna: Bogusław Lepionko, jego brat Tadeusz, Adam Szymański i „Igła” (NN). Zatrudnieni jako robotnicy leśni, tworzyli de facto załóżkę oddziału WiN. Jednak już 18 kwietnia zostali zgarnięci przez UB z Chełmna. Razem z nimi do aresztu trafił leśniczy Roman Chwirot, oskarżony o „współpracę z bandą” i nielegalne posiadanie broni. Wszystkich osadzono w bydgoskim areszcie przy ulicy Wały Jagiellońskie. Następnego dnia dołączyła do nich kolejna grupa działaczy antykomunistycznego podziemia. Z powodu masowych aresztowań o sprawie zrobiło się głośno nie tylko na Pomorzu:

*16 maja. Przyjechał z Zachodu Tadek Lepionko. Od niego usłyszałem potwierdzenie tego co opowiadał nam „Grom” - że „Sęp” został aresztowany, a wraz z nim Boguś Lepionko i „Adaś”. Sprawa „Sępa”, zdaje się, jest beznadziejna - zdezerterował z wojska, był w partyzantce, ujęty z bronią, kontaktował się z oficerami z Armii Andersa itd. Tadek Lepionko był aresztowany razem z nimi, ale jakoś udało mu się wykręcić i po trzech tygodniach zwolnili go*¹⁶.

Wspomniany powyżej „Grom” to jeden z najstydniejszych dowódców AK na Zamojszczyźnie. W lutym 1945 r. wyjechał w rodzinne strony, w Poznańskie, i osiadł na roli. Po powrocie do kraju Stanisława Mikołajczyka rozpoczął działalność w urzędzie Pełnomocnika Rządu do spraw Ziem Zachodnich. Wkrótce został sekretarzem wojewódzkim PSL w Szczecinie. Mając „żelazne papiery”, odwiedził pod własnym nazwiskiem doktora Klukowskiego, który mimo to, nie krył lęku; *żeby go tylko nie zatrzymali bo przecież był taki czas, że go mocno poszukiwano...*

Proces aresztowanych działaczy WiN rozpoczął się po pięciomiesięcznym śledztwie, 26 września 1946 r. Na liście oskarżonych, pod numerem 18, figurował Kossowski Wojciech ps. „Sęp”,

WSR sygn. roz. 519/46 (obecnie archiwum IPN).

¹⁵ Akta Wojkowego Sądu Rejonowego (WSR), tamże.

¹⁶ Z. Klukowski, *Zamojszczyzna 1918-1959*, Ośrodek Karta 2017, s. 582.

syn Jana i Stanisławy, urodzony 11.V.1905 r. w Nowym Targu, obywatelstwo polskie, wyznania rzymsko-katolickiego, inżynier agronom, wykształcenie uniwersyteckie, kawaler, majątku nie posiada, w wojsku służył od 1928 do 1939 roku oraz 1939-1944 r. - partyzantka. Posiada Krzyż *Virtuti Militari* i Krzyż *Walecznych*, rzekomo nie karany, zamieszkały w Bydgoszczy przy ulicy *Witebskiej* 27, obecnie przebywa w więzieniu w Bydgoszczy¹⁷.

Podczas składania dalszych zeznań, jego dossier uzupełniono o kolejne, nie mniej sensacyjne, aczkolwiek niewiele mające wspólnego z prawdą, szczegóły: (...) w latach 1927-1928 przebywał w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu w stopniu wachmistrza podchorążego. W 1930 r. mianowany podporucznikiem, a w 1935 porucznikiem rezerwy kawalerii. W roku 1938 został powołany do służby zawodowej w 12 Pułku Ułanów Podolskich w Krzemieńcu. Brał udział w wojnie z Niemcami, od 1939 r. należał do ZWZ jako komendant obwodu Łowicz. W 1940 r. wysłany do tworzenia batalionu szturmowego „Żoliborz”. Od wiosny do lata 1942 r. był adiutantem kpt. „Żegoty” i wyjechał w Lubelskie organizować partyzantkę. Tam mianowany rotmistrzem był adiutantem 9 pułku, a od wiosny 1943 r. dowódcą kompanii szturmowej. W lipcu tego roku zorganizował 1 dywizjon strzelców konnych nazwy *hrubieszowskiej*¹⁸. Brał udział w walkach z Niemcami do 27 lipca 1944 r. Rodzice zamordowani na Pawiaku w 1941 r. za działalność konspiracyjną¹⁹.

Odpowiadając na pytania sądu, kontynuuje swą narrację w tym samym stylu co poprzednio. Jego sytuacja była bowiem rozpaczliwa. Chcąc się ratować przed śmiercią, szedł na całość w „podkręcaniu” faktów, mówiąc nie tylko o zdarzeniach, w których uczestniczył, ale i o tych, które znał ze słyszenia i które sobie wyimaginował. We wszystkich celowo wyolbrzymiał swoje zasługi, łudząc się,

że zrównoważą winy, do których się przyznał. Lecz mylą mu się daty, nazwy miejscowości i nazwiska. Mówiąc o generale Kołpakowie (wł. o Kowpaku) miał na myśli pułkownika Werszyhorę, mylił mu się Księżpól z Frampolem, Łukowa z Łukowem, a Izbica z Wólką Orłowską. Ale większość przedstawionych przez niego akcji miała faktycznie miejsce. Oddajmy więc mu głos:

W końcu stycznia 1942 r. na terenie Lubelskiego przebywał z oddziałem partyzanckim armii czerwonej generał Kołpakow, z którym nawiązałem łączność i na jego prośbę udałem się z 17 ułanami do Izbicy gdzie wysadziliśmy most kolejowy. W marcu 1942 r. generał Kołpakow został osaczony przez Niemców w miejscowości Kosobudy. Wówczas ja z własnej inicjatywy poszedłem mu na odsiecz. Po przedarciu się [...] uszedłem w Karpaty. Przed odejściem wyraził mi podziękowanie na piśmie, które upoważniało mnie do przebywania we wszystkich oddziałach partyzanckich armii czerwonej. Jeśli chodzi o moją działalność [...] to uwolniłem jeszcze 70 więźniów z więzienia w Biłgoraju i 180 z więzienia w Janowie Lubelskim²⁰. Zlikwidowałem szpicpunkt w Łukowie i posterunek żandarmerii niemieckiej we Frampolu. We Włodzimierzu rozbiłem batalion SS, a pod Gorajem baterię artylerii niemieckiej. Walkę z Niemcami miałem w Suchowoli i Żrebcach. Walczyłem również z bandami ukraińskimi [...] i współpracowałem z partyzantami rosyjskimi²¹.



„Sęp” w gronie przyjaciół, Bydgoszcz, marzec 1945.

¹⁷ Akta WSR, tamże.

¹⁸ Chodzi o pluton konnego zwiadu, który w okresie „Burzy” i Odtwarzania Sił Zbrojnych miał stanowić załączek 2 Pułku Strzelców Konnych (z Hrubieszowa).

¹⁹ Rodzice „Sępa” zostali aresztowani 11.01.1944 r. Ojciec zginął 30.04.1945 r. w Gross-Rosen, matka wróciła z Ravensbrück we wrześniu 1945 r. (Patrz: domowe książki meldunkowe - Archiwum Państwowe w Łowiczu).

²⁰ Akcję na więzienie w Janowie przeprowadził „Podkowa” 28.04.1945 r., uwalniając 15 kobiet - uczestniczek powstania warszawskiego.

²¹ Akta WSR, tamże.

30 września 1946 r., po trwającym 3 dni procesie ogłoszono wyrok, w którym „*inżynier Wojciech Kossowski*” uznany został winnym przynależności do tajnej organizacji WiN, posiadania bez zezwolenia władz pistoletu oraz wydania rozkazu zabicia trzech milicjantów i jako karę łączną wymierzył mu karę śmierci wraz z utratą praw na zawsze i przypadkiem całego mienia. Oprócz „Sępa” na karę śmierci skazani zostali Florian Dutkiewicz i Ludwik Augustyniak. Pozostałym zasądzone kary pozbawienia wolności od 2 do 10 lat. Jego wierny druh Boguś Lepionko dostał rok do odsiadki. Po 5 miesiącach wyszedł z więzienia po lutowej amnestii 1947 roku.

Tymczasem „Sęp”, po wniesieniu odwołania od decyzji Wojskowego Sądu Rejonowego oczekiwał na złagodzenie wyroku przez Sąd Najwyższy. Równocześnie jego obrońca wystąpił do sądu o zgodę na zawarcie małżeństwa z Małgorzatą Teresą Muzalewską, by *w razie niekorzystnej decyzji Sadu Najwyższego* skazany mógł przejąć prawa spadkowe (z dalszej rodziny) na świeżo poślubioną żonę.

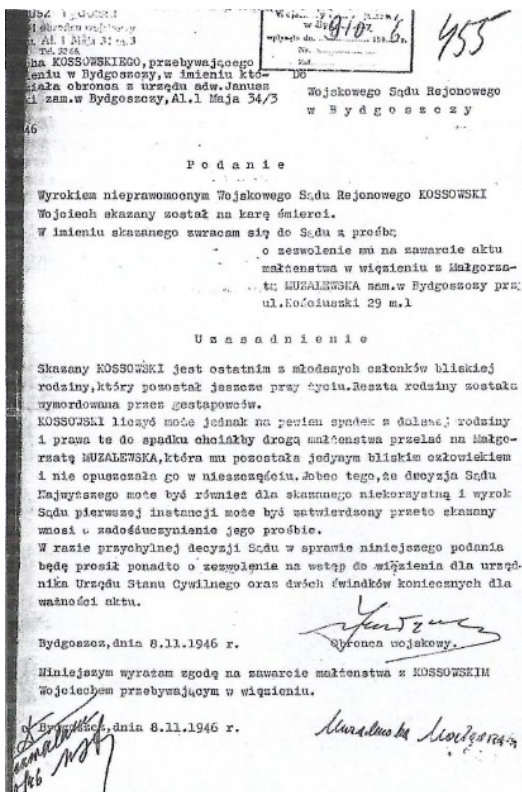
Jak to z „Sępem” było”

Ich ślub odbył się 12.10.1946 r. w celi śmierci bydgoskiego więzienia w obecności mecenasa Janusza Tydelskiego i Józefy Klundel, jako świadków. Jednak prawa spadkowe były tu tylko zastaną dymną. W rzeczywistości stary wyga bydgoskiej palestry sięgnął, w obliczu śmierci swego klienta, do zwyczaju znanego w dawnym prawie polskim jako wypraszenie od kary śmierci. Chodziło w nim o zawarcie małżeństwa przed egzekucją i poręczeniu przez kobietę za poślubionego skazańca... Jeśli prawa spadkowe były fikcją, to co skłoniło młodą dziewczynę do tak wielkiego heroizmu? Tropem tym poszła dr Alicja Paczoska-Hauke z bydgoskiej delegatury IPN:



Małgorzata Muzalewska (filmowa Krysia).

Jej pierwsze spotkanie z nim było bardzo nietypowe. Muzalewska była piękną kobietą, zwracającą uwagę mężczyzn. Wiosną 1945 r. Bydgoszcz była pełna czerwonoarmistów, którzy niejednokrotnie dokonywali gwałtów na przypadkowo spotkanych kobietach. O mało nie spotkało to Muzalewskiej. Krzyk broniącej się przed nachalnym żołdakiem kobiety, dobiegający z jednej z kamienic przy ulicy 3 Maja, usłyszał przechodzący tamtędy przypadkowo „Sęp”, który wybawił ją z opresji [...]. Zaprosiła go na obiad a potem zaczęły się sporadycznie spotykać. Gdy po roku sytuacja się odwróciła i to „Sęp” walczył o życie, dzielna kobieta zrobiła wszystko, żeby go uratować⁶²².



²² A. Paczoska-Hauke, *Zeszyty Historyczne WiN-u*, nr 46 z roku 2017, ss. 97-98.

A czas nagił. Wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego podtrzymał Sąd Najwyższy. Starania Małgorzaty o „wyproszenie od śmierci” swojego męża, nie powiodły się - prezydent Bierut nie skozystał z prawa łaski...

27.11.1946 r. o godzinie 18.35 pluton egzekucyjny bydgoskiej bezpieki rozstrzelał Wojciecha Kossowskiego, Ludwika Augustyniaka i Floriana Dutkiewicza. Akt zgonu „Sępa” zarejestrowano w bydgoskim USC pod numerem 753/1947, lecz miejsce pochówku całej trójki skrywała mroczna tajemnica. Dopiero w czerwcu 2018 r. ekipa Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN natrafiła na ich szczątki na cmentarzu komunalnym przy ulicy Kcyńskiej. Dzięki badaniom genetycznym, 4 października rodziny zamordowanych otrzymały noty identyfikacyjne²³. Po 72 latach trzech Wyklętych odzyskało tożsamość.

Jednak w „Indeksie represjonowanych w PRL z powodów politycznych”, „Sęp” nadal figuruje jako *inżynier agronom Wojciech Kossowski*. Jego kwestionariusz wypełniono w oparciu o akta Wojskowego Sądu Rejonowego w Bydgoszczy, bez ich weryfikacji lub konfrontacji z innymi materiałami. Dzięki Ewelinie Cześniak z Warszawy, krewnej „Sępa” ze strony matki, wiadomo definitywnie, że jest on Tadeuszem Antonim Ośko, urodzonym 11.05.1913 r. w Warszawie. Jego ojciec Jan Ośko do 1938 r. pracował na stacji kolejowej Chodecz koło Włocławka, skąd przeniósł się do Łowicza na stanowisko zawiadowcy stacji.



Tadeusz Ośko jako rotmistrz Kossowski, rok 1945.

Z zapisów w domowych książkach meldunkowych wynika, że Tadeusz Ośko wrócił z wojny do rodziców w Łowiczu 30 października 1939 roku²⁴. Przybył tu z „*Jaworiny na Słowacji*”, jest bez zawodu i posiada stopień kaprała. Informacje dodatkowe, a przede wszystkim rodzinne fotografie wspomnianej już Eweliny Cześniak dowodzą, że jej kuzyn „po wojsku” podjął służbę w Straży Granicznej. Potwierdzają to także materiały archiwalne SG, które mówią, że w grudniu 1937 r. ww. otrzymał przydział do Inspektoratu Granicznego w Nowym Targu. Wybuch wojny zastał go na placówce I linii „Podspady” koło Jaworzyny. Od samego początku, od pierwszych godzin wojny, brał udział w walkach granicznych z Niemcami i Słowakami.

Dla dopełnienia tej opowieści przytoczę jeszcze fragment pisma Archiwum Państwowego w Łowiczu w odpowiedzi na moje zapytanie dotyczące udziału Tadeusza Ośko w łowickiej konspiracji:

Ponadto informuję, iż jestem w posiadaniu kopii listu chorążego 10 pułku piechoty w Łowiczu Mariana Buczmy-Kozłowskiego do znanego historyka dr. Jana Wegnera, w którym zostały opisane początki działalności organizacji konspiracyjnej pod nazwą Polska Organizacja Zbrojna. Na jej czele stał b. dyrektor Liceum Pedagogicznego w Łowiczu Stanisław Smorowski [...]. Sprawami wojskowymi zajmował się Buczma-Kozłowski, a za łączność z Warszawą odpowiadał chorąży Jan Łyszkowski. Wśród cywilnych członków tej organizacji autor listu wymienia Tadeusza Ośko z dopiskiem „późniejszy pułkownik”. Jest to jedyna wzmianka o tej postaci²⁵. (W podpisie mgr Marek Wojtylak).

I ta jedyna wzmianka o *późniejszym pułkowniku*, wypowiedziana przez samego Buczmę (!), przywołała na moją pamięć niegdyśszą dyskusję w gronie zamojskich kombatanów AK o filmowym pułkowniku Kwiatkowskim. Według „warzawiaków” akcja tego filmu oparta jest na losach

²³ H. Sowińska, *Bydgoska „Łączka” czyli tajemnice 5 rzędu*. „Gazeta Pomorska” z 5.10.2018 r.

²⁴ Ostatni zapis w książce meldunkowej dotyczący „Sępa” pochodzi z 8.08.1943 r. (wymeldowanie z Łowicza).

²⁵ Pismo Archiwum Państwowego m.st. Warszawy, Oddział w Łowiczu z 16.04.2012.

„naszego Sępa”²⁶. O jego wyczynach w Bydgoszczy wiedziałem już wcześniej od Adama Piotrowskiego - „Doliny” i samego Lepionki, ale do rewelacji usłysanych teraz, podszedłem z rezerwą. Wszak przy... „ognisku” mówi się różne rzeczy.

Dopiero po obejrzeniu filmu nie miałem już wątpliwości kto jest prawozorem głównego bohatera. Tylko, że w filmie to kapitan wciela się w postać pułkownika, w rzeczywistości to kapral z małą maturą, działonowy 23 Pułku Artylerii Lekkiej wcielił się w postać porucznika AK, później rotmistrza kawalerii LWP i wreszcie kapitana UB. Kapitana - nie pułkownika. Cóż więc miał na myśli Buczma-Kozłowski mówiąc o „późniejszym pułkowniku”?



Stanisława Ośko z małym Tadeuszem.

*Po upadku powstania - opowiada Ewelina Cześnik - nasza rodzina zamieszkała u Ośków w Łowiczu. Z opowieści rodziców wiadomo mi, że wiosną 1945 roku do Łowicza zawitał Tadeusz*²⁷.

²⁶ Warszawiacy - warszawskie środowiska żołnierzy 9 Pułku Piechoty AK.

²⁷ Z zeznań „Sępa” złożonych w śledztwie: *W marcu 1945 r. wyjechałem na Śląsk. Tam handlowałem skórą [...]. Między Jelenią Górą a Katowicami zostałem okradziony przez radzieckich żołnierzy. W grudniu powróciłem do Bydgoszczy i zacząłem szukać posady [...]. Wprawdzie o Łowiczu nie wspomina, co jest zrozumiałe, ale zapewne to tam przebywał w tym czasie. Patrz akta WSR.*

Był w mundurze pułkownika, co bulwersowało mojego dziadka, który go mocno mitygował. Ale Tadeusz - pozostawiając siostrze wszystkie swoje fotografie - wyjechał przekonany o śmierci rodziców i słuch o nim zaginął. Dopiero po dwóch latach jego żona, a właściwie wdowa po nim, Małgorzata, odszukała jego siostrę [...] w Częstochowie. Tutaj zastała też ich matkę i swoją teściową - Stanisławę z Brodeckich Ośko - cudem ocalałą z obozowej gehenny w Ravensbrück.

I ta informacja niech będzie puentą opowieści o późniejszym pułkowniku.

Waldemar Seroka

Irena Kulik

Mój Krasnystaw



Kiedy w zieleni szumi wiatr,
rozwiewa parkowe zadumanie.
wtedy z rumieńcem mówi: - Tak!
- Jesieni na pożegnanie.

Kiedy rzewnie pada deszcz,
róż nieba w kałuży muśnie.
Kiedy z chmury sygnie śnieg -
otulony, w złocie z latarni - uśnie

Pełnia nad Krasnymstawem

Między krzyżem a ubielonymi gałęziami
złota pełnia wynurzyła pod mrocznymi chmurami.
Zastygła w zadumie obok świątyni,
Przystając nad latarnią między innymi.

Niebo rozjaśniła na otwartej przestrzeni
nadzieją napawając przesłaniem się mieni,
delikatnie przemieszczając po chłodnym otoczeniu:
betonie, metalu, szkłe, drewnie, kamieniu,
ozłaczając ulice, wiekowych fasad rumieniem,
miedzianemu lirkowi zakładając wieniec.

Nad Kłęczącym Drzewem cichutko przystanąła
rozmarzona -
za pierzastą kurtyną na chwilę znów zniknęła.

Monika Nagowska

Rękopis znaleziony w...
Poznaniu. Nowe tropy w życiorysie
Augusta Cieszkowskiego
- część II



Dziennik filozoficzny Augusta Cieszkowskiego dostarcza wielu informacji nie tylko o jego pobycie w Surhowie, ale też o życiu towarzyskim. Przebywając na wsi, skupiony był na „zatrudnieniach gospodarskich” i na rozwijaniu koncepcji filozoficznych oraz lekturze wybranych książek. Spotykał się co prawda z wujem Kajetanem Kikim, jednak szersze grono dostępne było dopiero w Warszawie. Z czasu pobytu w stolicy często w rękopisie pojawiają się adnotacje o wizytach u Łuszczewskich lub w salonie Łuszczewskiej. Na przykład w 1837 r.: „Dyskusja paradoxalna o tolerancji u Łuszczewskich” (od 6 września do 14 września), „wieczory u Łuszczewskiej” (do 22 września). Chodzi o znany w owym czasie salon prowadzony przez Ninę Łuszczewską. Salon funkcjonował od 1834 roku, spotkania organizowano w poniedziałki w Kamienicy Misjonarskiej przy Pałacu Staszica. O tym jak wyglądały owe wieczory w latach, gdy bywał na nich August Cieszkowski, dowiedzieć się można ze wspomnień córki gospodarzy Jadwigi Łuszczewskiej zwanej Deotymą. Choć Jadwiga - jako trzyletnie dziecko - nie mogła pamiętać szczegółów wydarzeń z 1837 roku, najwyraźniej знаła je z opowiadań: *Mój ojciec i moja matka byli naówczas młodą parą [...]. Wieczory u nich nie zostały bynajmniej przedsięwzięte w uroczystym celu otworzenia salonu literackiego, był to po prostu dzień wybrany w tygodniu dla przyjmowania przyjaciół i znajomych. [...] Mieszkanie było nieduże, umeblowane ładnie, chociaż bez przepychu, po obywatelsku. W niebieskim saloniku zbierało się kółko nieliczne, ale za to tak wyborne, że jeszcze w kilkanaście lat później, za czasu najświetniejszych tłumnych poniedziałków, słyszałam jak moja matka wspominała z żalem owe pierwotne zebranka i twierdziła, że ze wszystkich te były najrozkoszniejsze, bo wtedy zgromadzały się tylko same osobistości wybitne, wtedy toczono porządnie rozprawy religijne i filozoficzne lub wyprawia-*

*no szermierkę na błyszczące dowcipy*¹. Znajomi i przyjaciele przychodzili ok. godziny 22:00. Na spotkaniach prowadzono rozmowy, słuchano muzyki i deklamowanych wierszy (w późniejszym okresie m.in. improwizacji młodziutkiej Deotymy). Zajmowano się więc poważnymi i wzniosłymi sprawami. U Łuszczewskiej nie tańczono, nie wydawano wystawnej kolacji ani nie grano w karty. Gości częstowano herbatą i ciastem - często z włoskiej cukierni Lessla (założonej w Warszawie jeszcze w 1727 roku przez Karola Lessla) - winem węgierskim i lemoniadą oraz domowymi „tartynkami”, czyli małymi kanapkami, np. z sardynkami lub siekanym jajkiem. O północy podawano cygara i niektóre panie żegnały się. Spotkanie trwało jednak nadal aż... do rana. Wówczas podawano kawę i dopiero wtedy goście rozchodzili się do domów. Rozmowy, deklamacje i muzyka musiały być zajmujące, skoro uczestnicy cieszyli się swoim towarzystwem przez całą noc.

Pierwsze adnotacje Cieszkowskiego w dzienniku na temat wizyt w salonie Łuszczewskiej pojawiają się we wrześniu 1837 roku, czyli przed wyprawą filozofa do Surhowa. Właściciel dóbr przybył tu jesienią, ale na zimę powrócił do stolicy. O karnawale 1838 roku, co prawda niewiele można wyczytać z samego dziennika, jednak zachowały się wzmianki prasowe na temat repertuaru muzycznego, miejsc i osób uczestniczących w zabawie. Jeśli chodzi o muzyczną modę, to grano w tym okresie walce, mazury, polonezy, kontredanse i galopy nazywane galopadami. Sięgano też po motywy zaczerpnięte z wystawianych wówczas oper. W „Kurierze Warszawskim” - tym pierwszym plotkarzu stolicy - można odnaleźć opisy karnawałowych szaleństw poczynawszy od balu sylwestrowego Resursy² Kupieckiej, na którym bawił się namiestnik książę Iwan Paskiewicz z małżonką (poloneza tańczyli z nimi w pierwszych parach hr. Henryk Łubieński i prezesowa Lubowidzka), poprzez bal w Nowej Resursie przy ul. Długiej, aż po zabawy w domach prywatnych i maskarady

¹ [Łuszczewska Jadwiga]: *Pamiętnik Deotymy*. Warszawa: Księgarnia E. Wende i Sp., 1910, ss. 3-4. Dostępny w Internecie: <https://polona.pl/item/pamietnik-deotymy-jadwigi-luszczewskiej,Njc4NjAwMjg/6/#info:metadata>.

² Resursa - klub towarzyski.

w teatrach. Oprócz opisu wytwornych toalet pań, pojawia się też informacja o strojach panów przybyłych na bal, co może dać pewne wyobrażenie o tym, jak wyglądał August Cieszkowski w karnawale: *Mężczyźni po większej części mieli fraki w kolorach granatowym, zielonym i brązowym, guziki duże złote lub srebrne, kamizelki atlasowe w ciemnych bardzo kolorach, ale żywymi cieniowanymi; fraków czarnych było nie wiele chociaż teraz należą do najmodniejszych, kołnierz powinien być sukienny niezmiernie niski, spadający nieco na ramiona i przystający do piersi. Żaboty u koszul są nieodzownie potrzebne, szpilki miejsce guziczków zastępują. Chustka na szyję biała wziętość swoją odzyskiwać zaczyna, na wielkich balach nawet jest już przytęta*³.



Męskie ubranie - surdut poranny sukienny, „pantalony kortowe” i kamizelka z podwójnego kaszmiru. Źródło: „Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1837 nr 50. Dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/117992/display/Default>.



Po lewej męskie ubranie na przechadzkę - surdut sukienny podszyty aksamitem i frak brązowy ze złożonymi guzikami oraz „pantalony kortowe”⁴ i koszula batystowa. Po prawej - „greczynka” sukienna z aksamitnym kołnierzem oraz pantalonami sukiennymi w kratkę. Źródło: „Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1837 nr 50. Dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/117992/display/Default>.

Bawiono się też w innych miejscach. Przy ulicy Królewskiej w dawnym pałacu Łubieńskich otwarto salę dla tańczącej publiczności i zaoferowano muzykę w każde święto i poniedziałki przez

cały okres karnawału. Śpiewu można też było posłuchać w kawiarniach warszawskich, występowały: Paulina Prajs, siostry Zenger, familie - Hessen, Hagenmajster, Bertoldów, Rudlerów i Protz oraz Śpiewacy Alpejscy i Styryjscy. W prasie ogłaszano, że można zamówić pączki w trzech rodzajach po trzy grosze i faworki po groszu, a także reklamowano ofertę wypożyczalni kostiumów karnawałowych i sprzedaż galanterii - pantofelków damskich balowych i rękawiczek. 8 stycznia „Kurier” donosił, że przejażdżki saniami wstrzymano z racji silnego wiatru i opadów śniegu - sanna również należała do karnawałowych rozrywek w stolicy, nazywano ją „szlichtadami”⁵.

W dniu Trzech Króli tradycyjnie wybierano podczas zabaw Króla Migdałowego: *Zabawa ta wznowiona w kilku domach prywatnych, rozpoczęta została podwieczorkiem, którego głównym przysmaczkiem był ogromny tort biszkoptowy, mieszczący w sobie ziarno nowego państwa nieznanego na kuli ziemskiej. Panowie i Panie, których los tą chwilową godnością opatrzył, wybierały współników i doradców, ale rzecz szczególna, że w każ-*

³ „Kurier Warszawski” 1838 nr 2, s. 6.

⁴ Kort - ciężka tkanina wełniana (<https://sjp.pwn.pl/szukaj/kort.html>).

⁵ A. Łupienko: *Przestrzeń publiczna Warszawy w pierwszej połowie XIX wieku*. Warszawa: Polskie Towarzystwo Historyczne, Instytut Historii PAN, Wydawnictwo Neriton, 2012, s. 131.

dym takim składzie Kobiety nieograniczoną władzę sobie przywłaszczały. Ulegano im we wszystkim, słuchano ich rozkazów⁶. Szaleństwa usiłowało nieco okiełznać, zwłaszcza podczas licznych „maskarad”. Nie wolno było wnosić na nie szpad, pałaszy, lasek i parasoli, a salopy, płaszcze i futra należało składać za „kontuarkami” w określonych miejscach (o tym też przypominał „Kurier”).

W dzienniku Augusta Cieszkowskiego znajdują się lakoniczne zapisy o jego udziale w licznych spotkaniach i warszawskich balach karnawałowych, zwłaszcza w styczniu 1838 roku. Na karcie 5 umiejscowił on takie oto notatki: „Wieczór u Łuszcz. [...] Bal w zamku [...] wieczór tańczący [...] Bal u X Jabłonow[skich] [...] Bal kostiumowy w zamku Wizyty”. O balu u Jabłonowskich zorganizowanym 12 stycznia 1838 roku donosił rzecz jasna „Kurier Warszawski”: *Znany z gościnności dom JO. Xtwa Jchmość Jabłonowskich, otworzył wczoraj podwoje okazałego i ozdobnego apartamentu na przyjęcie JO. Xtwa Namiestnikostwa, i nader liczного grona najznakomitszych osób stolicy. Wesole tańce przerwane na chwilę wykwinną wieczerczą, a wznowione po jej ukończeniu z podwojonym zapalem, przeciągnęły aż do późna świetną zabawę, do której ozdoby przyczyniła się niemało obecność najpiękniejszych Dam naszych, zawsze śliczne a szczególnie tym razem ich toalety, oraz nader staranne ozdobienie salonów. Orkiestra [...] grała nowe kontredanse Musarda pod tyt: „Młody wiek”, i 2 nowe wyborne Mazurki Szturma i Kurzątkowskiego⁷. Z kolei wspomniany „Bal w zamku”, to zabawa na Zamku Królewskim w Warszawie zorganizowana 13 stycznia 1838 roku. Zamek po powstaniu listopadowym stał się siedzibą namiestnika i administracji rosyjskiej. Tym razem to książę Iwan Paskiewicz przyjmował tu gości na... maskaradzie: *Liczniejsze iak zwykle grono znakomitych osób pomnożone gośćmi przybyłemi do stolicy dla złożenia powinszowań noworocznych JO. Xciu Namiestnikowi, napełniło zawczasu ozdobną salę kolumnową zamku przygotowaną na bal kostiumowy. Każdy chciał być zawczasu, każdy chciał pierwszy przypatrzeć się toaletom i kostiumom, odgadnąć ich znaczenie i charakter, podziwić wybór gustow-**

*ny, ocenić dokładną wierność ubiorów⁸. „Kurier” w kwestii balu u namiestnika był bardzo dokładny, gdyż ze szczegółami opisano kostiumy pań, na koniec zaś notatki dodano: *Kostjumów męzkich tym razem nie było. Orkiestra wszystkie tańce grała z najulubieńszych tematów Roberta Diabla⁹. Mowa o najmodniejszych wówczas melodiach z opery Giacomo Meyerbeera pod tym właśnie tytułem. Jej premiera w stolicy odbyła się 16 grudnia 1837 r. w Teatrze Wielkim. Grano ją dziewięciokrotnie do czasu wspomnianego balu, a motywy muzyczne zdobyły niesłychaną popularność¹⁰.**



Ubranie męskie po lewej - surdut z kołnierzem aksamitnym zapinany na jeden rząd guzików, lamowany taśmą jedwabną, pantalony z sukna. Po prawej - surdut z kołnierzem i klapami sukiennymi (również obszywany jedwabną taśmą), „pantalony z pól sukienka”, krawat atlasowy. Źródło: „Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1837 nr 51. Dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/117991/display/Default>.

Kolejne wzmianki o przebiegu karnawału można znaleźć na karcie 6 dziennika Augusta Cieszkowskiego, obejmują one okres od 24 stycz-

⁶ „Kurier Warszawski” 1838 nr 6, s. 25.

⁷ „Kurier Warszawski” 1838 nr 12, s. 57.

⁸ „Kurier Warszawski” 1838 nr 13, s. 61.

⁹ Tamże, s. 62.

¹⁰ August Cieszkowski odnotował w dzienniku pod datą od 1 do 16 października 1838 r. w relacji z podróży po Normandii, że widział zamek Roberta Diabla (Le Chateau de Robert le Diable w Moulineaux). To przydomek króla Roberta I, oskarżanego o zabójstwo własnego brata dla zdobycia korony, jego historia posłużyła za kanwę libretta opery.



Po lewej - „ubranie młodego kawalera balowe”, czyli czarny frak zapinany na błyszczące guziki, aksamitna kamizelka w „złote bukiety”, batystowa koszula i sukieny płaszcz zw. „krispin” podszyty aksamitem i pikowany. W środku - surdut angielski „karrig” z jasnego sukna watowany i pikowany, pantaloney kortowe i potrzebny jedwabne. Po prawej - ubranie dla służby. Źródło: „Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1838 nr 3. Dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/117987/display/Default>.

nia do 10 lutego: „Kilka balów. - Obiad u ciotki. - Pobyt Krzysztofowstwa¹¹. - Wizyty”. Natomiast pod datą od 10 do 28 lutego znalazła się adnotacja: „Zabawy i nudy karnawałowe. Bal Kawalerski dla całego towarzystwa”. Nie wiadomo o jaki dokładnie bal chodziło tym razem. Na koniec karnawału, 19 lutego odbył się przedostatni wieczór tańczący u namiestnika oraz maskarada na 1600 osób. A 20 lutego - bal w konsulacie generalnym pruskim wydany przez Ludwiga von Niderstettera w pałacu Tarnowskich, który: *należał do najświetniejszych terazniejszych zabaw tutejszej stolicy. Wykwintność w szczegółach, okazałość w ogóle, uprzejmość i gościnność w przyjęciu, połączyły się dla pomnożenia przyjemności. [...] Po polonezie, walc, kontredans i mazur zamieniły poważny takt muzyki w dźwięczne, żywsze i weselsze tony. Po północy, znakomite Towarzystwo zasiadło w oko-*

*ło stołów, na których w oka mgnieniu rozstawiono wieczerzę, a po niej odnowiono tańce z równym ieśli nie większym ieszcze iak i w początkach wieczoru zapalem*¹².

Znamienne, że w sześć lat po upadku powstania listopadowego warszawskie elity dały się ponieść zabawie w towarzystwie rosyjskiego namiestnika. Był to czas, gdy konstytucję zastąpiono Statutem Organicznym, aresztowania i konfiskaty majątków dotyczyły osób choćby podejrzewanych o działalność spiskową, zlikwidowano sejm i polskie wojsko, a dyktatorską władzę w Królestwie Polskim objął ten, który Polaków pokonał - książę Iwan Paskiewicz. Co prawda, bezpośrednio po upadku powstania źle odbierano bale organizowane przez przedstawicieli zaborczych władz (bo kojarzyły się ze sterowaniem nastrojami w mieście), to jednak z upływem czasu polska arystokracja włączała się w życie towarzyskie, choćby po to, aby nie być posądzonym o... spiskowanie. O tym, że Polacy byli przez zaborcę zmuszani do przyjaznych gestów, świadczy choćby fakt, że gdy do Warszawy zjeżdżali przedstawiciele carskiej rodziny, na trasie ich przejazdu polecano iluminować okna. Podobnie działo się w dni świąteczne, a *kto by nie dowiódł swej radości przez zapalenie świecy ten za każde okno nieoświecone zapłaci kary [pięć rubli od okna]. Tym sposobem wszystkie dni świąt carskich stały się dniami publicznej, narodowej szczęśliwości*¹³. Lakoniczność zapisków 23-letniego Cieszkowskiego na temat karnawałowych balów - przypominająca wzmianki o sprawieniu okularów, obstalowaniu olejarni czy bólu głowy - może świadczyć o dystansie młodziutkiego filozofa do tych beztrudnych lub wymuszonych zabaw. August podobno lubił tańczyć mazura, jak wspomina w swoim pamiętniku Klara Dembińska (późniejsza opiekunka synów filozofa), ale w czasie karnawału zajmował się o wiele poważniejszymi sprawami: postępami mechaniki w przemyśle fabrycznym i rolniczym, reformą agronomii, górnictwem, leśnictwem, czy też planem uwolnienia rolnictwa od zadłużenia. Dziennik zawiera obszerne fragmen-

¹¹ Chodzi o stryja - Krzysztofa Cieszkowskiego i jego żonę Joannę z Malzanów, czyli rodziców przyszłej żony Augusta - Heleny zwanej Haliną (miała w opisywanym okresie 2 lata).

¹² „Kurier Warszawski” 1838 nr 50, s. 233.

¹³ Cytat za: Łupienko Aleksander: *Przestrzeń publiczna Warszawy w pierwszej połowie XIX wieku*. Warszawa: Polskie Towarzystwo Historyczne, Instytut Historii PAN, Wydawnictwo Neriton, 2012, s. 147.

ty rozważań na ten temat, co w pośredni sposób wskazuje na hierarchię ważności opisywanych spraw. Gdyby nie doniesienia „Kuriera Warszawskiego” przechowywanego po dziś dzień w bibliotekach, w niepamięć odeszłyby opisy barwnych strojów karnawałowych. Okazało się, że codzienne i płoche życie stolicy wraz z upływem czasu znaczy o wiele mniej niż przemyslenia i czyny polskiego filozofa, w końcu i tak aresztowanego przez władzę carskie i zmuszonego do emigracji.



Po lewej - szlafrok męski z wybijanego atłasu wyłożony aksamitem, fular jedwabny. W środku ubranie na wieczór - frak i pantalony brązowe, atłasowa kamizelka i krawat atłasowy. Po prawej - frak ciemnozielony, pantalony kortowe, surducik „karrik” podszyty pluszem. Źródło: „Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1838 nr 7. Dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/117983/display/Default>.

W tym smutnym okresie polskiej historii życie towarzyskie niosło i pożyteczne inspiracje. Podczas karnawału 1838 roku August Cieszkowski zaczął planować swoją europejską podróż. W dzienniku pojawia się nawet tajemnicze nazwisko „Maryewski”: „Projektowanie podróży z Maryewskim” (od 24 stycznia do 10 lutego), „Rozmowy o Paryżu” (od 10 do 28 lutego), czy w późniejszym okresie - „Ustalenie projektu podróży z Maryewskim” (od 1 do 23 marca), w końcu zaś: „Wyjazd z Maryewskim” (od 1 lipca). Przypuszczalnie chodzi o Stanisława Maryewskiego - z wykształcenia lekarza, urzędnika Królestwa Polskiego, zatrudnionego w Służbie Ogólnej Komisji Województwa



Po lewej - sukienny surdut podszyty pluszem, lamowany taśmami jedwabnymi, pantalony z „pótsukienka”. W środku - wiosenny surdut podszyty aksamitem, Po prawej - brązowy frak ze złożonymi guzikami, pantalony z „kaszmirku” z jedwabną taśmą, kamizelka aksamitna i atłasowy krawat. Źródło: „Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1838 nr 12. Dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/117978/display/Default>.

Sandomierskiego. Maryewski ożenił się w 1835 roku i wówczas zakończył służbę w komisji. Po roku młoda żona zmarła, a więc w okresie, gdy August planował wyjazd, Stanisław mógł być zainteresowany wspólną wyprawą za granicę. Ponieważ w dzienniku nie pada imię towarzysza przyszłej podróży, ta hipoteza wymaga dalszych badań.

Pewnym jest natomiast, że to właśnie w salonie Łuszczewskiej (mąż Niny utrzymywał, że „salon” jest wyłączną domeną żony, mimo że sam również angażował się w przygotowania) powstał w 1840 roku pomysł założenia periodyku „Biblioteka Warszawska”. Pismo zaczęło wychodzić w 1841 roku, publikował w nim August Cieszkowski, uznawany za współzałożyciela. W poniedziałkowych spotkaniach brała udział elita intelektualna stolicy, od 1842 roku zaczęto prowadzić ewidencję, stąd wiadomo o wielu osobistościach bywających w tym gościnnym domu. Sam August Cieszkowski po wyjeździe do Wierzenicy odwiedzał Łuszczewskich rzadziej, ale przy okazji bytności w stolicy korzystał z tej dobrze mu znanej intelektualnej uczty.

Jego wizytę w 1844 roku wspomina Deotyma: *W tym że roku zjeżdża też i filozof innego rozmiaru, powinowaty nasz, August Cieszkowski, jeden z wielkich myślicieli tego wieku, potężny pisarz, gość miły w obcowaniu, z twarzy i z mądrości podobny do Sokratesa*¹⁴. Deotyma nazywa Cieszkowskiego powinowatym, mając na myśli, że jej siostra stryjeczna Marianna Łuszczewska wyszła za mąż za Lucjana Woronieckiego - brata ciotecznego Augusta. To właśnie z rodem Woronieckich łączy się kolejny nowy wątek opowieści.

Za ks. Antoniego Piotra Woronieckiego wyszła za mąż ciotka Augusta - siostra Pawła Cieszkowskiego - Barbara. Z tego związku narodziło się czworo dzieci, m.in. Lucjan (przyszły mąż Marianny Łuszczewskiej) i Jeremiasz, który okazuje się w świetle zapisków w dzienniku przyjacielem z lat młodości filozofa. To właśnie dziennik dowodzi zażyłości ciotecznych braci, gdyż w 1838 wielokrotnie przewija się w nim imię młodego Woronieckiego: „Przyjazd Jeremiasza do Warszawy” (od 10 do 24 stycznia), „Przeprawa przez Wisłę z [...] Jeremiaszem” (od 1 do 23 marca), „Półtoradniowy pobyt Jeremiasza” (od 23 marca do 7 kwietnia), „Pożegnanie z Jeremim” (od 3 maja do 30 maja), „Pożegnania [...] Papa i Jeremiasz odprowadzali” (od 1 lipca).

W pamiętniku przewija się też nazwa „Huszelew”, np.: „Listy do Surhowa i Huszlewa” i „Dniówka w Huszlewie” (do 6 października 1837 r.), „Rozmowa z nim [z Jeremiaszem - przyp. MN] o wydzierżawieniu Huszlewa (od 23 marca do 7 kwietnia 1838 r.). Chodziło o majątek w Huszlewie (położony na wschód od Warszawy), objęty przez Woronieckich w 1688 roku, który Cieszkowski odwiedzał w drodze do Surhowa i w którym chętnie przebywał. Tamtejszy pałac - istniejący do dziś - wybudowano ok. 1809 r. Budowla ma typowy w tamtych czasach



Pałac Woronieckich w Huszlewie, fot. M. Falkowski (źródło: http://www.ciekawepodlasie.pl/info.htm#652/pl/p/zabytkowy_zespol_dworski).



Pałac Cieszkowskich w Surhowie, fot. M. Nagowska.

styl klasycystyczny i kształt wydłużonego prostokąta, jest parterowa z piętrową częścią środkową, z czterosпадowym dachem krytym gontem. Pałac ozdobiony jest portykiem z dwiema parami kolumn tokańskich i trójkątnym frontonem, a od strony ogrodu - ryzalitem. Wewnątrz za klatką schodową znajduje się główna sala o ściętych narożach - nikt jej nie nazwał „salą białą” jak w Surhowie...

Jeśli opis nie nasuwa skojarzeń z pałacem Cieszkowskich, to z pewnością fotografie dowodzą jego znacznego podobieństwa do pałacu Woronieckich w Huszlewie. Bryła, styl, architektoniczne ozdoby, proporcje, portyk z kolumnadą i znajdujące się za nim piętro są charakterystyczne dla dworów budowanych na początku XIX wieku. Nawet przy uwzględnieniu różnic nasuwa się przypuszczenie, że pałac budowany przez Pawła Cieszkowskiego był wzorowany na siedzibie sio-

¹⁴ [Łuszczewska Jadwiga]: *Pamiętnik Deotymy*. dz. cyt., s. 9.

stry Barbary z Cieszkowskich Woronieckiej. Tłumaczyłoby to zadziwiająco szybkie rozpoczęcie budowy - w październiku 1813 roku Paweł zawarł z Kickimi umowę przedślubną, a prace w Surhowie ruszyły jeszcze przed zimą. Czy bez gotowych projektów architektonicznych byłoby to możliwe? Wiele lat później u swojego ciotecznego brata w Huszlewie August Cieszkowski mógł się poczuć niemal jak we własnym domu. A jednak powracał do Surhowa, by wieść życie gospodarza i filozofa - zgodnie z maksymą łączącą pokolenia: *sub veteri tectu sed parenteli*¹⁵.

Monika Nagowska

Bibliografia

Cieszkowski August: *Dziennik 1837-1839*. Zbiory Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu (rkps 153 IV/1).

„Kurier Warszawski” 1838 nr 2, 6, 12, 13, 50.

Łupienko Aleksander: *Przestrzeń publiczna Warszawy w pierwszej połowie XIX wieku*. Warszawa: Polskie Towarzystwo Historyczne, Instytut Historii PAN, Wydawnictwo Neriton, 2012.

[Łuszczewska Jadwiga]: *Pamiętnik Deotymy*. Warszawa: Księgarnia E. Wende i Sp., 1910. Dostępny w Internecie: <https://polona.pl/item/pamietnik-deotymy-jadwigi-luszczewskiej,Njc4NjAwMjg/6/#info:metadata>

„Magazyn Mód. Dziennik Przyjemnych Wiadomości” 1837 nr 50, 51; 1838 nr 3, 7, 12.

Tomaszewski Wojciech: *Muzyka użytkowo-popularna w warszawskich lokalach i miejscach w latach powojennych*. „Rocznik Biblioteki Narodowej” 2015, t. XLVI, s. 155-196. Dostępny w Internecie: <https://www.bn.org.pl/download/document/1486640540.pdf>.

Lucjan Cimek

Dramat osadników wołyńskich



Wkroczenie jednostek Armii Czerwonej 17 września 1939 r. na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej, ogólnie przyjęte było przez ludność jako „idąca pomoc” przeciwko armii niemieckiej. Nawet Korpus Ochrony Pogranicza nie otrzymał odpowiednich rozkazów z Naczelnego Dowództwa WP, a do dowódcy KOP-u docierały pogłoski, że prawdopodobnie oddziały Armii Czerwonej wkraczają do Polski, jako „przyjaciel i sojusznik”. Polskie władze administracyjne w Tarnopolu, Zdobunowie, Zbarażu, polecały przyjazne ustosunkowanie się do Armii Czerwonej „idącej na pomoc polskiemu wojsku”. Ukraińcy powszechnie stawiali bramy powitalne.

W pierwszej fazie okupacji, zgodnie z wcześniej ustalonym planem, Związek Radziecki przystąpił do likwidacji kierowniczych elementów narodu polskiego na ziemiach okupowanych. W odezwie do Armii Czerwonej i ulotkach do ludności ziem zagrabionych nawoływano do likwidowania „wrogów ludu”, a więc urzędników państwowych i samorządowych, sędziów, prokuratorów, funkcjonariuszy policji, oficerów i podoficerów zawodowych, właścicieli ziemskich, fabryk i większych przedsiębiorstw handlowych, działaczy politycznych i społecznych, kierowników organizacji kulturalno-oświatowych i związków religijnych, działaczy organizacji gospodarczych i spółdzielczych itp.

Dla Polaków rozpoczęła się straszna chwila, komuniści z KPZU mordowali sąsiadów, grabili, podpalali budynki, niszczyli obrazy świętych i często z błałego powodu zabijali ludzi. Od razu po wkroczeniu rozpoczęły się aresztowania wszystkich Polaków będących na listach ukraińskich agentów. Aresztowanych opluwano, kopano i bito po twarzy. Władze radzieckie udzieliły Ukraińcom 24-godzinne zezwolenia na „rozprawienie się z Polakami”. Zaczęło się rabowanie i mordowanie osadników bądź wydawanie ich w łapy NKWD z opisem wrogiej działalności przeciwko ZSRR.

¹⁵ Tłum z łac.: „Pod starym dachem, lecz rodzicielskim” - słowa te widnieją nad wejściem do dworu dziadka Augusta w Sucheju, gdzie wychował się Paweł Cieszkowski i gdzie na świat w 1814 roku przyszedł sam August.

Taki los spotkał m.in. Dezyderego Smocz-kiewicza, syna Albina i Karoliny z Kuliniczów, urodzonego 26 lutego 1900 r. w miejscowości Leszczowate, pow. Lesko. Jako inwalida wojny polsko-bolszewickiej był od 1923 r. osadnikiem wojskowym w Horodyszczu, posłem na Sejm RP w latach 1935-1938 oraz prezesem Wojewódzkiej Rady Związku Osadników w Łucku i prezesem Wołyńskiego Towarzystwa Organizacji i Kółek Rolniczych. Na bazie tych organizacji D. Smocz-kiewicz zapoznał się z - pochodzącym z powiatu krasnostawskiego - Franciszkiem Żurkiem, osadnikiem wojskowym w Podzamczu, pow. Dubno.

Franciszek Żurek do WTOiKR wnosił wiele cennych inicjatyw gospodarczych, takich jak: doświadczalnictwo, stosowanie nawozów mineralnych, dokształcanie na kursach i organizowanie wycieczek do przodujących gospodarstw. Zwracał też uwagę na rolę kobiet w prawidłowym utrzymaniu gospodarstwa domowego, hodowli drobiu oraz podnoszeniu poziomu życia kulturalnego z wykorzystaniem bibliotek i trzech uniwersytetów ludowych na Wołyniu, a mianowicie w Rożynie k. Kowla, w Michałówce k. Dubna i w Małyńsku (prowadzonych przez liceum krzemienieckie). Te cenne inicjatywy Żurka zyskiwały poparcie i pełną aprobatę D. Smocz-kiewicza, ale były też rozpatrywane na posiedzeniach zarządu WTOiKR z udziałem wnioskodawcy. Ich realizacja przebiegała na różnego rodzaju kursach organizowanych w ramach Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej ze wsparciem finansowym z WTOiKR. Przykładem był kurs dla działaczy społeczno-oświatowych zorganizowany w Ludwisinie w 1935 r., w którym uczestniczyło ponad 30 osób z Franciszkiem Żurkiem na czele jako współorganizatorem.

Szeroko znany, popularny i kontaktowy Dezydery Smocz-kiewicz został aresztowany przez ukraińskie NKWD obwodu rówieńskiego „jako kierownik miejscowej organizacji OZN” (Obóz Zjednoczenia Narodowego). Według dostępnych źródeł, nastąpiło to w nocy z 23 na 24 września 1939 r. we własnym domu w Równem. Tam mieszkał z żoną i synem od 1931 r. Śledztwo (po przesłuchaniu ukraińskich „świadków”) wszczęto 30 grudnia 1939 r. Po brutalnym przesłuchaniu i przedstawieniu „dowodów winy”, został osadzony w więzieniu w Równem, skąd 26 marca 1940 r. wywieziono do

więzienia w Charkowie. W świetle informacji przekazanych przez Janinę Smogorzewską z Wielkiej Brytanii, w charkowskim więzieniu przebywał do 28 kwietnia 1940 r., kiedy to został wywołany w grupie 105 więźniów na rozstrzelanie ...strzałem w tył głowy. Akta śledcze 2 kwietnia 1940 r. przesłano do NKWD ZSRR w Moskwie z adnotacją „k-k”, co prawdopodobnie oznaczało specjalny sąd NKWD, popularnie zwany „Trojką”, ferujący głównie wyroki śmierci.

Natomiast losy Franciszka Żurka potoczyły się nieco inaczej. Po pierwszym aresztowaniu w październiku 1939 r. został celowo wypuszczony dla obserwacji, a następnie na początku lutego 1940 r., wraz z żoną i czterema córkami, zaliczony do tzw. *specperesieleńców* (przesiedleńców) i wywieziony w okolice Archangielska, gdzie deportowano bardzo wiele rodzin polskich nie tylko z Wołynia. Deportowani rozproszeni byli po całym wschodnim i północnym terytorium ZSRR, aż do Kamczatki włącznie.

Działania wojenne Rzeszy Niemieckiej przeciwko ZSRR rozpoczęte 22 czerwca 1941 r., unicestwiły dalszy plan deportacji obywateli polskich z zagrabionych ziem. Przypuszcza się, że przy sprawnej i bezwzględnej likwidacji „sprawy polskiej” w sposób nieodwracalny, w ciągu następnych pięciu lat całość ludności polskiej z Kresów Wschodnich znalazłaby się na terenie radzieckiej Azji.

Lucjan Cimek



Rok 1939. Osadnicy wojskowi przed budynkiem powiatowej komisji poborowej w Dubnie (fot. ze zbiorów Muzeum Katyńskiego).

Lucjan Cimek

Pamięć Sybiru

w hołdzie deportowanym Polakom

Tam wciąż zmarznięty stoi bór!
Tam śnieg od ziemi aż po szczyt!
Nie widać ścieżek... nie ma dróg...
Tam boru dusza śpi zakryta...

I tylko wicher nieraz wpadł,
konary łamał i tratował
i mnożył krzywdy cierpkich lat...
I tylko cisza tam grobowa...

Często zamróz ścinał krew,
wypełniał lodem wnętrza borów
i wyły wilki pośród zwłok...
Co z głodu zmarli! Co od chorób!

Ile się utopiło w nurtach rzek!
Ile przepadło w bagnach mszarów!
Ile w tych borach dwudziesty wiek
zamęczył łapą nowych carów!...

Tam wciąż ogromny stoi krzyż
z odkrytą piersią ku przepaści.
W pomroce straszny kryje ból
i czeka dnia, co noc zjśni...



*Nasza zima czasem jest mroźna - ale to nie Syberia.
Krasnystaw, luty 2021. Fot. Lucjan Cimek.*

Mirosław Iwańczyk

Hetman bohaterski

(Stanisław Żółkiewski)



Gdy był dziecięciem, małym pacholęciem,
wrózka przepowiedziała, że Stanisława czeka wielka sława,
zaś jego niania nagle ujrzała,
jak ptak skrzydłami mu głowę okala.
Był to znak godności i przyszłego hetmana wielkości.
Doświadczenie wojenne zdobywał w wielu bojach,
pod Lubieszowem, Wielizem, murami Pskowa,
wsparł Batorego, co Moskwę pokonał.
Pod Toporcami, jako harcownik,
za Rosjanami rzucił się w pościg.
Pod Byczyną z Austriakami walczył mężnie,
cesarską chorągiew zdobył własnoręcznie.
Za bohaterską postawę i ciężką ranę,
otrzymał od króla hetmańską buławę.
Z Zamojskim dotarł szybko pod Cecorę,
przed Tatarami stworzył tam zapórę.
Obóz rzeką Prut, z trzech stron był chroniony,
od czoła hetman kazał wzniesić bastiony.
Chorągwie zza wałów nagle wypadły,
trafiły na opór ordyńców zajądły.
Arkebuzy znad umocnień ogniem plunęły,
ćmę tatarską od bastionów odepchnęły.
Wtem chorągwie lekkie Tatarów oskrzydliły,
weszły na ich tyły, szarżą czambuły rozproszyły.
Wkrótce Nalewajko ogłosił się władcą Ukrainy,
ale wojska Żółkiewskiego jego tabor sprytnie okrążyły.
Żółkiewski rzucił się na molojców szeregi,
na Kozaków spadły szable polskich rycerzy.
Tabor został rozerwany, zaś watażka pokonany.
Nagle Michał Waleczny, gospodar wołoski,
postanowił odbić Mołdawię z rąk polskich.
Wnet Suczawę opanował i na Jassy się skierował,
zajął pozycję dogodną w dolinie rzeki.
Polska armia rozwinęła się mu naprzeciw.
Centrum hufca czołowego dowodził Żółkiewski,
lewym skrzydłem wojewoda Marek Sobieski.
Prawe skrzydło Jana Zamojskiego,
natarciem szyki wroga rozciąło.
Polscy piechurzy w pędzie przebyli rzekę,
walką związali wrogie oddziały piesze.
Husaria Żółkiewskiego z impetem uderzyła,
piechotę wołoską kopiami niemal zmiażdżyła.

W poplochu popędziła wojsko Michałowe,
 przez Polaków w bitwie całkiem rozgromione.
 Wnet król szwedzki na polskie Inflanty się połakomił,
 podstępnie stolicę Estonii Rygę zdobył.
 Żółkiewski z Zamojskim znad Dźwiny wyruszyli,
 na wieść o marszu wojsk polskich król uciekł z Rygi.
 Hetman na czoło armii się wysforował,
 z marszu twierdzą Wolmar zaatakował.
 Rajтары szwedzcy bronili twierdzy zacięcie,
 lecz polskie chorągwie zmiotły ich doszczętnie.
 Żółkiewski po tym zwycięstwie uwierzył w siebie,
 natchniony swym triumfem szybko ruszył na Rewel.
 Bagna i strumienie Szwedów wokół chroniły,
 na szancach zaostrzone ostrokoły postawił.
 Hetman tylko dwie chorągwie na nie rzucił,
 atak celowo na szancach skupił,
 uwagę Szwedów od swych działań odwrócił.
 Garstką ludzi związał główne wroga siły.
 Tymczasem jego odwody przez bagna się przeprawiły
 i wyszły na Szwedów tyły,
 taktycznym manewrem całkiem ich zaskoczyły.
 Polskie lekkie chorągwie wzięły Szwedów w dwa ognie,
 husaria przez piki się przebiła,
 wrogów szeregi mocno spustoszyła,
 szwedzkie bitne wojsko w rozsypek szybko poszło.
 Załśnił pełnym blaskiem Żółkiewskiego talent,
 jego geniusz wojenny potwierdził świetny manewr.
 Tymczasem na kresach Tatarzy się pojawili,
 ludność w jasyr pogonili, polskie dwory, wsie grabili.
 Ich pochód znaczony był pożarami,
 ciągnął z jasyrem obladowany łupami.
 Niezmordowany hetman ani chwili nie zwlekał,
 zaczął się w lesie i na Tatarów czekał.
 Ordyńcy z jasyru zadowoleni,
 nad rzeką Udycz swój obóz rozwinęli.
 Myśleli, że już im nic nie grozi,
 wtem polskie chorągwie wyszły z leśnej dąbrowy.
 Tatarzy całkiem zaskoczeni, szyki pośpiesznie rozciągnęli.
 Żółkiewski pomiędzy hufcami ustawił tabor rzędami,
 następnie sformował dwa skrzydła,
 tak zastawił na Tatarów sidła.
 Prawe skrzydło ich centrum zaatakowało,
 główne siły ordyńców w walce związało.
 Jeden z murzów wzniośł jagatan i rozpoczął krwawy atak.
 „Alła Alła!” - Tatarzy krzyknęli, masłakami jazdę cięli.
 Wtem strzały z luków tatarskich sygnęły,
 hetman odwód pchnął do szarży wtedy,
 lewym skrzydłem z boku gwałtownie uderzył,

przez szyki do centrum wroga się przebił.
 Tatarzy stawili opór zacięty,
 lecz w końcu skrzydła ich pękły,
 czambuły w stęp uciekły.
 Tatarzy doznali dotkliwej klęski,
 Żółkiewski znów był zwycięski.
 Niebawem wzrosła Moskwy militarna siła,
 z wojskami cudzoziemskimi się połączyła,
 Rzeczypospolitej zagroziła.
 Król Zygmunt więc wysłał na Rosję
 Żółkiewskiego z niewielkim wojskiem.
 Hetman postanowił w głąb Rosji wyruszyć,
 Rosjan do walnej bitwy w polu zmusić.
 Wkrótce z armią do warownego miejsca dotarł.
 Twierdzą otaczały grzaskie błota,
 bardzo wysokie wały znacznie obronność wzmacniały.
 Poza tym rzeka szeroko się rozlewała,
 fortecę ze wszystkich stron okalała.
 Carowego Zajmiszczu armia rosyjska broniła,
 pochód wojsk polskich powstrzymać postanowiła.
 Rosyjski dowódca fortel zastosował,
 most zerwał, w chaszczach strzelców schował.
 Żółkiewski chytry podstęp szybko zauważył,
 piechotą drugą stronę grobli obsadził.
 Sam zaś po cichu z konnymi oddziałami,
 rosyjską zasadzkę obszedł zaroślami.
 Zaskoczenie Rosjan było całkowite,
 salwy z polskich rusznic wywołały panikę,
 strzelcy moskiewscy przerażeni, do ucieczki runęli.
 Wreszcie ruszyła Wałujewa jazda,
 polską piechotę do rzeki przyparała.
 Hetman kazał przerzucić most pontonowy
 z niebywałą szybkością został postawiony,
 zadudniły po nim husarskie podkowy.
 Pomknęła husarska szarża, szyki wroga rozdarła,
 atak polskiej kawalerii, pogonił Rosjan do twierdzy.
 Pobita armia Wałujewa w Carowym Zajmiszczu się zamknęła.
 Żółkiewski rozpoczął oblężenie twierdzy,
 nagle stwierdził, że brak ciężkiej artylerii.
 Dotarły też do niego tajne informacje,
 że pod Możajskiem armia rosyjska szykuje kontrakcję.
 Książę Dymitr Szujski stanął na jej czele,
 hetman pojął, że mu grozi oskrzydlenie.
 Na genialny plan wpadł po chwili,
 że częścią wojska zablokuje Wałujewa siły.
 Wałujew nie dostrzegł, że część polskiej armii zniknęła,
 po cichu nocą z Carowego Zajmiszczu się wymknęła.
 Pod twierdzą zostało tylko pięć tysięcy Polaków,

wobec dwunastu tysięcy rosyjskich żołdaków.
 Żółkiewski całą siłę uderzeniową zabrał ze sobą,
 wojsko pomaszerowało bagnistą drogą.
 Dymitr rozbił swój obóz blisko wsi Kluszyn,
 Żółkiewski natychmiast na Rosjan wyruszył.
 Armia Dymitra była płotami otoczona,
 by zaatakować wroga, hetman kazał oczyścić przedpola.
 Część płotów rozebrano, tworząc w nich luki,
 przez nie szarżować miały polskie pułki.
 Przeciw Polakom stanęła armia nieprzeliczona,
 Żółkiewskiemu pozostawał tylko atak od czoła.
 Hetman ruszył buławą, zabrzmiało wokół wrzawą,
 bębny zawarczały, trąby zagrzmiały,
 na husarskich kopianach proporce furkotały.
 Z Bogurodzicą na ustach ruszyła husaria w bój,
 z pochylonymi kopiami wbiła się we wrogi tłum.
 Husarze potrzaskawszy kopie, kłuli koncerzami,
 ludzką ciżbę końmi tratowali.
 Wyrąbывali szablami sobie drogę,
 by powrócić na pozycję wyjściową.
 Po odpoczynku, krótkiej chwili, w wir walki się rzucili,
 niestety swój impet niebawem zatracili.
 Hetman w wylomy wprowadzał coraz to nowe rotę,
 chorągwie dostały się pod ogień szwedzkiej piechoty.
 Dramatyczne chwile dla armii polskiej nastały,
 jej ataki frontalne nagle się załamały.
 Szarże ciężkiej jazdy dały w końcu wyniki,
 słabły coraz bardziej moskiewskie szyki.
 Przed garstką sieczących polskich rycerzy,
 zaczęły się kruszyć rosyjskie szeregi.
 Zagrzmiały salwy cudzoziemskiej rajtarii,
 w kierunku pędzącej w cwał husarii.
 Nim trzecią salwę oddać zdołali,
 zmiotła ich szarża jeźdźców ze stali.
 Moskiewskie szyki przez dziury w palisadzie,
 zaczęły uciekać z obozu w nieładzie.
 Polacy parli na rotę francuskiej kawalerii,
 dostali się pod ostrzał niemieckiej artylerii.
 Wielu jeźdźców z koni spadło, ginąc śmiercią nagłą,
 na szczęście polskie falkonety wykazały swe ogniowe zalety,
 bić zaczęły w palisadę, robiąc wylom raz za razem.
 Wlały się w wylomy chorągwie z odwodu,
 muszkieterzy i knechci uciekli z obozu.
 Dowódcy cudzoziemscy przerażeni klęską,
 również salwowali się ucieczką.
 Wódz rosyjski Dymitr na swym rączym koniu,
 opuścił chyłkiem swą armię i plac boju.
 Zaś Wałujew broniący Carowego Zajmiszcza,

nie zauważył nawet zwycięskich Polaków przyjsia.
 Wkrótce poddał Polsce Carowe Zajmiszcze,
 wycofując pobite wojska rosyjskie.
 Bitwa na korzyść Polski była rozstrzygnięta,
 zaś Rosjan spotkała całkowita klęska.
 Moskwa stanęła otworem przed Żółkiewskim,
 więc wkroczył do niej ze swoim wojskiem zwycięskim.
 Hetman tak wspaniale żołnierzami manewrował,
 że kilkakrotnie silniejszą armię pokonał.
 Plan operacji z żelazną konsekwencją realizował,
 narzucił przeciwnikowi miejsce starcia,
 poprowadził do czołowego natarcia.
 Przebieg bitwy kontrolował niezwykle umiejętnie,
 rzucił rotę do walki w odpowiednim momencie.
 Pod Kluszyńem Żółkiewski dowodził znakomicie,
 jego geniusz wojenny znalazł się w zenicie.
 Minęły lata, hetman znacznie się postarzał,
 w tym czasie sułtan osmański Polsce zagrażał.
 Wojna z Turcją w powietrzu wisiała,
 konieczne były militarne działania.
 Postanowiono uprzedzić turecką armię,
 uderzyć przewencyjnie na sporną Mołdawię.
 Hetman będąc schorowanym starcem,
 nie chciał brać udziału w tej walce.
 Pod naciskiem króla w końcu się zgodził,
 znowu polskim wojskiem dowodził.
 Wkrótce kampania mołdawska się rozpoczęła,
 armia hetmana pod Cecorą stanęła,
 w zakolu Prutu swój obóz rozwinęła.
 Z tyłu chroniona głębokiej rzeki wodami,
 od czoła osłonięta starymi wałami.
 Nagle orda murzy Kantymira,
 na obóz polski z marszu uderzyła.
 Lisowczycy stanęli do walki
 i rozbili w puch oddział tatarski.
 Sukces rozbudził w hetmanie nadzieję zwycięstwa,
 natchnął szeregi jego żołnierzy do męstwa.
 Zdecydował się na wałną bitwę w dniu następnym,
 przeciwko turecko-tatarskim siłom podstępny.
 Nakazał osłonić skrzydła armii taborami,
 obsadzić je artylerią i piechurami.
 Pomiędzy fortcami stanęła jazda,
 najpierw lekka dragonia, później husaria.
 Hetman chorągwie z obozu wyprowadził,
 frontem do przeciwnika je ustawił.
 Husarii uderzenie czołowe,
 trafiło na zaciekłą obronę.
 Plunęły ogniem janczarskie rusznice,

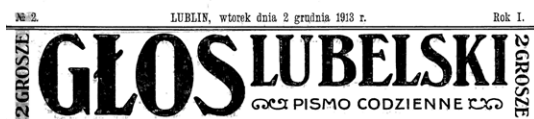
zatrzymały przez chwilę polską konnicę.
 Janczarowie ruszyli do ataku frontalnie,
 kilidżami cięli husarię zjadale.
 Mimo to polskie oddziały atak ten przetrwały,
 kopiami fale Turków spychały, ich szyki przerywały.
 Zdawało się, że sukces jest już blisko,
 że centrum wroga pęknie szybko.
 Nagle jazda z taborem przeszła za szybko przodem,
 tabor trafił na jar, musiał obejść go tam.
 Staął ukośnie do wroga, miast prostopadle,
 zbyt szybki manewr wywołał chaos nagle.
 Zadrwiła z Żółkiewskiego wojenna sztuka,
 pomiędzy jazdą a obozem powstała luka.
 Ordyńcy lukę dostrzegli,
 do chana krzycząc podbiegli:
 „Czas atakować, effendi”.
 Dewlet Girej rzekł do paszy Iskendera:
 „Wodzu, musimy szybko nacierać teraz”.
 Iskander pasza, wódz Turków
 podniósł do góry swój buńczuk
 Orde Gireja w lukę skierował,
 chan szarżę lisowczyków zaatakował.
 Polacy potężnego natarcia nie wytrzymali,
 przed większymi siłami w rozsypce się wycofali.
 Ordyńcy wyszli na polskie tyły,
 prawe skrzydło i centrum rozbili.
 Tabor natychmiast został okrążony
 i zdobyty mimo dzielnej obrony.
 Ocalałe chorągwie walczyć zaprzestały,
 w warownym obozie schronić się wołały.
 Po porażce hetman zwrócił się do towarzyszy,
 większość udawała, że wcale go nie słyszy:
 „Żołnierze, jutro mamy szansę wygrać,
 lekką jazdą okrążymy ich skrzydła,
 potem odwodem husarii, rozbijemy ich w szarży.
 Nie wszystko jeszcze stracone,
 unieście się szlacheckim honorem”.
 Niestety, morale armii się załamała,
 oddziały podjąć bitwy wcale już nie chciały.
 Wobec niesubordynacji polskiej armii,
 hetman musiał wycofać wojsko z Mołdawii.
 Zdecydował się nowy tabor uformować,
 pod jego osłoną ku granicy się kierować.
 Nagle noc grozy w obozie nastąpiła,
 w serca żołnierskie panika się wlała.
 Większość oddziałów runęła do ucieczki,
 próbując przepłynąć Prut zdradziecki.
 Żołnierze w nurty rzeki wskakiwali,

na prawy jej brzeg dostać się usiłowali.
 Wielu tego nie osiągnęło,
 w wodach Prutu utonęło.
 Żółkiewski próbował opanować tę histerię,
 wspierał go Koniecpolski, lecz nadaremnie.
 Lisowczycy z czeladzią i Kozakami,
 pożary w obozie ciągle wzniecali,
 namioty szlacheckie wszędzie rabowali.
 Około północy szańce już opustoszały,
 w toniach Prutu łuny pożarów się odbijały.
 Bładym świtem ku namiotom hetmana
 wlec się zaczęła rycerzy gromada,
 panika chwilowo została powstrzymana.
 Zmniejszona o trzy tysiące ludzi armia,
 z trudem do obozu z powrotem dotarła.
 Wojsko stopniowo odzyskało zdolność bojową,
 Żółkiewski sformował tabor obronny wzorowo.
 Spętane konie sprawny tabun tworzyły,
 czoło kolumny od Tatarów chroniły.
 Sześć rzędów wozów boki zabezpieczało,
 przed turecko-tatarską groźną nawałą.
 Obok wozów szły chorągwie spieszone,
 w każdej chwili do obrony gotowe.
 Tabor zaczął się przez step toczyć,
 by granicę Polski przekroczyć.
 Gdy przez rzekę Deli odbywała się przeprawa,
 orda Kantymira tabor zaatakowała,
 w ogniu rot piechoty jej akcja się załamała.
 Ordyńcy swą konnicą wściekle wciąż nacierali,
 Polacy w marszu ataki mężnie odpierali,
 z hakownic i falkonetów celnym ogniem zionęli.
 Metodę spalonej ziemi Turcy stosować zaczęli,
 na drodze marszu step był całkiem wypalony,
 brakowało żołnierzom żywności i wody.
 Noc w noc tabor przemieszczał się wytrwale,
 odrzucał natarcia pohańców stale.
 Głód i pragnienie rycerzy wyczerpywały,
 krwawe żniwo w ich szeregach ciągle zbierały.
 Iskender pasza rozpoczął generalny bój,
 poprowadził na szturm piechoty oddział swój.
 Oblęgi janczarami ruchomej fortecy tyły,
 lecz ogień z polskich działek rozproszył jego siły.
 Gdy żołnierze byli blisko granicznej rzeki,
 doszło do kłótni z lisowczykami, niestety.
 Rycerze żądali ich zrewidowania
 i za grabież ukarania.
 Żółkiewski obiecał spełnić ich żądania,
 dopiero, gdy wypełnią wojenne zadania.

Najpierw muszą swą słabość pokonać,
by Dniestr na granicy sforsować.
W serca lisowczyków wkradł się strach,
że za grabież czeka na nich kat.
Pod Mohylowem wywołali zamieszki,
wyrwali wozy, rzucili się do ucieczki,
ku Dniestrowi się skierowali
na koniach, które zrabowali.
Kantymir czekał na ten moment przy granicy,
natychmiast spuścił swych Nogajów ze smyczy.
„Alła, alła!” orda nogajska wrzasnęła,
w rozprzężony tabor szybko wtargnęła,
Ordyńcy wdarli się między wozy,
rycerzy ogarnęły chwile grozy.
Jakiś Tatar wbił jagatan komuś w głowę,
dziki murza rozciął dragonowi nogę.
Tatarzy tabor zupełnie rozerwali,
zacięty opór Polaków przełamali.
Żółkiewski kazał konie w tabun zbatożyć,
przed ordyńcami nimi się zasłonić.
Tak resztki armii przedzierały się ku Dniestrowi,
pod osłoną tabunu zbatożownych koni.
Hetman zrozumiał, że tym razem to już koniec,
pożegnał się z synem i poszedł na spowiedź.
Gdy wrócił, przebił swego konia szablą,
mówiąc, że nie ucieknie, nie okryje się hańbą.
Tak bohaterski hetman z garstką żołnierzy,
pieszo, pół mili wraz z nimi przebył.
Nagle cma tatarska na nich skoczyła,
większość żołnierzy uciekła lub się rozproszyła.
Przy hetmanie zostało dziesięciu towarzyszy,
znajdowali się blisko polskiej granicy.
Przyjaciele prosili go, by uciekał wraz z nimi,
odparł, że woli umierać z żołnierzami swymi.
Stary Żółkiewski, będą osłabiony,
został przez rycerzy na konia wsadzony.
Z grupą wiernych jeźdźców, z szablą w dłoni
do końca dzielnie się bronił.
Wtem chmara Tatarów garstkę jeźdźców okryła,
chęć dalszej walki w hetmanie odżyła.
Ciął na odlew szablą, ordyńcowi rozciął gardło,
drugiemu wytrącił z rąk jagatan,
czekanem mu głowę rozplątał.
Raptem kilidź w jego skroń uderzył,
nagle spadł z konia, po chwili już nie żył.
Tak zginął w swej ostatniej walce Żółkiewski,
wielki hetman bohaterski.

Kazimierz Stolecki

Powiat krasnostawski
na łamach „Głosu Lubelskiego”,
organu prasowego lubelskiej
Narodowej Demokracji w latach 1920-1921



1920, nr 1, 01 I. Ś.p. Stanisław Lipski, Sekretarz Krasnostawskiego Oddziału Związku Ziemiaków. Po parodniowych cierpieniach zmarł na zapalenie płuc w Krasnymstawie nasz zacny, sumienny i wyjątkowo szlachetny współpracownik. Pogrzeb odbędzie się w Piątek, 2-go Stycznia o godzinie 11-tej rano po nabożeństwie w Krasnymstawie. Cześć Jego Pamięci! Zarząd Oddziału Krasnostawskiego Związku Ziemiaków.

1920, nr 5, 05 I. Mieszkańcy gm. Wysokie, pow. Krasnostawski złożyli na Czerwony Krzyż zamiast życzeń noworocznych: Antoni Leszczyński 40 kor., ks. Tadeusz Tworek 10 kor., Antonina Wąsowiczowa 10 kor., Władysław Szumski 10 kor., Jerzy Trentowski 20 kor., Antoni Wilczyński 10 kor., Henryk Wilczyński 10 kor., Ostrowski Komend. Policji 10 kor., Jakób Kosz 10 kor., Antonina Osobowa 10 kor., Franciszek Borys 10 kor., Józef Burian 10 kor., Roman Wilczyński 10 kor., Jan Wilczyński 10 kor. Razem 180 kor.

1920, nr 6, 06 I. Napady bandyckie na terenie Województwa Lubelskiego. W ostatnich czasach znowu zaczęły się mnożyć w lubelskiem napady bandyckie, rabunki i morderstwa. Rzecz charakterystyczna, prawie równocześnie dokonano pięciu napadów w różnych punktach województwa w powiatach: janowskim, krasnostawskim, białskim, lubartowskim, chełmskim. We wsi Sobieska Wola, gm. Żółkiewka, pow. Krasnostawski na dom Berka Brandta napadło pięciu uzbrojonych w karabiny i ubranych w uniformy żołnierskie, bandytów, którzy dostawszy się do wnętrza mieszkania, bili bagnetami domowników, raniąc śmiertelnie Berka Brandta. Brandt zmarł wkrótce z powodu otrzymanych ran. Bandyci dokonawszy rabunku, zbiegli.

*** Podziękowanie. Rodzina Ś.p. Stanisława Lipskiego, składa serdeczne podziękowania Krasnostawskiemu Związkowi Ziemian, a w szczególności P.P. prezesowi L. Epsteinowi, K. Plewińskiemu, E. Suchodolskiemu, J. Koszarskiemu, również Ks. St. Szepietowskiemu, Ks. J. Bryłowskiemu, D-wi E. Lickindorfowi i P. F. Pawłowskiemu, za głębokie i szczerze współczucie, oraz bezinteresowną pomoc w tak ciężkiej, a bolesnej dla niej chwili.

1920, nr 9, 09 I. Ś.p. Ksiądz Adam Decyusz Kanonik Kolegiaty Zamoyskiej, dziekan i proboszcz Krasnostawski. Opatrzony Świętymi Sakramentami po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach, zmarł dnia 7 stycznia r.b. przeżywszy lat 63. Eksportacja zwłok do kościoła parafialnego w Krasnymstawie odbędzie się w piątek, dn. 9 stycznia o godzinie 4-ej po południu. Nabożeństwo żałobne odprawione zostanie w sobotę o godzinie 10-ej zrana poczem nastąpi wyprowadzenie zwłok na cmentarz miejscowy. Na smutne te obrządy zaprasza Przyjaciół, Znajomych i Kolegów Stroskana Rodzina.

1920, nr 18, 18 I. Potrzebny zaraz zdolny zecer Krasnostaw drukarnia Łazowski.

1920, nr 23, 23 I. Tajemnicze zabójstwo. We wsi Styczyn, gm. Łopiennik, pow. Krasnostawskiego, z broni palnej został zabity przez niewiadomych sprawców, Stefan Radziej, tamże zamieszkały. Zabójstwo popełniono prawdopodobnie w celu zemsty. *** Urząd pocztowo-telegraficzny w Izbicy. Z dniem 28 stycznia 1920 r. otwiera się urząd pocztowo-telegraficzny w Izbicy n/Wieprzem (pow. Krasnostawskiego). Połączenie z siecią pocztową otrzymywać będzie nowy urząd dwa razy dziennie za pomocą posłańca pieszego do stacji kolejowej Izbica z ambulansami Lwów-Lublin i Lublin-Lwów przy pociągu 253.

1920, nr 24, 24 I. Z Kurji Biskupiej. Ks. Wacław Kościelniakowski, I notariusz kurji djecezjalnej, kanonik honor. katedralny otrzymał nominację na proboszcza do Krasnegostawu i dziekana dekanatu krasnostawskiego. Ks. Jan Bryłowski, wikariusz z Krasnegostawu na takież stanowisko do katedry lubelskiej. Ks. Ignacy Wojtyła - na wikariusza do Krasnegostawu.

1920, nr 36, 06 II. W sprawie sprzedaży Olchowca. W jednym z numerów „Głosu lubelskiego” r. ub. zamieszczoną była wzmianka o sprzedaży majątku Olchowca w pow. Krasnostawskim, przez

pp. Stanisława Kowerskiego i S-ka w ręce żydowskie. W danym wypadku Redakcja naszego pisma została wprowadzoną w błąd, gdyż jak obecnie stwierdzamy „Polska Spółka dla przemysłu leśnego”, której p. Stanisław Kowerski jest przedstawicielem, sprzedała żydom tylko poręby leśne, nie znajdując innych nabywców.

1920, nr 64, 05 III. Zastrzelenie bandyty. (u) W tych dniach policja z posterunku Rybczewice w pow. Krasnostawskim aresztowała bandytę Tomasza Kwiatona, który usiłował zbiec. W pościgu policja dała kilka strzałów kładąc trupem Kwiatona.

1920, nr 67, 08 III. Ś.p. ks. Wacław Kościelniakowski. (u) Z łałem dowiadujemy się, iż w nocy z soboty na niedzielę zmarł nagle w Krasnymstawie tamtejszy nowo mianowany proboszcz i dziekan ks. Wacław Kościelniakowski, honorowy kanonik Katedry lubelskiej. Ks. kanonik Kościelniakowski cieszył się ogólnym poważaniem i sympatią w szerszych kołach naszego miasta i okolicy, położył bowiem duże zasługi na polu oświatowym i społecznym, a także przy zwalczaniu marjawityzmu - stanąwszy śmiało i zdecydowanie w obronie wiary katolickiej. Cześć pamięci wzorowego kapłana, gorącego patrioty i dobrego człowieka!

1920, nr 68, 09 III. Ś.p. ks. Wacław Kościelniakowski. W niedzielę żałobnem echem rozeszła się po naszym mieście wieść o nagłym zgonie ks. W. Kościelniakowskiego, przeniesionego przed paru tygodniami z Lublina do Krasnegostawu. Ksiądz Wacław Kościelniakowski, w najszerszych kołach naszego miasta znany, jako niezwykle zacny człowiek i wzorowy kapłan obywatel, urodził się dn. 9-go września 1874 roku. Po ukończeniu 8 klas gimnazjum w Siedlcach wstąpił do seminarjum i otrzymał święcenia kapłańskie w 1905 r. W uznaniu wyjątkowych zalet serca i umysłu - mianowany na początku 1919 r. kanonikiem honorowym katedry lubelskiej, - pełnił też obowiązki sekretarza Kurji Biskupiej i był obrońcą sakramentu małżeństwa w sądzie konsystorskim. W lutym r.b. na własną prośbę zwolniony z Kurji - otrzymał jedną z ważniejszych placówek w djecezji: dziekanę i probostwo krasnostawskie. Nie danem mu było jednak rozpocząć twórczej, użytecznej pracy na nowem stanowisku. W nocy z 6-go na 7-my marca, w przeddzień uroczystości ingresu, zmarł nagle na aneurizm serca. Zwłoki ś.p. ks. kanonika Kościel-

niakowskiego sprowadzone zostają z Krasnegostawu do Lublina i pochowane będą we środę na cmentarzu tutejszym.

1920, nr 72, 13 III. Koniokrądnictwo. (u). W ostatnich czasach kradzieże koni zaczynają się wzmacniać. I znowu mamy do zanotowania kilka takich kradzieży, a mianowicie: w pow. Krasnostawskim we wsi Siennica Nadolna, gm. Rudka, Michałowi Siewakowi skradziono trzy kłaczki, wartości 26.000 kor, we wsi Stężycza, gm. Łopiennik Piotrowi Cherjanowi 2 konie i 1 żrebię, wartości 19.000 kor. oraz upręż.

1920, nr 84, 25 III. Przeciw akcji strajkowej. Krasnostaw (Kor. wł.). Dnia 21 marca odbył się w Krasnymstawie wiec mieszkańców miasta i okolicy pod hasłem: „niebezpieczeństwo grozi Ojczyźnie”. W wiecu, któremu przewodniczył p. Wowczak, wzięło udział około 600 osób. Po przemówieniach pp. Leszczyńskiego, Chomczyńskiego, Porczyńskiego, Lickindorfa, Chybowskiego i Kińczyka, oraz socjalisty Donata, jednogłośnie uchwalono rezolucję następującej treści: „Zebrani bezwzględnie potępiają wszelkie strajki polityczne - one bowiem paraliżują normalne funkcje zbiorowego życia i zmierzają do podcięcia bytu Rzeczypospolitej polskiej”. Przy śpiewie „Roty” Konopnickiej wiec zakończono. Cześć społeczeństwu, które swoją podstawą wyraża protest przeciw skrytobójczym planom zbrodniarzy. Z. Z.

1920, nr 87, 28 III. Dyrekcja Lubelskiego Towarzystwa Kredytowego Miejskiego. Stosownie do § 22 ustawy Towarzystwa podaje do wiadomości, że właściciele nieruchomości w mieście Krasnymstawie pod nr pol. 30 1/2 i 50, hyp. 24 i w Lublinie pod nr pol. 324b, hyp. 1114 przystąpili z takowymi do Towarzystwa w celu otrzymania pożyczek, w m proc. listach zastawnych, na I nowej w sumie rub. 60000 i na II dodatkowej z przeliczowania w sumie rub. 25000. Wszelkie zarzuty przeciwko udzieleniu żądanych pożyczek powinny być przedstawione w ciągu 14 dni od daty niniejszego ogłoszenia.

1920, nr 94, 07 IV. Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Dnia 19 Lutego 1920 r. Sąd pokoju w Żółkiewce, powiatu Krasnostawskiego, rozpoznawszy sprawę z oskarżenia Ignacego Cimka z Woli Żółkiewskiej, Jana Łosia i Albina Olszewskiego z Rożek, gminy Żółkiewka, o lichwę wojenną z art. 2 Dekretu z d. 5 grudnia 1918 r. po-

stanawia 1) Ignacego Cimka i Jana Łosia skazać na więzienie po trzydzieści (30) dni, na grzywnę po tysiąc (1000) marek i uiszczenie opłaty sądowej po sto marek; w razie niemożności zapłacenia grzywny, zamienić takową na areszt po trzydzieści (30) dni każdemu. 2) Albina Olszewskiego skazać na trzy (3) tygodnie więzienia, na grzywnę sześćset (600) marek i uiszczenie opłaty sądowej sześćdziesiąt (60) marek; w razie niemożności zapłacenia grzywny, zamienić takową na trzy (3) tygodnie aresztu. Za zgodność z oryginałem z tem, że wyrok ten uprawomocnił się i wysłany został do wykonania. Sekretarz (-).

1920, nr 99, 12 IV. Napad rabunkowy. (u) Na dom Marjanny Franczak we wsi Romanów, gm. Krasnostaw napadło 5 bandytów uzbrojonych w karabiny i pałki. Bandyci zrabowali około 2 000 kor., 3 pierścionki srebrne, 1 złoty i t.d. poczem zbiegli w niewiadomym kierunku. Śledztwo w toku.

1920, nr 104, 17 IV. Zebrane w parafii Gorzków, starostwa Krasnostawskiego 4 rub. 14 1/2 mk. i 1439 kor. na plebiscyt na Śląskach obu, Spiszu, Orawie i Mazurach.

1920, nr 109, 22 IV. Żołnierze-bandyci. (u) Przed paru dniami 3-ch żołnierzy 4-go baonu wartowniczego, 16-ej kompanii asystencyjnej napadli na drodze do Krasnegostawu żyda Chaima Branda i zabrali mu 1 rybę i 40 mk. Po przeprowadzeniu śledztwa napastnicy zostali aresztowani i oddani do dyspozycji Dowódcy garnizonu w Krasnymstawie. *** Napady bandyckie i ujęcie bandytów (u). Na Teodora Radziejca mieszkańca wsi Stężycza, pow. Krasnostawskiego, napadło 2 bandytów, uzbrojonych w pałki i rewolwer, a pobiwszy go dotkliwie zrabowali mu 1.500 kor. i czapkę. Po przeprowadzeniu śledztwa, aresztowano. Józefa i Antoniego Charatyny.

1920, nr 110, 23 IV. Tajemnicze zabójstwo. (u) W dniu 17 b.m. około godz. 8 wieczorem we wsi Różki, gm. Żółkiewka, pow. Krasnostawskiego został zabity kulą, która wpadła przez okno Józef Zwirz. Przybyłe na miejsce władze sądowo-lekarskie stwierdziły, iż strzał był dany z karabinu. Sprawcy dokonanego mordu jeszcze nie wykryto. Dochodzenia w toku.

1920, nr 111, 24 IV. Tragiczny wypadek (u). We wsi Latyczów, pow. Krasnostawskiego, konie spłoszone przez przejeżdżający samochód wojsko-

wy, wpadły na 8-letniego Józefa Korowaja i potrato-
wały go tak ciężko, że chłopiec po kilku godzinach
życie zakończył. *** Drożyzna rąk roboczych przy-
czyną upadku gospodarstw rolnych. Krasnostaw
(Kor. wł.) W Imienia 82 bezrolnych, mieszkańców
gminy Rudka, pow. Krasnostawskiego zwrócili się
osoby upoważnione do tego przez socjalistyczny Zw.
Zaw. rob. rolnych do p. Ministra rolnictwa z prośbą
o oddanie owym bezrolnym w dzierżawę majątku
majorackiego w Siennicy królewskiej. Prośbę swą
uzasadniają petenci w sposób następujący: „obecny
dzierżawca z powodu drożyzny rąk roboczych da-
lej prowadzić gospodarstwa nie może i majątek ten
z każdym dniem ulega systematycznemu opusz-
czeniu przeważnie w kulturze rolnej i ziemia leży
odłogiem”. Jest rzeczą charakterystyczną, że mimo
rozumienia fatalnych następstw gospodarczych
drożyzny rąk roboczych - domagania się coraz więk-
szego wynagrodzenia za pracę nie ustają. W. ***
Napady bandyckie (a) Przed kilku dniami na dom
Herszka Gorblera, mieszkańca osady Krasnobród
napadło 3-ch uzbrojonych w karabiny bandytów i
zrabowali mu 90 koron, 250 rubli, złoty łańcuszek i
9 pierścionków wartości około 15.000 koron. Podany
przez poszkodowanych rysopis bandytów w zupeł-
ności zgadza się z opisem bandytów, urządzających
poprzednie napady w Krasnostawskim, notowane
już w „Głosie lub”. Śledztwo w toku.

1920, nr 123, 07 V. Szofer do pługa mo-
torowego na stół lub ordynarję potrzebny zaraz.
Zgłoszenia z odpisem świadectw składać Wola
Żółkiewska, p. Krasnostaw skrzynka 78. *** Skutki

zabawy nabojem karabinowym. Przed kilku dniami
we wsi Tarnawka, gm. Zakrzew, pow. Krasnostaw-
ski dwóch chłopców: 13-letni Władysław Żepok
i 12-letni Jan Krawczyk naładowali prochem i na-
bojem karabinowym żelazną rurką i zapalili. Proch
ekspłodował, wysadził dno rurki, które tak silnie
zraniło Wł. Żepka, że po upływie dwóch godzin za-
kończył życie.

1920, nr 124, 08 V. Zebranie rzemieślników
w Krasnymstawie. (Korespon. własna „Głosu Lu-
bel.”) Dnia 25 kwietnia w budynku straży ogniowej
w Krasnymstawie o godz. 1 1/2 po południu odby-
ło się zebranie rzemieślników miasta i jego okolic
przy udziale delegacji Tow. Rzem. Okręgowego
z Lublina. Zagałł posiedzenie członek Komitetu or-
ganizacyjnego p. J. Bazyliko, zapraszając na prze-
wodniczącego M. Malingę, na asesora L. Pietra-
szewskiego i H. Lubińskiego, na sekretarza Józefa
Wesołowskiego.

1920, nr 138, 23 V. W sprawie odbudowy
kraju. Sejmiki, mające ruchliwych i dbających o od-
budowę powiatu przewodniczących, podniosły już
znaczące sumy [mk]. Jako to:

Sejmik Chełmski	400.127	24,6%
Sejmik Krasnostawski	736.000	45,2%
Sejmik Garwoliński	158.000	9,7%
Powiat Lubartowski	20.000	1,2%
Powiat Biłgorajski	198.000	12,2%
Powiat Radzyński	115.000	7,1%

1920, nr 150, 05 VI. Ze statystyki Woje-
wództwa Lubelskiego. Henryk Wiercieński.

Powiat	Zniszczonych w czasie wojny			Odbudowano				Liczba obecna budynków			
	Domy mieszk.	Fabr. i gospod.	Razem	Domy mieszk.		Fabr. i gospod.		Domy mieszk.		Fabr. i gospod.	
				Mur.	Drewn.	Mur.	Drewn.	Mur.	Drewn.	Mur.	Drewn.
Lubelski	3990	9441	13431	411	1891	470	2997	2890	11698	3032	23632
Puławski	4348	7460	11808	410	1204	252	1672	1405	16105	995	24119
Janowski	2765	8404	11169	23	1130	81	2110	577	15193	561	33761
Krasnostawski	3556	8308	11864	185	1733	171	2748	1313	13296	1511	24471
Chełmski	7349	14168	21517	108	1125	25	1449	342	9378	269	12046
Razem	22008	47781	69789	1137	7083	999	10976	6527	65670	6368	118029

Powiaty	Konie		Bydło		Owce		Świnie	
	Przed wojną	Jest obecnie	Przed wojną	Jest obecnie	Przed wojną	Jest obecnie	Przed wojną	Jest obecnie
Lubelski	25653	12327 48,1%	53248	22415 42,1%	16958	2053 12,1%	40834	6671 16,3%
Janowski	24194	11135 46,0%	47311	20435 43,2%	7081	1250 17,7%	22905	6335 27,7%
Krasnostawski	23105	11300 48,9%	37575	16632 44,3%	18455	409 2,2%	23829	5744 24,1%
Chełmski	29274	8593 29,4%	52849	9828 18,6%	14014	165 1,2%	41692	1401 3,4%
Razem	102226	43355 42,4%	190983	69310 36,3%	56508	3877 6,9%	129260	20151 15,6%

1920, nr 156, 11 VI. Z dniem 15 czerwca 1920 roku otwiera się urząd pocztowo telegraficzny w Żółkiewce. Połączony z siecią pocztową nowy urząd będzie z urzędem pocztowym w Krasnymstawie za pomocą jazdy pośłańczej codziennie. Przyjmowanie telegramów odbywać się będzie na razie za pomocą telefonu przez Krasnystaw.

1920, nr 169, 24 VI. Pożary. We wsi Oleśniki, gm. Fajslawice, pow. Krasnostawskiego, zapaliła się strzecha domu Marjanny Jaroga, przez co spłonęły rzeczy wartości 28.900 mk. Śledztwo wykazało, iż pożar powstał wskutek podrzucenia przez chłopców, bawiących się w podwórzu zapalaki czy też papierosa.

1920, nr 189, 14 VII. Marnowanie amunicji. Dwóch uczniów przyniosło do Redakcji naszego pisma dwa magazyny naboju karabinowych, wyproszone od milicjanta nieznanego nazwiska, który w drodze z Krasnegostawu do Lublina zamierzał je wrzucić do rzeki „bo mu było za ciężko”. Towarzyszący mu milicjant swój magazyn już wyrzucił. Czy ci panowie nie rozumieją tego, że przez takie marnowanie amunicji okradają skarb państwa i osłabiają naszą siłę obronną?

1920, nr 196, 21 VII. Wiec ogólnonarodowy w Krasnymstawie. W dniu 11 lipca odbył się w Krasnymstawie wiec ogólnonarodowy zwołany przez Komitet Obrony Narodowej i Wydział Powiatowy, na skutek odezwy Rady Obrony Państwa z 8 lipca b.r., na którym uchwalono jednogłośnie następującą rezolucję: Zebrani na wiecu ogólnonarodowym w Krasnymstawie bez różnicy warstw postanawiają na skutek odezwy Naczelnika Państwa z dn. 3 lipca 1920 r. w poczuciu i wykonaniu obowiązków wobec wołającej o pomoc Ojczyzny murem stanąć w obronie granic Rzeczypospolitej i zobowiązują wszystkich w wieku od 17 do 42 lat do natychmiastowego zgłoszenia się do szeregów ochotniczej armii. Rodzinom ochotników musi być zabezpieczony byt przez organa samorządowe i wybrany przez społeczeństwo komitet. Zwolnionych chwilowo z wojska, jako niezbędnych na swych stanowiskach, zobowiązujemy do poważnych zasiłków pieniężnych na rzecz rodzin, wstępujących do wojska. Specjalna Komisja ustali wysokość tego zasiłku. Całe społeczeństwo spokojnem i taktownem zachowaniem się ułatwi czynnikom państwowym zabezpieczenie tyłów armii walczącej na froncie

i w tym celu wzywamy, aby wszystkich dezertersów uchylających się od służby wojskowej oraz elementy podejrzane wznecające popłoch dostawiono państwowym organom bezpieczeństwa. Wyrażamy podziw i uznanie walczącej armii za jej bohaterskie trudy i z całą ufnością poddajemy się pod rozkazy Naczelnika Państwa. *** Urzędnicy państwowi w Krasnymstawie do Rady ministrów. Naczelniczy wszystkich Urzędów Państwowych w Krasnymstawie na posiedzeniu w dniu 9 lipca b.r. wystosowali i wysłali następujący memoriał: Do Rady Ministrów w Warszawie! Wszyscy Naczelniczy Urzędów Państwowych w Krasnymstawie imieniem własnem i swoich pracowników uważając w chwili obecnej służbę na froncie, jako pierwszy moralny i patriotyczny obowiązek, zgłaszają bezzwłoczną gotowość wstąpienia do szeregów wojskowych i proszą o telegraficzną decyzję, co do jednych i drugich. - Prosimy o zastosowanie do wstępujących do służby wojskowej urzędników artykułów 7 p 8 ustawy z dnia 11 lipca 1919 r. normujące stosunki służbowe funkcjonariuszy państwowych podczas pełnienia służby wojskowej (Dz. Pr. 59 poz. 257) tudzież o zabezpieczenie o ile możliwości po demobilizacji powrotu na te same stanowiska służbowe i do tych samych miejscowości.

1920, nr 202, 27 VII. Marcin Mazurek, mieszkaniec wsi Zażasków, gm. Krasnystaw udał się w pole pilnować zboża, gdzie został postrzelony. Natychmiast zawiadomiona policja ustaliła, że sprawcami postrzału byli dwaj synowie Mazurka, których aresztowano dla wyświeatlenia sprawy.

1920, nr 210, 04 VIII. Gospoda żołnierska w Krasnymstawie. Z inicjatywy prezesa Tow. Przyj. Żołn. Polskiego ks. Stanisława Szepietowskiego, dzielnego pracownika na niwie społecznej powstał niedawno temu projekt otwarcia na stacji kolejowej w Krasnymstawie gospody żołnierskiej. Przy poparciu miejscowego społeczeństwa i koła ziemianek oraz przy współudziale dowódcy konsystującego 43 pułku Strzelców Kresowych p. Józefa Kobzona gospoda żołnierska została dnia 29 lipca poświęcona i otwarta dla naszych żołnierzy.

1920, nr 226, 21 VIII. Rozkaz powrotu. Polecam urzędnikom Starościńskim i Samorządowym niezwłocznie powrócić na miejsce dawnego swego urzędowania w powiatach: Bialskim, Chełmskim, Garwolińskim, Krasnostawskim, Konstantynow-

skim, Lubelskim, Ługowskim, Radzyńskim, Siedleckim, Sokołowskim, Węgrowskim, Włodawskim i Zamojskim. Rozporządzenie o rewakuacji majątku państwowego i rodzin urzędniczych nastąpi później. Informacji w sprawie powrotu udzielają: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Urzędy Wojewódzkie. Wojewoda lubelski, Lublin, dn. 20 sierpnia 1920 r. St. Moskałewski.

1920, nr 234, 29 VIII. Komunikat krasnostawskiego Zw. Z. Zarząd krasnostawskiego Związku Ziemian niniejszem dziękuje władzom powiatowym i policji za ostrzeżenie a grożącym niebezpieczeństwie i za wydatną pomoc przy obronie przed rabunkiem. Zarząd Związku zupełnie się nie ewakuował, biuro w Krasnymstawie było stale czynne i opiekowało się ewakuowanymi majątkami.

1920, nr 236, 31 VIII. Uruchomienie sądów pokoju. Od Prezesa Sądu Okręgowego dowiadujemy się, że po niedługiej przerwie w czynnościach, spowodowanej okolicznościami wojennymi ostatniej chwili, Sądy Pokoju w Lublinie, oraz w powiatach Lubelskim, Lubartowskim, Janowskim i Krasnostawskim, zostały uruchomione i odbywają wszelkie swoje czynności, tudzież, że wydziały cywilne Sądu Okręgowego nie przerywały wcale swej pracy, wydziały karne zostaną uruchomione po sprowadzeniu z powrotem zaaresztowanych do więzienia lubelskiego na zamku i nadesłaniu akt, wysłanych z Lublina, że wreszcie wydziały hipoteczne: gubernialny i powiatowe, jakoteż kancelarie notarialne nie przerywały swych czynności. Urząd Prokuratorski i kancelaria Sędziów Śledczych również są czynne. Mimo to, że znaczna ilość sędziów i urzędników wymiaru sprawiedliwości poszła do wojska, pozostali objęli pracę swoją i zastępują nieobecnych starając się, aby społeczeństwo z braku czynności sądowych szkody nie poniosło.

1920, nr 243, 07 IX. Co będziemy jedli? Dochodzą nas wiadomości z powiatu Krasnostawskiego i Zamojskiego o strasznym zniszczeniu, jakiemu uległa w dużej części większa własność z powodu działań wojennych. We wschodnich częściach powiatu, bliskość bolszewików skłoniła wielu do usunięcia inwentarza na zachód. W wielu majątkach jeszcze prawie całe zboże stoi na pniu, w wielu jest jeszcze niewywiezione, a tu się rozpoczęła pora deszczowa. Zniszczeniu ulega przede wszystkim zboże większej własności, która

wyłącznie aprowizuje miasta, a zboża tego i tak mało jest w tym roku. Władze wojskowe wyższe powinny dla dobra kraju dopilnować, żeby wojsko brało tylko to, co potrzebuje. Ludność miast powinna poprzeć u wyższych władz starania producentów, żeby położyć kres nadużyciom, bo unikniemy najazdu bolszewickiego, ale będziemy mieli głód z jego następstwami. W.

1920, nr 250, 14 IX. Zjazd przedstawicieli Komitetów Obr. Narodowej Woj. Lubelskiego. W niedzielę, dnia 12 września 1920 r. obradował w sali T-wa Muzycznego w Lublinie pierwszy zjazd przedstawicieli Kom. powiatowych Obr. Narod. Woj. Lubelskiego. W zjeździe tym wzięli udział członkowie Wojewódzkiego Komitetu Obr. Narod., przedstawiciele powiatowych i gminnych K.O.N. z Izbicy, Lubartowa, Wąwolnicy, Puław, Zamościa, Tomaszowa, Janowa Lub., Łukowa, Biłgoraja, Włodawy, Chełma i Krasnegostawu. Liczba obecnych uczestników wynosiła 76 osób.

1920, nr 265, 02 X. W nocy z 26 na 27 września w pobliżu Krasnegostawu nieznani sprawcy zamordowali wystrzałem w głowę posterunkowego Michała Ciechonia. Śledztwo w toku.

1920, nr 282, 09 X. Ks. Jan Burzyński został czasowo delegowany do pełnienia obowiązków wikariusza parafii Krasnystaw. Nowowyświęcony ksiądz Kazimierz Dąbrowski został mianowany wikariuszem parafii Krasnystaw. Wikariusz parafii Krasnystaw ks. Ignacy Wojtyna został przeniesiony do parafii Gorzków.

1920, nr 273, 10 X. Nowowyświęcony ks. Marcin Ślusarz został mianowany wikariuszem parafii Częstoborowice, dekanatu Krasnostawskiego.

1920, nr 282, 19 X. Organista z ukończeniem Płockiej organowej szkoły poszukuje posady. Adres p. Krasnystaw gm. Fajstławice. Z. Lejman.

1920, nr 283, 20 X. Wikariusz parafii Turobin ks. Konstanty Harasim został przeniesiony na takie stanowisko do parafii Krasnystaw. Ks. Jan Pietraszka z Krasnegostawu został delegowany do pełnienia obowiązków wikariusza parafii Hrubieszów.

1920, nr 286, 23 X. Dnia 13 b.m. do mieszkania Pawła Łączki, we wsi Zakrzew tejże gminy, pow. Krasnostawskiego, wpadło 12 uzbrojonych w karabiny bandytów. Na skutek wszczętego przez

domowników alarmu - bandyci zbiegli, strzelając z karabinów. Jedna z kul ugodziła Pawła Łączkę, kładąc go trupem na miejscu.

1920, nr 301, 09 XI. Dn. 12 b.m. u mieszkanki gm. Izbica pow. krasnostawski Julji Słupczyńskiej wybuchł pożar, ofiarą którego stały się budynki ze zbożem, sianem i słomą oraz różne sprzęty gospodarskie. Straty wynoszą przeszło 130 tysięcy marek. Przyczyną ognia była nieostrożność.

1920, nr 304, 12 XI. Skargi kolonji Olszanka. Grupa małorolnych włóścian z kolonji Olszanka, przynależnej do gminy Rybczewice (p. Krasnostaw) zwraca się za naszym pośrednictwem do kompetentnych władz o zbadanie następującej sprawy. Oto - jak twierdzą - ustawa aprowizacyjna i rozkład kontyngenta w stosunku do małorolnych został zastosowany niewłaściwie i w wielkiej mierze najbiedniejszym wyrządził krzywdę. Dostawę kontyngentu objęci zostali właściciele zagród dwu i trzymorgowych, bez względu na to, czy będące w ich posiadaniu grunta zostały obsiane czy też nie; to przecież ustawa przewiduje. Wyznaczając po 1/2 kg. z morgi a nawet jeden cetnar dąży się do „zbiedzenia” tych i tak już najbiedniejszych, szczególnie, gdy się weźmie pod uwagę nieproporcjonalność podziałów w stosunku do zamożniejszych a takim kluczem posługiwała się Rada gminna Rybczewice w stosunku do Kolonji Olszanka. W sprawie tej wnieśli mieszkańcy zażalenie do Sejmiku i Starostwa krasnostawskiego w przekonaniu, że znajdą tam należyte zrozumienie.

1920, nr 312, 20 XI. Pożar. Dnia 10 b.m. o godz. 8-ej popołudniu we wsi Zagrody Gm. Rudka pow. Krasnostawski, u Pawła Kabiny wybuchł pożar, którego pastwą padły zabudowania. Przyczyna nieznana. Straty oblicza poszkodowany na 160.000 marek.

1920, nr 315, 23 XI. W Krasnostawskim skradziono 9 koni i 3 krowy. W powiecie Zamojskim 4 konie i 1 krowę.

1920, nr 334, 13 XII. Schwytnie dezertera i niebezpiecznego bandyty. Dnia 26.11. schwytano we wsi Ponikwy gminy Zakrzew, niejakiego Pawła Pastuchę, dezertera, bandytę podejrzanego o współudział w zabójstwie Pawła Łączki, ze wsi Zakrzów pow. Krasnostawskiego. Zatrzymany przez funkcjonariuszy policji, Pastucha próbował zbiedz, na wezwanie nie zatrzymał się, wówczas

dano strzały, raniąc go trzykrotnie w obie nogi. Niebezpiecznego ptaszka odwieziono na posterunek policji, gdzie opatrzono mu rany i odstawiono pod konwojem do szpitala w Krasnymstawie. W stodołę, w której się Pastucha ukrywał znaleziono mnóstwo rzeczy pochodzących z rabunku i kradzieży.

1920, nr 344, 23 XII. Ujęcie niebezpiecznych opryszków. W dniu 10 b.m. w osadzie Biskupice gm. Jaszczów, został przez tamtejszy posterunek policyjny ujęty jeden ze znanych notowanych bandytów Michał Grzegorzczak. W tym samym czasie zaaresztowany został również Jego towarzysz Antoni Niedźwiecki, z którym wspólnie dokonali oni w naszym województwie całego szeregu napadów rabunkowych i bronią w ręku. Grzegorzczak schwytyany jeszcze w maju r.b. i osadzony w więzieniu na zamku zbiegł stamtąd w sierpniu, podczas ewakuacji więźniów i dokonał wraz z Niedźwieckim niecnych rabunków a mianowicie: Dnia 29 września b.r. napadli oni na dom Marjanny Czajkowskiej w kol. Dąbrowa, 16 listopada b.r. na dom Rydza Leona, we wsi Marynow gm. Brzeziny. 22 listopada b.r. na Patyrę Andrzeja, w kol. Rososza, a 24 listopada b.r. na dom Okopy Jana, w kol. Jaszczów. Niedźwiecki pozatem jest oskarżony o usiłowanie przekupienia policjantów, oraz rozebranie ściany w areszcie policyjnym Krasnostawskim w celu ucieczki. Bandyci do winy się przyznali. Osadzono ich na Zamku lubelskim, zaś sprawę przekazano urzędowi prokuratorskiemu przy Sądzie Okręgowym.

1920, nr 347, 29 XII. Ks. Franciszek Zenta z diecezji Kamienieckiej został delegowany na wikariusza do parafii Krasnostaw.

1921, nr 7, 08 I. Z Krasnegostawu. W numerze 331 naszego pisma zamieściliśmy wiadomość, przesłaną nam przez naszego korespondenta o zaofiarowania przez p. Korczakową bezpłatnie na rok jeden lokalu na Czytelnię Macierzy Szkolnej i na Tow. Przyj. Żołnierza w Krasnymstawie. Obecnie otrzymujemy w sprawie tej bliższe informacje od Zarządu tamtejszej Macierzy Szkolnej. Jak się okazują z komunikatu Zarządu, lokal ten obecnie zarekwirowany przez magistrat krasnostawski dla niejakiego p. Krasuskiego, oddany był przez p. Korczakową Macierzy bezpłatnie nie na rok jeden, ale na trzy lata. Nie powstrzymało to jednak krasnostawskiego magistratu od wyrzucenia insty-

tucji kulturalno-oświatowej na bruk. Przytaczamy w dalszym ciągu dosłownie skierowaną do nas w tej charakterystycznej sprawie skargę Zarządu Macierzy. „Magistrat nie chciał wiedzieć o tem, że lokalu instytucji użyteczności publicznej, jaką jest Macierz Szkolna, rekwirować nie wolno, a kiedy Zarząd Czytelni nie chciał się zgodzić na oddanie mieszkania - Magistrat delegował jednego ze swoich urzędników i ten w towarzystwie policjantów kazał mieszkanie otworzyć wytrychami i bibliotekę wprost wyrzucić. Czyn ten niech osądzi opinia publiczna. Czytelnia jest instytucją, na utrzymanie której składają się zamożni i biedni - zamknięcie jej i poniewierka książek tak drogich dzisiaj naraża Zarząd na struty wprost nieobliczalne. Za to może być odpowiedzialnym tylko Magistrat. Zarząd tak łatwo nie zrezygnuje - szukać ładzie sprawiedliwości i ma nadzieję uzyskać drogą legalną, bo lokal ofiarowany na Macierz należy się nam prawnie - tylko Magistrat praw żadnych nie uznaje. Wszędzie Macierz szkolna doznaje opieki ze strony władzy - u nas tylko Magistrat jest innego zdania. Smutno to przyznać, że nawet za czasów ucisku moskiewskiego fakt podobny miejsca nie miał. Kryliśmy się wprawdzie z książkami zabronionymi przez cenzurę, ale na ogół Czytelnia rozwijała się swobodnie. Dotąd Zarząd Czytelni czekał cierpliwie czy zatarg ten nie da się załatwić pokojowo, czekał daremnie, bo Magistrat o umowie w sprawie mieszkania ani myślał i przysłał drugie zawiadomienie o rekwizycji i tego kąta, do którego beładnie książki wrzucił. Czytelnia nasza jest jedną, jedyną placówką kulturalną w Krasnymstawie. W małej jej salce odbywają się wszystkie zabrania oświatowe - tworzą się koła Macierzy po wsiach, zakładają biblioteczki wiejskie - odebranie jej tego przytułku tak po barbarzyńsku jest wielką krzywdą. Z bibliotek korzystają starsi, młodzież i dzieci, a jak jest potrzebną - dowodem najlepszym są całe zastępy czytelników. Jesteśmy zatem potraktowani prawdziwie po macoszemu, jak to słusznie zaznaczył Sz. korespondent „Głosu Lubelskiego”, *Zarząd Macierzy Szkolnej i Czytelni w Krasnymstawie*. *** Ś.p. Leon Starnawski. W walkach o niepodległość Polski, poczynając od czasów Kościuszkowskich, prowadzonych przez lat 120-cia każde niemal pokolenie ziemiaństwo nasze stawało zawsze w pierwszych szeregach walczących. Na pierwszy zew kierow-

ników ruchu spieszyła młodzież ziemiańska konno i zbrojno na punkta zborne pociągając za sobą zbliżone do niej żywioły i przodując innym odwagą i wytrwałością. Powstanie 1863 roku zaznaczyło się przede wszystkim bohaterstwem owej młodzieży, która porzucając spokój i dobrobyt, niosła mienie i życie w ofierze ojczyźnie. Do takiej właśnie warstwy należał ś.p. Leon Starnawski. Wierny tradycji przodków, którzy walczyli dawniej w bojach o niepodległość, już jako 25-letni i dojrzały mąż idzie na plac boju, uczestniczy w walkach pod wodzą Wierzbickiego w kilkunastu bitwach a między innymi pod Stachowem, Różanką i Chełmem, dosługując się stopnia oficerskiego. Po upadku powstania opłaciwszy dań, która uchroniła go od deportacji, powrócił do roli. Gospodarzył zrazu we własnych majątkach: Równianki w pow. Lubelskim i poczem objął odziedziczoną po ojcu dzierżawę folwarku Guzówka w ordynacji Zamojskich, gdzie gospodarzył lat 54. Doszedłszy lat sędziwych oddał gospodarstwo synowi a sam wraz z sędziwą małżonką przeniósł się do Lublina, a ostatnio do Kutna. Utraciwszy przed 8 miesiącami dożgonną towarzyszkę życia, z którą był przeżył w niezamąconej harmonii 63 lata, wychowawszy synów i córki na miłujących kraj obywateli i doczekawszy się pociechy oglądania oswobodzonej Ojczyzny a w szeregach jej oswobodzicieli rodzonego wnuka - zmarł dn. 29 grudnia w Kutnie, pochowany tymczasowo w Grochowie pod Kutnem d. 3-go stycznia. Cześć Jego pamięci! Henryk Wiercieński.

1921, nr 10, 11 I. Dla uczczenia pamięci ś.p. Józefa Florkowskiego, nieodżałowanego sąsiada i wielkiego Obywatela Kraju, Krasnostawski Oddział Związku Ziemiańców złożył sto tysięcy marek na plebiscyt śląski.

1921, nr 13, 14 I. Kursa dla młodzieży w Krasnymstawie. Staraniem Okręgowego Związku Młodzieży Wiejskiej w Krasnymstawie urządzone zostały w dniach 27-31 stycznia 1920 roku 5-dniowe kursa ogólnokształcące dla młodzieży. Program kursów wypełniony został przez prelegentów miejscowych oraz specjalnie zaproszonych z Warszawy i Lublina. Godzin wykładowych odbyło się 26: historia Polski wraz z historią kultury (10 godz.), sprawy społeczne (6 godz.), ogrodnictwo (2 godz.), uprzemysłowienie wsi polskiej (5

godz.), rolnictwo (2 godz.), organizacja młodzieży (1 godz.). Na kursa przybyła przeważnie młodzież pow. Krasnostawskiego oraz powiatów z nim sąsiadujących, w liczbie około 300 osób. Czwartego dnia kursów t.j. 30 stycznia odbyło się w Krasnymstawie przedstawienie amatorskie, wykonane przez Sekcję teatralną Koła Młodzieży Wiejskiej w Krupem. Odegrane zostało „Betleem Polskie” L. Rydla z udziałem 40 osób. Powodzenie było ogromne, toteż przedstawienie na żądanie publiczności było powtórzone w dn. 1 stycznia 1921 r. Czysty dochód z tych przedstawień przeznaczony został na budowę domu ludowego we wsi Krupie.

1921, nr 15, 16 I. Ciekawy dokument. Korespondent nasz z Krasnostawskiego donosi, co następuje: Mam w swoim ręku odpis uchwały zebrania gminnego, gminy Żółkiewka z dn. 5 listopada 1918 roku. Treść uchwały istotnie osobliwa, rzuca ciekawe światło na działalność „twórców nowego życia”, uważam przeto za wskazane zapoznać ogół z treścią tego „historycznego” dokumentu. Wyjątek z tej uchwały brzmi dosłownie: „Zabranie gminy Żółkiewka w d. 5 listopada 1918 roku popołudniu. Zabrał głos Jan Wrona. Zebranie wybrało: 1) na przewodniczącego Edwarda Cimka, 2) na zastępcę Jana Muszalskiego i 3) na trzymającego pióro Jana Kowalczyka. Zebranie gminy postanawia: 1) cięcie lasów w majątkach Olchowiec i Dąbie aż do dalszego odwołania, 2) zebranie postanawia wszystkie przyrządy zabrane przez władze austriackie, a służące do potajemnego pędzenia wódki, oddać prawym właścicielom; do tego upoważnia się komisję likwidacyjną, jak również zebrani postanawiają zwolnić osadzonego w areszcie za tajne pędzenie wódki mieszkańca wsi Sobieskiej Woli Józefa Komajdę w drodze amnestji i poleca urzędowi gminnemu takowego natychmiast uwolnić z aresztu, a sprawy przeciwko niemu umorzyć. Odpowiedzialność za to przyjmuje na siebie zebranie gminne”. Znamienna ta uchwała stanowi ciekawy przyczynek do psychologii obalańców ciemnych mas, świadcząc, jak pewien odłam naszego ludu pod wpływem demagogicznych wywrotowych agitacji pojmuje wolność i czego oczekiwał po wyjściu okupantów od niepodległej Polski. Rabunek cudzego mienia i bezkarne pędzenie wódki oto ideały i hasła, które ciemni gminniacy żółkiewscy uznali za najzupełniej moralne i dali im nawet

w naiwności ducha - sankcję prawną. Oczywiście - wszelką odpowiedzialność za to ponoszą przede wszystkim różnego gatunku „zbawcy ludu” i twórcy „nowego porządku”, którzy za pomocą podstępów, fałszu i obłudy wprowadzają swych ciemnych braci na drogę występku i zbrodni. Dziwić się tylko należy, że tym inspiratorom zatruwającym organizm społeczny uchodzi to wszystko bezkarnie. P.P. *** Przygody Króla wracającego z Ameryki do Polski - na polskiej kolei. Tytuł zakrawa na humoreskę, treść jednakże jest cierpką prawdą podaną ze ściśle ustalonymi szczegółami, by odnośne władze, mogły zrobić z nich użytek. Jan Król włościanin z Chłaniowa gm. Żółkiewka, pow. Krasnostawskiego, po ośmioletnim pobycie w Ameryce dowiedziawszy się o wolnej Polsce i zatęskniwszy za krajem i rodziną, wyjechał z powrotem, obliczwszy tak marszrutę, by na święta stanąć w domu. Podróż przez morze i obczyzny odbył pomyślnie i terminowo. Od Krakowa jednakże dalsza podróż poszła tak wolno, że w Lublinie stanął dopiero dn. 27 grudnia 1920 r. wieczorem. Tutaj na stacji, gdy z 2-ma walizkami w rękach przesiadł się z wagonu do wagonu, ukradziono mu w tłoku z zaszytej na piersiach kieszeni 46.000 marek. Nie wystarczyło to jednak złodziejom; poznawszy widocznie z wyglądu, że to imigrant amerykański ruszyli za nim, by sprawdzić, czy nie ma dolarów. W wagonie w czasie biegu pociągu na linii Lublin-Lwów między stacjami Topolczą i Brodami liczna grupa, złożona z młodych żydów, kilka osób w mundurach wojskowych i jednej w ciemnym szynelu w czapce z kołorowym lampasem napadła nań z nożami w rękach. Osobnik w ciemnym szynelu powiedział mu: „porachujemy się z tobą za to, żeś skarżył żandarmom w Lublinie”. Król, wobec tego zostawiwszy walizki wyskoczył w bieg z pociągu, dowlókł się potłuczony do sąsiedniej wsi i stamtąd o żebranym chlebie zawłókł się piechotą obdarty i chory fizycznie i nerwowo do rodzinnego domu. M.

1921, nr 16, 17 I. Funkcjonariusze policji państwowej powiatu Krasnostawskiego składają na plebiscyt na Górnym Śląsku siedem tysięcy osiemset dwadzieścia marek (7820 mk.)

1921, nr 17, 18 I. Skład Rady Wojewódzkiej. ...Borys Jan - Krasnostaw, rolnik...

1921, nr 26, 27 I. Koło młodzieży w Wysokiem. W dn. 12 grudnia 1920 r. odbyło się w gminie

Wysokie powiatu Krasnostawskiego zebranie młodzieży pod przewodnictwem ks. proboszcza Cz. Godlewskiego. Zebrani, rozważywszy konieczność podniesienia swego rozwoju umysłowego i kulturalnego oraz wyrobienia się na świadomych obywateli kraju, gotowych do służby dla dobra Ojczyzny, postanowili założyć Koło Młodzieży Wiejskiej, mające służyć tym właśnie celom. Jako najbliższe zadania zaprojektowano urządzenie kursów wieczorowych, obejmujących język polski, arytmetykę, historję Polski, literaturę, geografję, kooperację, chóry i orkiestry.

1921, nr 43, 13 II. Zabójstwo policjanta (u). Na drodze w stronę przedmieścia Krasnegostawu, w odległości dwu wiorst od miasteczka, cieniem tępego narzędzia w skroń, zabito starszego policjanta tamtejszego posterunku Władysława Czaplińskiego. Sprawcy mordu dotychczas nie ujęto. Ś.p. Czapliński, wiele przyczynił się do tępienia bandytyzmu w stronach Krasnegostawu. *** Sejmik krasnostawski przekazał na Śląsk Górny 1 milion marek.

1921, nr 49, 19 II. Ks. Ciesław Zmysłowski z Lublina został mianowany wikarjuszem parafii w Krasnymstawie. Prefekt szkół w Krasnymstawie ks. Jan Pietraszka z djecezji Przemyskiej został zwolniony. *** Schwytywanie zabójcy policjanta. (u). W tych dniach schwytano Jana Zajączkowskiego z Krasnegostawu, mordercę policjanta z posterunku Krasnostawskiego, Władysława Czaplińskiego (patrz „Głos Lubelski” z dnia 13 b.m.). Zajączkowski schwytany został podczas libacji z butelką wódki i przekąską w rękę. Według własnych zeznań morderstwa dokonał na skutek obawy przed aresztowaniem, którego się spodziewał od dłuższego czasu. Sprawa ta będzie w krótkim czasie rozpatrywana przez sąd doraźny

1921, nr 63, 06 III. W pierwszą bolesną rocznicę śmierci dnia 7-go Marca o godzinie 10-iej rano w kościele O.O. Karmelitów odbędzie się nabożeństwo za spokój duszy ś.p. Ks. Wacława Kościelniakowskiego Kanonika Kapituły Lubelskiej, Dziekana i Proboszcza Krasnostawskiego o czym zawiadamia przyjaciół i znajomych Siostra. *** Wyrok. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej. Dnia 13 grudnia 1920 roku Sąd Pokoju w Krasnymstawie po rozpatrzeniu na posiedzeniu sądowym sprawy przeciwko Józefowi Śliwińskiemu i Wiktorji Ro-

gowskiej oskarżonym z art. 19 Dekretu z dnia 2 lipca 1920 r. na mocy art. 119 ust. 1 poz. kar. art. 19, 32, 33, 42 p. 14 i 52 ust. z dn. 2 lipca 1920 r. o zwalczaniu lichwy wojennej i art. 62 przep. tym. o koszt. sąd. Postanowił skazać Wiktorję Rogowską zamieszkałą na przedmieściu Zakręcie, m. Krasnegostawu i Józefa Śliwińskiego zamieszkałego we wsi Złośnica, gm. Rudka, na karę grzywny w kwocie po pięć tysięcy marek każdego w razie niewypłacalności aresztu na miesiąc opłat w sprawach karnych po 500 mk. Odebranego od Rogowskiej wieprza skonfiskować i oddać na rzecz skarbu państwa, sprzedawszy takowego po cenie 25 mk. za funt żywej wagi. Pieniądże odebrane od Józefa Śliwińskiego w sumie 13500 mk. skonfiskować i oddać na rzecz skarbu państwa. Ogłosić treść wyroku w dzienniku „Głos lubelski” oraz wywiesić kopię wyroku na czas dwóch tygodni na targu w Krasnymstawie. Wyrok powyższy został zaskarżony przez skazanych w drodze apelacji do Sądu Okręgowego w Lublinie, Sąd Okręgowy na posiedzeniu publicznem w dniu 10 stycznia 1921 roku Wyrok Sądu Pokoju w Krasnymstawie z dnia 13 grudnia 1920 r. w całej rozciągłości zatwierdził, tytułem opłat sądowych w Sądzie Okręgowym od tychże Wiktorji Rogowskiej i Józefa Śliwińskiego po 750 marek polskich zasądził. Szef Wydziału: Nurowski. Sekretarz Michalak. Sędzia Pokoju Sieklucki.

1921, nr 65, 08 III. Dziękując współpracownikom za miły dowód przyjaźni składam na plebiscytowe złożone przez nich do uznania w dniu imienin 600 marek z dodaniem 400 marek. Sędzia Kazimierz Sieklucki w Krasnymstawie.

1921, nr 69, 12 III. Zebrani u Sędziego Przybylskiego w Krasnymstawie sędzia Sieklucki, sędzia Paszkiewicz, adw. Porczyński, komendant Wilczyński, Jarząbkiewicz i Przydatek składają na plebiscyt Mk 700.

1921, nr 72, 15 III. Produkcja nasion pastewnych Nowina, p. Krasnostaw ma na sprzedaż nasiona marchwi pastewnej, białej, zielonogłówki, hodowli braci Chomiczów po 120 mk. za kilo, buraków pastewnych po 80 mk. Zamówienia; Lublin, Powiatowa 1 m. 4.

1921, nr 85, 31 III. Świętokradztwo. Dnia 28 marca w Krasnymstawie z kościoła został skradziony z ołtarza św. Mikołaja lichtarz wartości 2000

mk. Świętokradcę pojmano; był to mieszkaniec Krasnegostawu Wincenty Dubas.

1921, nr 94, 10 IV. W skład Kapituły wchodzi obecnie: trzech prałaci: 1) Ks. Wincenty Hartman - Infułat prałat i dziekan Kapituły. 2) Ks. Leon Wydzga, proboszcz par. Międzyrzec na Podlasiu. 3) Ks. Bronisław Malinowski, dziekan i proboszcz krasnostawski.

1921, nr 96, 12 IV. (p) W nocy z 5-go na 6-go b.m. w Krasnymstawie u P. Perelmutera nieznanego zbrodni, rozbiwszy kłódkę od komory młyńskiej, skradli z niej 15 łokci pasa pociągowego szerokości 12 cali i innych pasów na sumę przeszło 100.000 marek. Zbrodnię są energicznie poszukiwani przez policję.

1921, nr 97, 13 IV. Statystyka strajków i lokautów. Na podstawie Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 8 lutego 1921 roku w przedmiocie statystyki strajków i lokautów (Dz. Ust. Rz. P. 1921 r. A; 16, 02. 91), wszystkie prywatne zakłady i przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, transportowe i t.p. oraz wszelkiego rodzaju gospodarstwa rolne i leśne, obowiązane są przesyłać do biura Inspektora Pracy następujące zawiadomienia: Zakłady i gospodarstwa znajdujące się na terenie powiatów: chełmskiego, włodawskiego, krasnostawskiego - obowiązane są przesyłać powyższe dane do biura Inspektora Pracy 23 Obwodu w Chełmie, ul. Lubelska No 23. *** (P) Ujęcie niebezpiecznego bandyty. W nocy z dnia 9-go na 10-go b.m. przez funkcjonariuszy policji krasnostawskiej ujęty został od dawna poszukiwany bandyta Kozioł Mikołaj, przy którym znaleziono karabin i przeszło sto naboji. Podczas obławy bandyta został ranny i obecnie znajduje się w krasnostawskim szpitalu pod silną „opieką”.

1921, nr 117, 04 V. Z obchodu 3-go Maja. „W uroczystości 3-go Maja w Lublinie przyjęty udział dzieci szkół ludowych ze wsi Stawce i Wola Studziańska (gm. Zakrzew, pow. Krasnostaw.) przybyłe w tym celu pod opieką nauczycielek pań: Wacławy Jankowskiej i Janiny Jarosówny”.

1921, nr 121, 08 V. Brońmy Górnego Śląska. Protest ludności Województwa Lubelskiego przeciw zamachowi na Górny Śląsk. Hołd i cześć dla ludu górnośląskiego. Śląsk musi być nasz. Z Krasnegostawu, dnia 3 maja. Zaniepokojony wieścią, iż sprawa Górnego Śląska zagrożona jest

podziałem okręgu przemysłowego, który polskość swą w głosowaniu mimo fałszów i terroru niemieckiego jak najkategoryczniej zakomunikował. Sejmik powiatowy krasnostawski na nadzwyczajnym posiedzeniu w dniu 3 maja, jak najbardziej stanowczo przeciwko takiej decyzji protestuje i wzywa Rząd do podjęcia ostatecznych środków, celem unicestwienia krzywdzących nas zamierzeń. Nie damy kupczyć krwią robotnika i chłopca polskiego i udzielimy mu w walce o wyzwolenie wszelkiego w krwi i mieniu poparcia. Przewodniczący Wielanowski. Z Krasnegostawu, dnia 4 maja. My, mieszkańcy miasta Krasnegostawu i okolicy, zebrani na uroczystym obchodzie rocznicy Konstytucji 3 maja, przejdę do głębi otrzymanymi wieściami o zamierzonym, krzywdzącym nas podziale okręgu przemysłowego Górnego Śląska, jak najenergiczniej przeciwko temu nowemu gwałtowi protestujemy i domagamy się od Rządu i Sejmu przedsięwzięcia wszelkich najbardziej stanowczych kroków do unicestwienia tego haniebnego planu, oświadczając kategorycznie, że, doprowadzeni do ostateczności, gotowi jesteśmy do najdalej idących ofiar z krwi i mienia w obronie kwestionowanych, słusznych praw naszych. Z Krasnegostawu, dnia 3 maja. Rada Miejska miasta Krasnegostawu, zebrana na uroczystym posiedzeniu w celu uczczenia 130 rocznicy wiekopomnej Konstytucji 3-go maja, tknięta do głębi hjobową wieścią o zapadłej decyzji podziału należnego nam ze wszech miar, praw boskich i ludzkich okręgu przemysłowego Górnego Śląska, zakłada przeciwko temu jak najenergiczniejszy protest, oraz oświadcza w imieniu reprezentowanej przez się ludności miasta Krasnegostawu, że w razie potrzeby stanie, jak jeden mąż, w obronie zagrożonej odwiecznie Polskiej ziemi. Przewodniczący Migurski.

1921, nr 129, 17 V. (S) Pożar w Giełczewie. Dnia 6 b.m., około godz. 6-jej wieczorem, powstał skutkiem uderzenia piorunu pożar w zabudowaniach należących do Piotra Panki, Jakóba Panki i Józefa Flaka, mieszkańców wsi Giełczew, gmina Wysokie, pow. Krasnostaw. Ogień objął całe gospodarstwo wraz z zapasami zboża i narzędziami rolniczymi. Ogólna strata wynosi 3.200.000 marek. Akcją ratunkową kierowała Straż Ogniowa z Krasnegostawu z pomocą ludności miejscowej. Dopiero po upływie kilku godzin pożar zostało umiarkować.

1921, nr 131, 19 V. Podziękowanie. Zarząd Polski Macierzy Szkolnej w Krasnymstawie z okazji urządzanego w dn. 8-go maja b.r. wieczoru wokalnie-deklamacyjnego, na korzyść tejże Polskiej Macierzy Szkolnej nadesłał do Redakcji naszego pisma następujące podziękowanie. „Wszystkim amatorom, a mianowicie: p. Reszeliłowiczowej za akompanjament i ładną grę na fortepianie, p. Jezierskiej za deklamację, p.p. Busiównie, W. Dołżyckiemu, S. Bartoszewskiemu i M. Janczakowi za bezinteresowny i łaskawy współudział w koncercie, jak również p.p. Ratajskiej, Fryczównie, Łazowskiej, dyr. Krukowskiemu, Fr. Patyrze, K. Dwornickiemu i Fr. Piętałowi, za ich asystę i pracę przy urządzaniu tego wieczoru całemu zespołowi wymienionych osób za przyczynienie się do powiększenia funduszu Macierzy - wieczór przyniósł 11.000. mk. czystego dochodu - składa serdeczne „Bóg zapłać”. Zarząd P.M. Szkolna. *** Z Krasnegostawu. Dzięki energicznym zabiegom miejscowego Zarządu P.M.S. został w dniu 8. b.m. zorganizowany w Krasnymstawie wieczór muzykalno-wokalny na dochód tej instytucji. Wieczór udał się pod każdym względem doskonale. Słowo wstępne: „O roli Napoleona w wyzwoleniczych dążeniach Polski”, pióra p. Zofii Guzowskiej, wygłosiła w zastępstwie autorki p. H. Jezierska słuchaczka Uniwer. Lub., która prócz tego z powodzeniem deklamowała wiersz Słowackiego: „Na sprowadzenie zwłok Napoleona.” Wykonawcami części wokalnej byli amatorzy: p. Busiówna, uczennica artysty opery warszawskiej, p. Brzezińskiego; p.p. W. Dołżycki, Stanisław Bartoszewski i Marceli Janczak, uczeń prof. Dudzińskiego. Do śpiewu akompaniowała p. Reszeliłowiczowa, która również odegrała na fortepianie „Tańce andaluzyjskie” Aschera. - Wszyscy amatorzy świetnie wywiązali się ze swego zadania, na wyróżnienie zasłużyli: M. Busiówna i M. Janczak. W śpiewie ich znać dobrą szkołę, głosy dźwięczne i wiele uczucia. P. Busiówna odśpiewaniem „Stacha” Kosobudzkiego, a p. Janczak piosnką „Cicho śpij” Apta, wywołali prawdziwy entuzjazm publiczności, która też nie szczędziła im dowodów uznania, po każdym śpiewie rozlegały się oklaski, a w końcu obdarowano ich bukietami żywego kwiecia. Sala była wypełniona po brzegi.

1921, nr 137, 25 V. W Krasnymstawie sejmik przystąpił do prac przygotowawczych odnoś-

nie uruchomienia kolejki Izbica (względnie Krasnostaw) - Żółkiewka.

1921, nr 129, 17 V. Ordynacja wyborcza. Warszawa. 25.5. (Tel. wł.) Sejm Ustawodawczy przed rozwiązaniem się ma uchwalić jak wiadomo ordynację wyborczą. Okręg 36: Zamość, Chełm i Tomaszów. Janów, Biłgoraj i Krasnostaw. *** Wizytacja Kanoniczna. Jego Ekscelencja Ks. Biskup Sufragan Adolf Jełowicki wyjeżdża w dniu 2 czerwca r.b. na wizytację kanoniczną, która trwać będzie od 4 czerwca do 28 czerwca, w dekanatach Szczebrzeskim, Turobińskim, Krasnostawskim i Biskupickim, według poniższego rozkładu: ...

1921, nr 148, 05 VI. W Krasnymstawie wyszedł No 5 „Ziemi Krasnostawskiej” organu samorządowo-społecznego Sejmiku Krasnostawskiego.

1921, nr 150, 07 VI. Znaczną kradzież koni. (s) W nocy z dn. 4 czerwca r.b. skradziono mieszkańcowi wsi Równianki gm. Rudniki pow. Krasnostawskiego, Ignacemu Osmole 3 konie: 1) Kłacz kasztanową z gwiazdką na czole, miary średniej lat 12, wartości 30.000 mk. 2) kłacz karą, miary średniej, wartości 60.000 mk. 3) kłacz gniadą, jednoroczną, grzywa czarna, wartości 40.000 mk. Też nocy ciż sami prawdopodobnie sprawcy uprowadzili kłacz ciemno-brunatną z gwiazdą na czole, lat 13, wartości 120000 mk. własność mieszkańca wsi Wierzbica gm. Rudniki - Tomasza Dymieckiego.

1921, nr 151, 08 VI. Kradzież z włamaniem. (s) W nocy z dnia 31 maja na 1 czerwca nieznani sprawcy wtargnęli do stajni za pomocą wyłamania sztaby i wyprowadzili 3 konie: kłacz kasztanową lat 7, ogiera maści karogniadej lat 3, oraz ogiera gniadego rocznego, ogółem wartości 165.000 marek. Konie są własnością Marka Wincentego, mieszkańca przedmieścia Krasnegostawu - „Zakręcie”. Śledztwo wdrożone.

1921, nr 152, 09 VI. Rabunek. (s) W nocy z d. 4 nieznani sprawcy wdarli się przez okno do mieszkańca m. Krasnegostawu - Jugmana i zrabowali mu różne gatunki skór i przyborów na sumę 50.000 marek. Pozostawili po sobie ślady odcisków rąk na szybie. Dochodzenie w toku.

1921, nr 154, 11 VI. Potyczka policji z cyganami. (s) W nocy z dnia 7 na 8 czerwca r.b. we wsi Stara Wieś gm. Zakrzew, pow. Krasnostawskiego, złodzieje podkopali się pod komorę Stanisława Klika, gdzie zabrali znaczną ilość różnych rzeczy

i narzędzi rolniczych. Posterunek policji w Zakrzewie, zorganizował wspólnie z ludnością miejscową wyprawę do okolicznych lasów. W lesie Wolińskim patrolę natknęły się na opryszków jadących dwoma furmankami. Nastąpiła wymiana strzałów, poczem opryszki zbiegli. Okazało się, iż wozy były z taboru cygańskiego i że konie należały do cyganów.

1921, nr 158, 15 VI. Znalezione w życie. (s) U mieszkańca przedmieście Zastawie w Krasnymstawie nieznani sprawcy skradli z komory rozmaityą garderobę oraz szynki na ogólną sumę 23.150 mk. Wszystkie rzeczy odnaleziono przez policję w życie obok osady Izbica, pow. Krasnostawskiego.

1921, nr 159, 16 VI. Krasnystaw. Dn. 19 ub.m. odbyło się organizacyjne posiedzenie nowopowstałego stowarzyszenia o celach kulturalnych i towarzyskich pod nazwą „Ogniwo”. Na zebraniu tem przyjęto statut, ustalono wysokość składki rocznej na 1200 mk. i 300 mk. wpisowego oraz wybrano tymczasowy zarząd, składający się z pp. Berdeckiego, Hendigerego, Leszczyńskiego, Łazowskiego i Szymańskiego. „Ogniwo” „niezawodnie przyczyni się znacznie do ożywienia ruchu towarzyskiego i społecznego w naszym mieście, o ile będzie prowadzonym tak, jak na to cel stowarzyszenia zasługuje, - t.j. sprężyscie i ciągle.

1921, nr 162, 19 VI. Krasnystaw. Dnia 22 ub.m. odbyło się walne zgromadzenie delegatów Związku Stow. Spożywców w sali miejscowego gimnazjum. Obecnych było 54 delegatów, reprezentujących 29 stowarzyszeń na ogólną liczbę czynnych spółek 59. Przewodniczył p. B. Jagielski z Kraśnicy, prezes rady nadzorczej. Ze sprawozdania za rok ubiegły dowiedzieli się obecni, że Związek dokonał obrotu towarami na 14.606.600 mk. z czego niestowarzyszonym sprzedano za sumę 5.814.926 mk. (Czystego zysku osiągnięto 884.227 mk., które zebranie uchwaliło udzielić w sposób następujący: 20 proc. na dywidendę od zakupów, 50 proc. na dywidendę od udziałów, 420 tys. mk. na kapitał społeczny, 50 tys. mk. na stypendja dla niezamożnej uczącej się młodzieży szkolnej, pozostałą resztę na fundusz własnego domu. Z ważniejszych uchwał zanotować należy: udziały w stowarzyszeniach podniesiono do wysokości 1.000 mk., z czego 500 mk. winno się wpłacić do Związku Okręgowego, upoważniono Radę Nadzorczą do zaciągania pożyczek do wysokości 8 mil. mk., składkę na lustrację

stowarzyszenia obowiązane są płacić w wysokości 1.000 mk. od każdych 200 tys. mk. obrotu, działu rolniczo-handlowego postanowiono nie otwierać, dla braku dostatecznego kapitału obrotowego. Poczem odbyły się wybory do Rady Nadzorczej. Na miejsce wylosowanych trzech członków Rady pp. Domoślowskiego, Jagielskiego i Waręckiego, wybrano pp. Berdeckiego, Gołębiowskiego i Jagielskiego, a na zastępców pp. Kamienieckiego i Waręckiego. Plan gospodarki dla Związku nakreślono następujący: nabycie placu pod budowę własnego domu, rozszerzenie i ożywienie handlu jajami, uzyskano prawa sprzedaży wyrobów tytoniowych, wreszcie postanowiono zająć się uporządkowaniem stowarzyszeń, dążąc do wydatnego popierania spółek silnych i łączenia słabszych w jedno większe stowarzyszenie.

1921, nr 159, 16 VI. Krasnostawski sejmik powiatowy przystąpił do prac przygotowawczych w celu uruchomienia kolejki Izbica-Krasnystaw-Żółkiewka. *** W jasny dzień. (s) W dniu 15 czerwca r.b. na szosie Piaseckiej, na Sermaka Piotra i Lisieckiego - mieszkańców m. Lublina, jadących na jarmark do Piask, napadło dwóch bandytów, pobili wyżej wymienionych i zrabowali 45.000 marek. Ekspedytura Śledcza powiatowa ujęła rabusiów: dalsze w tej mierze śledztwo jest w biegu. Bandyci włóścianie pochodzą ze wsi Częstoborowice, gm. Rybczewice, pow. Krasnostawskiego. *** Pożar w Krupach. (s) We wsi Krupie, gm. Rudka, pow. Krasnostawskiego, w dniu 15 b.m. około południa podczas burzy, nastąpiło uderzenie pioruna w zabudowanie Józefa Drewczuka, skutkiem którego spłonął dach, oraz ubrania, kufr i t.p. na ogólną sumę 130.000 marek. Uległa ciężkiemu oparzeniu przy ratowaniu, mieszkanka tejże wsi Olga Boczyńska.

1921, nr 166, 23 VI. W gm. Turobin, pow. Krasnostawskiego napadło 6-iu bandytów, uzbrojonych w krótkie karabiny niemieckie i ubranych w uniformy wojskowe. Zrabowali w gotowości 4000 marek i 300 w wekslach i kwitach 13.000 marek oraz bieliznę, garderobę i obuwie, ogólnej wartości około 20.000 marek. Śledztwo wdrożone.

1921, nr 166, 23 VI. W Krasnymstawie są do odstąpienia prawa spadkowe do części posesji po ś.p. M. Krzykowskiej. Wiadomość Lublin Rynek 2 Felczerek.

1921, nr 177, 04 VII. Składnica jaj w Krasnymstawie. Okręgowy Związek Stowarzyszeń Spożyców w Krasnymstawie zorganizował i prowadzi od kilku miesięcy skup jaj w powiecie. Przy stowarzyszeniach wiejskich są zbiornice, które skupują jaja w każdej ilości od producentów i większymi partiami odsyłają do Krasnegostawu do składnicy, które wysłała je Towarzystwu Mleczarskiemu w Lublinie.

1921, nr 184, 11 VII. Zamach na starca. (s) Dozorca leśny w dobrach Orłów, gm. Izbica, powiatu Krasnostawskiego, strzelił w lesie dn. 4 lipca do Andrzeja Przysłupy, 70 letniego starca, mieszkańca wsi Orłów. Przysłupa otrzymał postrzał w głowę z dubeltówki. Pierwszą pomoc lekarską udzielono mu w Izbicy. Przyczyna zamachu dotąd niewiadoma.

1921, nr 184, 11 VII. Pożar. (s) W dniu 4 lipca r.b. w zabudowaniach, należących do Antoniego i Stanisława Proskury, mieszkańców wsi Siennica, gm. Rudka, pow. Krasnostaw, powstał pożar. Ogień przerzucił się na sąsiedni dom i oborę - własność Moszka Rzewnickiego. Szkody znaczne, nie są jednak dotąd ściśle obliczone. Przyczyna pożaru - zapalenie się sadzy w kominie.

1921, nr 187, 14 VII. Uszkodzenie linii telefonicznej i samowola przestępców, (s) Robotnik Pisarski, trudniący się naprawą linii telefonicznej, zawiadomił Ekspozyturę Śledczą w Krasnymstawie, że w dniu 7 lipca r.b. pomiędzy Żółkiewką a Turobinem zauważył trzy słupy podcięte przez nieznanych sprawców - zaś drut zabrany. Z chwilą, gdy rozpoczął wkładanie słupów z powrotem do ziemi, wyszło z lasu Żabińskiego 2 osobników z kijami w ręku. Zagrozili Pisarskiemu śmiercią, jeżeli natychmiast nie zaprzestanie naprawy linii. Pisarski przestraszony powrócił do Krasnegostawu i złożył zeznanie powyższe. Śledztwo wdrożone.

1921, nr 188, 15 VII. Olbrzymi pożar. (s) W dniu 11 lipca r.b. spaliło się w Krasnymstawie 5 budynków, należących do: Marji Berezy, Jana Berezy, Skiby, Hochmana i Kubickiego. Pożar wszczął się o godz. 8 rano i pochłonął całe mienie wyżej wymienionych. Straty dotąd nieustalone, są jednak ogromne. Przyczyna również nieustalona; przypuszczalnie skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z ogniem.

1921, nr 195, 22 VII. Ofiara nieuwagi. (s) W folwarku Częstoborowice, pow. Krasnostawskiego, Szymon Zuber, robotnik pracujący dnia 18

lipca b.r. przy młocarni, zaczepił koszulą o tryby, które go rzuciły o ziemię. Po upływie 15 minut, skutkiem odniesionych ran, życie zakończył.

1921, nr 197, 24 VII. Wyjaśnienie o napadzie bandyckim. Odnośnie do wzmianki, zamieszczonej w No 166 „Głosu Lubelskiego”, z dn. 23. 6. b.r. o rabunku dokonany przez 6 bandytów w mundurach wojskowych na Symcha Gewerca, mieszkańca Nowej wsi w pow. Krasnostawskim, Dtwo Okr. Generalnego komunikuje nam następujące szczegóły. Wyżej wspomniani bandyci nie byli wojskowymi, a tylko przebrali się w mundury wojskowe, - jeden zaś w mundur policyjny.

1921, nr 199, 26 VII. Różne kradzieże. (s) W nocy z dn. 21 na 22 lipca - na drodze prowadzącej z Krasnegostawu do Łopiennika - skradziono z wozu 48 kilogramów herbaty, własność sejmiiku powiatowego w Krasnymstawie. Dochodzenie w toku.

1921, nr 203, 30 VII. Napad bandytów. (s) W nocy z d. 28 na 29 b.m., na gościńcu wiodącym z Wysokiego do Lublina, na terytorjum gminy Piotrków, dokonany został napad na przejeżdżających: Anastazję Helbiniak i Michała Lewczyna, mieszkańców wsi Tarnowa, gm. Turobin, pow. Krasnostawskiego. Sześciu bandytów, uzbrojonych w karabiny i rewolwery, zrabowało 134.000 marek. Wystrzałem z karabinu zabity został koń Helbiniakowej. Rabusie zbiegli w kierunku lasu. Pościg za bandytami zarządzono.

1921, nr 206, 02 VIII. (s) Piorun spalił w dniu 28 lipca dwie stodoły, należące do Józefa i Henryka Sabko, mieszkańców Łopiennika, pow. Krasnostawskiego. Spłonęła zwieziona do stodół cała tegoroczna krescencja. Straty wynoszą oprócz budynków około 400.000 marek. *** (s) W nocy z dn. 27 na 28 b.m. do dworu w Orłowie Murowanym, gm. Izbica, pow. Krasnostawskiego, zakradli się za pomocą wyjęcia szyby w drzwiach, nieznani sprawcy do przedpokoju i zabrali stamtąd 11 palt, wartości ogólnej około 300.000 marek, po czym zbiegli. Dochodzenie w toku.

1921, nr 211, 07 VIII. Znowu milionowe straty skutkiem pożaru. (s) W dniu 4 b.m. około godz. 1 po południu, we wsi Siennica, gm. Rudka, pow. Krasnostawskiego, pożar zniszczył całkowicie dom mieszkalny, stodołę z zapasami zboża i stajnię. Ogień udzielił się sąsiednim zagrodom,

skutkiem czego spłonęło 9 gospodarstw wraz z inwentarzem żywym i martwym oraz zbożem. Straty nie są dotąd ściśle obliczone, w każdym razie wynoszą milionowe sumy. Jednemu z gospodarzy, Stanisławowi Kamińskiemu, spaliło się dwuletnie dziecko, które w czasie pożaru spało w kołysce. Ratunek był nader utrudniony, ponieważ wszyscy mieszkańcy wsi pracowali w polu. Pożar powstał skutkiem rzucenia palącego się papierosa blisko przy stodole. Śledztwo w toku.

1921, nr 214, 10 VIII. (s) Olbrzymie straty 20.000.000 marek wynikły skutkiem pożaru dwupiętrowego młyna w m. Turobinie, pow. Krasnostawskiego, w dniu 5 sierpnia r.b. Właściciele młyna Jan Flis i Antoni Koba obliczają je na dwadzieścia milionów marek. Szczegółów brak. Pożar powstał z niewyjaśnionej dotąd przyczyny. Dochodzenie w toku. *** Wielkie kradzieże z włamaniem. W nocy z dn. 5 na 6 b.m. dokonano kradzieży, za pomocą wylamania okna w domu Fluszmiana Dawida, mieszkańca m. Krasnegostawu. Ogólna strata wynosi około 50.000 marek.

1921, nr 216, 12 VIII. Masowe koniokradztwo w Krasnostawskim. (s) W nocy na 9 b.m. we wsi Ponikwy, gm. Zakrzew, skradziono ze stajni Józefa [nieczytelne] kilka koni.

1921, nr 231, 28 VIII. W majątku Surhów z Lubelskiej stwarza się komplet dzieci przechodzących kurs klasy 3-iej, szkół podstawowych, z uwzględnieniem muzyki, gimnastyki i stałą konwersacją francuską. Chcących umieścić w tym Komplecie dzieci uprasza się zwrócić listownie o szczegółowe warunki: p. Krasnostaw, Surhów, Skolimowscy.

1921, nr 234, 31 VIII. Kradzieże. (s) W nocy, z d. 26 na 27 b.m., skradziono, za pomocą wyjęcia strzechy z dachu, kożuchy i liczną ilość ubrań i bielizny, należących do Grzegorza Kostrzanowskiego mieszkańca wsi Zażółkiew, gm. i pow. Krasnostawskiego. Straty są około 190.000 marek. D. 27 sierpnia r.b. o godz. [?] po południu również za pomocą wyjęcia strzechy wdarli się nieznani sprawcy do mieszkańca wsi Oleśniki, pow. Krasnostawskiego, Ludwika Hata zabrali duży zapas garderoby, ogólnej wartości 116.000 marek. Śledztwo wdrożono.

1921, nr 236, 02 IX. Olbrzymie pożary. (s) 28-go sierpnia, około godz. 11-tej wszczął się pożar w zabudowaniu Wojciecha Hada, mieszkań-

ca wsi B. gm. Zakrzew, pow. Krasnostawski Ogień zniszczył dom mieszkalny, młocarnię, stodołę wraz z zapasami 3 konie i krowę. Hada miał mieszkanie urządzone chwilowo w stodole w którym komin źle funkcjonował rzucał gęsto iskry, od których zajęła się słoma i w mgnieniu oka wybuchł pożar. Straty wynoszą 3.200.000 mk.

1921, nr 243, 09 IX. Ziemiaństwo w walce z drożyzną. Oddział Krasnostawski Zw. Ziemian postanowił sprzedać za pół ceny rynkowej 500 rodzinom urzędniczym w powiecie, potrzebne im na cały rok zboże. Na ostatnim zebraniu Oddziału, w myśl postanowień Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich, zapadła uchwała, że kto będzie sprzedawał zboże spekulantom, a nie kooperatywom, lub zrzeszeniom konsumenckim, będzie wykluczony z grona Ziemian i w pismach ogłoszony. Dążeniem ziemian - powstrzymanie wzrostu cen rynkowych zboża, przez rzucenie na rynek do 15 listopada r.b. 1/3 części swoich zbiorów. Dzięki tylko temu, że ziemianie już rzucili część zboża na rynek - ceny jego od przednowku uległy zmianom, a nawet trochę spadły, gdy tymczasem ceny wszelkich towarów podniosły się o 200%. Obecnie czas przyszedł na konsumentów i ich organizacje, żeby kupowali zboże z pierwszej ręki, żeby nie słuchali spekulantów, którzy umyślnie rozpuszczają fałszywe wiadomości.

1921, nr 265, 03 X. Znowu straszne pożary. (s) We wsi Żdżanne gm. Rudka, pow. Krasnostawskiego, pożar zniszczył d. 28-go września wszystkie zabudowania wraz z zapasami zboża, należącymi do Maksyma Książnika. Ogień przerzucił się na sąsiednie budynki i pochłonął 4 stodoły i dom mieszkalny. Straty dotąd nieobliczone. Przyczyna pożaru - nieostrożność. Dochodzenia w toku. We wsi Niemienice, pow. Krasnostawskiego, spalił się, w nocy z dnia 25 na 26 września, dom mieszkalny z całym wewnętrznym urządzeniem - własność Zofji Berbec. Przyczyna pożaru niewyjaśniona, bliższych szczegółów brak. Śledztwo wdrożone.

1921, nr 268, 04 X. Licytacja na żrebięta. 233 żrebiąt, rewidowanych z Niemiec. W razie nieukończenia licytacji w dniu 8 b.m., licytacja trwać będzie od 10 b.m., godzina 10 rano i dni następnych, do ukończenia. Do licytacji, oprócz poprzednio wymienionych powiatów, mogą przystępować rolnicy pow. Krasnostawskiego. Starosta Lubelski (-) W. Baraniecki.

1921, nr 283, 19 X. Pożary w powiatach nie ustają. (s) W dniu 12 b.m. na przedmieściu Zakręcie, m. Krasnegostawu wszczął się pożar. Spłonął dom Mazurka Michała wraz ze wszystkimi tam znajdującymi się rzeczami i sprzętami. Szczegółów, co do strat brak.

1921, nr 290, 26 X. Prerażający wzrost bandytyzmu. (s) W dn. 19 b.m. wieczorem, na dom p. Fel. Chruścikowskiego, właśc. majątku Żabno-Główne, pow. Krasnostawskiego, napadło trzech uzbrojonych w karabiny i rewolwery opryszków i pod groźbą użycia broni zdjęli poszkodowanemu z palca 2 pierścionki złote (jeden z brylantem) - zabrali zegarek złoty - kosztowne futro i ubrania oraz gotówkę 2500 mk. Ogólne straty wynoszą z górą pół miliona marek. Przebrani byli: dwaj w uniformy wojskowe, trzeci w mundur policyjny. Pościg zarządzono.

1921, nr 300, 06 XI. Znowu znaczne kradzieże. (s) W nocy, z d. 30 na 31 z.m., nieznani sprawcy dostali się, za pomocą dobranego klucza, do mieszkania Antoniego Chwaty, gospodarza wsi Niemienice, pow. Krasnostawskiego i zabrali różne rzeczy domowego użytku na ogólną sumę 622.000 mk. Dochodzenie w toku.

1921, nr 303, 09 XI. Koniokradytwa. (s) W nocy z dn. 31 z.m. na 1 b.m., we wsi Jaślików, pow. Krasnostawskiego, nieznani sprawcy wyprawdzili ze stajni klacz i ogiera jasno-kasztanowatych z kwiatkiem - własność Andrzeja Sapki - ocenionych na sumę 200.000 marek. Tejże nocy dokonana została przez tych samych sprawców kradzież klaczy jasno-kasztanowatej oraz żrebaka ciemno-kaszt., łącznej wartości 140.000 mk. Konie były własnością Michała Piętala, gospodarza wyżej wymienionej wsi. Dochodzenie zarządzono.

1921, nr 318, 24 XI. Ukazał się: No 16 „Ziemi Krasnostawskiej”, Org. Urzęd. Sejmiku Krasnostawskiego.

1921, nr 322, 28 XI. Koniokradytwa. W nocy z dn. 23 na 24 b.m., we wsi Guzówka, gm. Wysokie, pow. Krasnostawskiego, dokonana została kradzież z włamaniem do stajni - 2-ch klaczy wartości 600.000 marek. Konie należą do Józefa Popa, mieszkańca wspomnianej wsi. Dochodzenie w toku. *** Znany jest fakt w Krasnostawskim, w maj. rządowym Łopienniku, gdzie obdzieleni ziemią b. fornale, po pół roku, rzucili swe „dobra” i wrócili do folwarku na służbę.

1921, nr 325, 01 XII. Koniokradytwa się wzmaga. W okresie ostatnich pięciu dni, amatorzy cudzych koni mogą się pochwalić nie lada zdobyczą. W powiecie Lubelskim skradziono 6 koni wartości ogólnej 600.000 mk. W pow. Krasnostawskim i Tomaszowskim 6 koni o wartości 620.000 mk. Razem więc w 3-ch powiatach ubyło właścicielom 12 koni i przyczyniło im straty 1.220.000 marek.

1921, nr 325, 01 XII. Ks. Karol Sawulski, b. Kapelan Garnizonu Ostrów Łomżyński, został mianowany wikariuszem parafii Krasnostaw. Wikariusz parafii Krasnostaw, Ks. Konstanty Harasim, otrzymał miesięczny urlop.

1921, nr 339, 15 XII. Ze Związku Harcerzy. Na zebraniu T-wa Przyjaciół Harcerstwa, które się odbyło w zeszłą niedzielę, O. Jacek Woroniecki, zdając sprawę z działalności Oddziału Lubelskiego Zw. Harc. Pol., wyraził serdeczne podziękowanie tym wszystkim, którzy się przyczynili do zorganizowania prac wakacyjnych. Krasnostawskiemu Kołu Ziemianek z P.P. Epsztajnową i Rzewuską na czele, organizatorkom kolonji żeńskiej w Stryjnie.

1921, nr 343, 19 XII. Kradzież z włamaniem. W nocy z dnia 7 na 8 b.m., nieznani sprawcy dostali się, za pomocą wyrwania strzechy z dachu, do domu Karola Gładyszewskiego, mieszkańca wsi Krzywa, gm. Łapiennik, pow. Krasnostawskiego i wykradli różne przybory ślusarskie, płótno, oraz duży zapas sadła ogólnej wartości 88.000 marek. Śledztwo wdrożone.

1921, nr 345, 21 XII. Podziękowanie. Zarząd Zakładu Wychowawczego Sierot wojennych w Lublinie składa, serdeczne Bóg zapłać p. Epsztajnowi - prezesowi, p. Leszczyńskiemu - sekretarzowi, i wszystkim członkom Związku Ziemian w Krasnymstawie, za dar w postaci 10 (dziesięciu) mtr. pszenicy. Zarząd.

1921, nr 346, 22 XII. Znowu koniokradytwa. W nocy, z dn. 15 na 16 b.m., ze stajni Franciszka Psujka, mieszkańca wsi Gorzków, powiatu Krasnostawskiego, skradziono 2 konie, wartości 266.000 marek. Dochodzenie zarządzane.

1921, nr 347, 23 XII. Nowa filjalna parafia Hańsk, w dekanacie Chełmskim. Administratorem parafii został mianowany ks. Konstanty Harasim, b. wikariusz parafii Krasnostaw.

1921, nr 351, 30 XII. W nocy, z dn. 20 na 21 b.m., na szkodę Grabińskiego, mieszkańca wsi Bzite, gm. Rudka, pow. Krasnostawskiego, skradziono z zamkniętej stajni parę koni i sanie, wartości 270 tys. mk. Dochodzenie w toku. - Janowi Woźniakowskiemu, mieszkańcowi wsi Małochwiej Duży, pow. Krasnostawskiego, w nocy, z dn. 21 na 22 b.m., skradziono parę koni, wartości 300 tys. mk. Sprawcy nieznani. Dochodzenie w toku.

Opracował dr Kazimierz Stolecki

*Ze zbiorów Biblioteki Cyfrowej
Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie
(pisownia oryginalna).
cdn.*

Józef Adam Dąbek

Mój Ojciec...



Mój ojciec urodził się w pierwszego maja, w niedzielę, w roku 1921. Ten dzień w naszym kalendarzu od dawna poświęcony jest świętemu Józefowi, patronowi rzemieślników. Otrzymał więc po świętym Józefie właśnie to imię. Ale nie tylko. Jak pokazało życie, ten przesławny patron obdarował go jeszcze jednym prezentem. Była to niełatwa praca w zawodzie stolarza, jaką ojciec wykonywał od młodych lat, praktycznie do końca swoich dni.

Ojciec urodził się we wsi Bzowiec, a dokładnie w Bzowcu Dolnym, w rodzinie chłopskiej. Dawniej, od kiedy funkcjonowały tu należące do dziedziców Trembińskich dwa oddzielne folwarki, używane były też dla obu części wioski dwie odrębne nazwy. W księgach parafialnych wyróżniano wówczas mieszkańców Bzowca Górnego (część wschodnia wioski) i Bzowca Dolnego (część zachodnia). Jego ojciec Marcin pochodził z pobliskiej miejscowości Płonka, gdzie nazwisko Dąbek notowane jest w aktach parafialnych już od połowy XVIII wieku. Matka Paulina wywodziła się z rodziny Lipskich, od dawien dawna osiadłych w Chłaniowie. Mając młodszego brata Waleriana i jeszcze młodszą siostrę Zosię, ojciec

był najstarszym z trojga rodzeństwa. Babcia Paulina była drugą żoną dziadka Marcina. Z jego pierwszego małżeństwa była jeszcze czwórka przyrodniego rodzeństwa - trzech braci i jedna siostra. Rodzina była więc liczna. W niej się wychował i dorastał.



Józek z siostrą Zosią.

Niewiele wspomnień z tego okresu ojciec nam przekazał. Jedno z nich, jakie nam chętnie opowiadał, a sam mógł je znać tylko z rodzinnego przekazu, dotyczyło jego „udziału” w żniwach. Zabranym kiedyś razem z rodzicami w pole, nazywane przez nich jako „pole pod dębem”, został umieszczony w cieniu tego drzewa, w płachcie przymocowanej do wbitych w ziemię dwóch par skrzyżowanych drągów. Takie proste lokum do spania, które teraz można by nazwać hamakiem, wówczas potocznie, po wiejsku, określano jako „koń”. Tam zagrzebał się głęboko w słomę i zasnął. Dla wracających na posiłek żniwiarzy stało się to powodem do krótkotrwałej paniki. Dopiero zbudzony ich okrzykami: „Nie ma go! Ktoś zabrał naszego Józia!” - szybko się odnalazł. Do szkoły powszechnej, wtedy już siedmioklasowej, uczęszczał w rodzinnym Bzowcu. Niestety, żadne jego świadectwo szkolne nie zachowało się. Dlatego trudno teraz ustalić, po ilu latach zakończył swoją podstawową edukację. Wtedy nie było obowiązku ukończenia wszystkich klas, czyli tzw. „oddziałów”. Zaraz po skończeniu nauki w szkole, już w wieku

kilkunastu lat, zaczął praktykę w zawodzie stolarza u swojego wuja w Chłaniowie - Józefa Lipskiego. Jak opowiadał, nie była to stolarka budowlana, a raczej wykonywanie drobnego sprzętu domowego, takiego jak stoły, szafki oraz często wtedy używane tak zwane prądky do przędzenia konopnych czy lnianych nici.

Lata wojny

Kiedy skończył osiemnaście lat, przyszła wojna. Okres okupacji zabrał mu, jak i całemu jego pokoleniu kilka lat spokojnej młodości. Wielu z nich straciło więcej. Stracili życie. Teraz, po latach możemy chyba słusznie porównywać, że ten trudny czas okupacji łatwiej było przeżyć na wsi niż w miastach, gdzie codzienna obecność Niemców stanowiła ciągłe zagrożenie. Ale też i na terenach wiejskich były dość często organizowane łapanki do obozów koncentracyjnych, z których wracali nieliczni. Były też wywózki do Niemiec, do pracy na wsi albo w niemieckich fabrykach. Ojciec wspominał nieraz, jak miejscowy „arabajant” wytypował go na taką wywózkę na roboty do Niemiec. Kiedy już razem z innymi „poborowymi” siedział na furmance gotowej do odjazdu, podszedł wtedy do wozu jego ojciec Marcin i powiedział: „Józiu, złaż, co będzie to będzie, byleby być razem”. I tak się też stało, że nie został wywieziony, pozostał w domu, przy swoich. Na początku lat 40. w Bzowcu, jak też w innych okolicznych wioskach tworzył się ruch oporu. Były to struktury Armii Krajowej często powiązane z właścicielami ziemskimi, jak też podległe już innej opcji politycznej, lokalne oddziały Batalionów Chłopskich. W jednym z takich wiejskich oddziałów BCh znalazł się ojciec. Niewiele o tym opowiadał. Wiemy tylko, że kilka razy brał udział w jakichś akcjach organizowanych przeciwko tzw. „czarnym”. Tak nazywano sprowadzanych przez Niemców swoich przesiedleńców, którzy mieli wyrugować mieszkające na Zamojszczyźnie polskie rodziny. Mówił też, że jako fachowiec od drewna, dorabiał do karabinów tzw. „łóża”, czyli drewniane kolby, a uznawany przez kolegów za osobę niebojącą się widoku krwi, nabywał doświadczenia w opatrywaniu rannych. Ta jego oddziałowa funkcja związana z pracą sanitariusza powtórzy się w jego życiu kilka lat później.



Z kolegą z Bzowca.

Kiedy w lipcu 1944 roku linia frontu zbliżała się do Wisły, na opuszczonych przez Niemców terenach, w tym też na Lubelszczyźnie, zaczęto organizować 2 Armie Wojska Polskiego. Zgodnie z dekretem PKWN wydanym 15 sierpnia 1944 roku, ogłoszonej mobilizacji podlegali poborowi z roczników od 1921 do 1925. Wielu z nich zostało wziętych z dawnych oddziałów BCh. Prawdopodobnie już na początku września 1944 ojciec trafił do tworzonego w tym czasie 31 pułku piechoty, rozlokowanego w zabudowaniach folwarku Białka koło Krasnegostawu. Początkowo, jak opowiadał, został przydzielony do oddziału obsługi moździerzy. Tam przypadło mu nietatwe zadanie noszenia dość ciężkiej metalowej podstawy stosowanej przy tym rodzaju broni. Niedługo potem, chcąc podnieść swoje kwalifikacje, „przyznał się” do ukończenia dwóch klas gimnazjum. Wtedy dość szybko został przeniesiony do oddziału sanitariuszy. Tam, w nowej już specjalności wojskowej odbywał podstawowe szkolenia, a nawet, jak opowiadał nam z pewną dozą satysfakcji, miał pod swoją komendą pododdział szkolonych w pułku sanitariuszek. Cały kilkutygodniowy okres skoszarowania w Białce, w zasadzie wspominał bez specjalnych pretensji do losu. Być może dla niego, młodego wiejskiego chłopaka, a miał wtedy 23 lata, żołnierskie zajęcia wydawały się całkiem dobrym pomysłem na dalsze życie. Nieraz, kiedy jadąc autobusem do Krasnegostawu przejeżdżaliśmy obok Białki, ojciec pokazywał mi i bratu te miejsca obok drogi, gdzie razem z innymi wojakami schodził z położonych na górze koszar do płynącej tam rzeczki na codzienne poranne mycie.



W mundurze podczas pobytu w Białce.

Jego przygoda z wojskiem skończyła się dość szybko i to w wyjątkowych okolicznościach. W nocy z 12 na 13 października 1944 roku, akurat w rocznicę słynnej bitwy pod Lenino, w tymże stacjonującym w Białce 31 pp. miała miejsce dezercja kilku pododdziałów. Według różnych źródeł, liczba zbiegłych żołnierzy stanowiła około jedną czwartą stanu ewidencyjnego pułku lub nawet i więcej. Oddziały pułku były jeszcze przed złożeniem przysięgi wojskowej. Złożenie przysięgi miało nastąpić za kilka dni, już na nowym miejscu zakwaterowania. Jak określają to w swoich opisach znawcy tematu, była to prawdopodobnie największa dezercja do jakiej doszło w oddziałach Ludowego Wojska Polskiego. W periodykach poświęconych historii polskiej wojskowości można znaleźć wiele informacji o różnych prawdopodobnych przyczynach tego wydarzenia. Jedną z nich była głoszona wśród żołnierzy plotka o planowanych aresztowaniach dawnych członków AK oraz o wywózce części żołnierzy na Sybir lub na front walk prowadzonych z Japonią. Jak wynika z późniejszych opisów naocznych świadków, kilka oddziałów wyrwanych ze snu żołnierzy zostało w zwartym szyku wyprowadzonych z koszar do lasu i tam dano im rozkaz rozejścia się do domów. Część dezertów, być może ci, którzy pochodzili z odległych miejscowości, jeszcze tej nocy została przez wysłane za nimi patrole zatrzymana. Byli też tacy, którzy sami dobrowolnie wrócili do koszar.

Niestety, w rozmowach z ojcem nie wykazałem większej ciekawości, aby go wypytać

o dużo więcej szczegółów dotyczących całego jego pobytu w koszarach w Białce. Nie mam też pewności, czy tej feralnej dla pułku nocy został on wraz z całym oddziałem wyprowadzony do lasu, czy też wyszedł z koszar samodzielnie. Jednak, znając wrodzoną niechęć ojca do podejmowania ryzykownych decyzji, ta druga możliwość wydaje mi się bardzo mało prawdopodobna. Z zapamiętanych jego opowiadań wiemy tylko tyle, że idąc głównie lasami i unikając wiejskich zabudowań, dotarł szczęśliwie nad ranem do rodzinnego domu. Szedł w pełnym żołnierskim umundurowaniu z karabinem i zapasem ostrej amunicji. Tak się bowiem złożyło, że na kilka dni przed planowanym na 13 października wymarszem całego pułku na Podlasie, uformowanemu już pododdziałom wydano broń i amunicję. Reakcja władzy wojskowej na to wydarzenie była natychmiastowa. Na całym obszarze województwa lubelskiego rozpoczęły się poszukiwania i zatrzymywania uciekinierów. W akcji tej brały udział wydzielone grupy z innych polskich jednostek wojskowych oraz patrole specjalnie szkolonej dywizji NKWD, jaka wówczas za frontem wojsk liniowych na te tereny wkroczyła. Schwytanych dezertów ze stopniem szeregowego na ogół przekazywano do kompanii karnych, kierowanych do walki na pierwszej linii frontu. Aby tego uniknąć, ojciec przez kilka zimowych miesięcy ukrywał się. Jak opowiadał, w zasadzie nie nocował w domu. Zimowe noclegi zapewniały mu okoliczne stodoły lub nieco cieplejsze tzw. „górkę”, czyli wyłożone słomą poddasza nad oborami lub stajniami. W tym czasie, kiedy codzienną myślą była niepewność jutra, zapewne przydarzyło mu się kilka niebezpiecznych sytuacji. O jednej z nich ojciec wiele razy nam opowiadał. Zdarzyło się, że któregoś dnia wszedł do domu sąsiadów mieszkających trochę dalej od drogi, bliżej pól. Zapewne chciał się tam za dnia ogrzać i może też zjeść jakiś ciepły posiłek. Wiadomo przecież, że tacy jak on, a było ich w tym czasie więcej, nie daliby rady przetrwać zimy bez zwykłej, ludzkiej solidarności. Kiedy tak siedział w kuchni przy piecu, wszedł sowiecki żołnierz z patrolu NKWD i zapytał: „A znajesz ty gdieto żywiot Józik Dombiek?”. Ojciec chyba zaniemówił z wrażenia, a będąca tam sąsiadka coś tam żołdatowi odpowiedziała. Żołnierz popatrzył też na wiszący na ścianie ślubny portret, na którym można było

doszukać się jakiegoś podobieństwa pana młodego do mojego ojca, a potem wszczął rozmowę o zawodzie „sapoźnika”, bo ten nieobecny w domu sąsiad był akurat szewcem. Aby nie przedłużyć ryzykownej sytuacji, sąsiadka podała ojcu jakąś kobiałkę i powiedziała, „idź no, Stachu do drewnutni i przynieś trochę drzewa”. I tym to sposobem się uratował. Czas poszukiwań uciekinierów z Białki zakończył się chyba pod koniec stycznia lub w lutym 1945 roku, kiedy wszystkie dywizje 2 Armii Wojska Polskiego ruszyły na front przebiegający już za zachodnim brzegiem Wisły. Kolejny etap tego niepewnego czasu, czasu nowej władzy, zakończył się po ogłoszeniu na wyzwolonych terenach amnestii, obejmującej szeroki zakres spraw cywilnych i wojskowych. Stało się to 2 sierpnia 1945 roku.

Okres powojenny

Kiedy można już było układać własne plany na przyszłość, moi rodzice pod koniec sierpnia tego roku pobraли się.



Wzór do ślubnego portretu.

Jak już pisałem w innej historii związanej z moją rodziną, dom, w którym mieszkała moja mama, został spalony w czasie pacyfikacji Chłaniowa, w lipcu 1944. Ojciec, na pewno jeszcze przed ślubem, pomagał przyszłym teściom wykończyć budowę nowego domu, gdzie też po ślubie wspólnie zamieszkali. Tam jako młody stolarz zaczął rozwijać swoje rzemiosło. Pierwsze powojenne lata były dla każdego solidnego fachowca dobrym okresem na pozyskiwanie klientów. Ludzie

na wsiach odrabiali straty z czasu okupacji. Budowali nowe mieszkania i zabudowania gospodarcze. Potrzebny był też nowy sprzęt do uprawy ziemi, w tym tak zwane „żelaźniaki” czyli furmanki na drewnianych, ale okutych obręczami kołach. Tak więc, ojciec jako miejscowy stelmach, czyli kołodziej, pod koniec lat 40. wyspecjalizował się w produkcji drewnianych wozów. Podstawowym warunkiem ich długiego użytkowania były solidnie zrobione koła. W tym to właśnie asortymencie ojciec zyskał sobie w całej okolicy powszechne uznanie. Do składania takiego koła służył specjalny stojak zwany fachowo przez ojca „rasztokiem”. Mało kto teraz pamięta, co oznaczają nazwy innych części typowej furmanki takie jak: orczyk, stelwaga, podyma, śnica, rozwora czy kłonica.

Mieszkający tuż przy kościele stolarz, był użytecznym sąsiadem-fachowcem dla wielu chłaniowskich księży. Jeszcze za czasów probostwa księdza Depczyńskiego, ojciec wraz z kilkoma innymi ludźmi brał udział w kładzeniu w kościele nowych sufitów. Była to niełatwa i czasochłonna praca, wymagająca odpowiednio skonstruowanego rusztowania. Trzeba było wtedy wykonać kilkadziesiąt metrów kwadratowych sufitu o nietypowym profilu, dopasowanym do barokowego stylu całego kościoła. Był też często proszony do wykonywania wielu drobnych usług stolarskich i innych prac remontowych. Zapewne miał okazję opowiedzieć o tym jednemu z księży wikariuszy, który w połowie lat 60. pisał pracę magisterską poświęconą zabytkowemu chłaniowskiemu kościołowi. Po latach, kiedy szukałem materiałów związanych z historią parafii, ta wykonana na KUL-u praca trafiła w moje ręce. Na jednej ze stron opisującej kolejne remonty kościelnego budynku znalazłem taką oto informację: „Roboty stolarskie solidnie wykonał Józef Dąbek z Chłaniowa”. Pamiętam jego zaskoczenie i nieukrywaną dumę, kiedy mu to przekazałem. Powiedział wtedy tylko: „O, ludzie!”.

Jako jeszcze kilkuletnie dziecko dobrze pamiętam, jak prawie całe podwórze było zawałone dębowymi pniami, które po przecięciu na kawałki były rozłupywane na materiał do wyrobu szprych, dzwon czy kłódek do kół. Wiem tylko z opowiadań ojca o takim zdarzeniu, kiedy mocno obciążona deska suszącym się na niej drewnem nagle pękła i na dół zwała się cała sterta ciężkich dębowych



Przed kościołem.

klocków. Na szczęście, wszystko skończyło się na strachu i zapewne na niezłej domowej awanturze, bo jak opowiadał ojciec, często lubiłem się w tym miejscu bawić. Po tym doświadczeniu ojciec starał się solidniej zabezpieczać tego rodzaju konstrukcje. Byłem przecież, jak sam o sobie wtedy mawiałem, ich jedyną „pociechęją”. Inna historia też ze mną związana, którą - jak mi się wydaje pamiętam jak przez mgłę - była już całkiem zabawna. Otóż, bawiąc się w jego majsterni, kiedy on był zajęty jakąś pilną robotą, powrzucałem do kałuży pełnej błota, jaka była nieopodal, parę garści żelaznych śrub i nakrętek. Jak pamiętam, sprawiało mi wielką frajdę obserwowanie tego, jak owe wpadające do kałuży „pociski”, powodowały powstawanie maleńkich i niepowtarzalnych rozbryzgów błota. Zapytany przez ojca, co się stało z tymi śrubami, odpowiedziałem całkiem poważnie, wskazując na warsztat stolarski: „Były tutaj”. „A teraz są tam” dodałem, pokazując ręką na kałużę.

W ciągu kilku następnych lat zwiększył się popyt na stolarstwo budowlane. Aby dać sobie radę z coraz większą liczbą zamówień, ojciec rok w rok zatrudniał do pomocy po kilku tak zwanych czeladników, jak też młodszych pomocników jako uczniów. Ich wynagrodzeniem były polubownie ustalone dniówki. Przed elektryfikacją, którą w Chłaniowie zaprowadzono dopiero w 1958 roku, wszystko było wyrabiane ręcznie. Podstawowymi narzędziami pracy były piły poprzeczne i piłki ra-



Na swojej wuefemce.

mowe, siekiery i dłuta, świdry i świderki na korbę. Tu warto wspomnieć o tym, że ojciec był oburęczny. Do siekiery używał tylko lewej ręki. Lewą ręką, co zawsze wydawało mi się dziwne, też rzucał. Do młotka, do cięcia piłką i też do pisania używał prawej. Dopiero potem pojawiły się piły tarczowe i frezy, heblarki i tokarnia do drzewa. Do dziś pamiętam zapachy trociny i surowego, schnącego drewna. Każde pachniało po swojemu. Sosna dawała aromatyczny zapach żywicy, a zapach dębiny też kręcił w nosie, tylko inaczej. Był też czas dużego zapotrzebowania na szafy i inne meble domowe wykonywane na tzw. wysoki połysk. Wtedy majsternia specyficznie pachniała politurą, czyli rozrabianym w denaturacie szelakiem. Czasami, kiedy był w wyjątkowo dobrym nastroju, ojciec lubił sobie przy pracy nucić z dawną śpiewane piosenki. Zapamiętałem kilka. Jedna z nich to „Niegolewski ranny, z konika się chyli - Napoleon z piersi orła mu przyszpili...”. Albo też inna - „Bywaj Maryś zdrowa, jadę do Krakowa...”.

Siłą rzeczy, ja i mój młodszy brat Tadeusz, nauczyliśmy się od ojca stolarstwa - co przydaje się nam do dziś. Moje pierwsze praktyki, kiedy ojciec zabierał mnie na roboty do okolicznych wiosek, polegały na prostych pomocniczych pracach, jak

montowanie w drzwiach zamków albo przybijanie do ram okiennych tzw. „winklówek” i listewek. Po jednej z takich robótek, została mi „pamiątkowa” blizna przy kciuku lewej dłoni. A kiedy w wiejskich i miejskich domach pojawiła się moda na drewniane schody i boazerię, wtedy ojciec już razem z moim bratem zajęli się produkowaniem tego nowego asortymentu. Z tokarni do drewna napędzanej nożnym pedałem albo silnikiem elektrycznym wychodziły całkiem udane tralki do schodów. Niełatwo było też na zwykłym warsztacie stolarskim wyrobić z jesionu lub dębu „alegancką”, jak mawiał ojciec, schodową poręcz. Aby to u klienta zamontować, obaj wyjeżdżali do nieraz dość odległych miejscowości.

Zupełnie inną pamiątką, jaką ojcu zawdzięczać jest moja „konspiracyjna” data urodzenia. Taki proceder związany z „odmładzaniem” noworodków, nie był w latach powojennych czymś szczególnie rzadkim. Kiedy urodziłem się w sierpniu 1948 roku w zamojskim szpitalu, tam też, w zamojskiej kolegiacie zostałem ochrzczony. I tam została sporządzona kościelna metryka chrztu. Mojemu ojcu, jak i kilku jego kolegom, zapewne z różnych powodów nie spieszyło się, aby fakt urodzenia dziecka zgłosić w gminnym Urzędzie Stanu Cywilnego. Nowe przepisy dla gmin, regulujące prowadzenie ewidencji ludności, były jeszcze dość mało znane. Nie były więc przez wszystkich rygorystycznie przestrzegane. Ojciec zgłosił mnie do gminy dopiero pod koniec listopada. A obawiając się, jak też inni tatusiowie, jakiejś grożącej im grzywny, ustalili dla mnie wziętą „z głowy” datę urodzenia na listopad. Taka też data urodzenia widnieje we wszystkich moich dokumentach. Oczywiście poza oryginalną, kościelną metryką chrztu jaka jest przechowywaną w zamojskiej parafii.

Głównym źródłem dochodu w naszej rodzinie było rzemiosło. Oprócz stolarki, z której był najbardziej znany, przez kilka lat ojciec spełniał też rolę miejscowego, „samozwańczego” sanitariusza. W latach powojennych, kiedy zasób leków był dość skromny, lekarze bardzo często przepisywali na różne choroby leki podawane w zastrzykach. I ojciec te zastrzyki robił. Były to różne penicyliny, streptomycyny, dawkowane w milionach jednostek, hermetycznie pakowane w małych szklanych pojemniczkach jako gotowa do podania zawiesina

lub jako lek w postaci krystalicznej, który należało rozpuścić. Były też w szklanych ampulkach leki witaminowe, jak pamiętam z relacji pacjentów, najbardziej bolesne. Do tych zabiegów, często robionych u nas w domu lub u pacjenta, ojciec starannie się przygotowywał. Przydało mu się doświadczenie wyniesione ze szkolenia wojskowego w Białce. Dobrze pamiętam, jak różne igły oraz części tzw. „maszynki” czyli metalowy tłoczek i szklana obudowa, oddzielnie poowijane w gazę, były sterylizowane w gotującej się wodzie. Do tego celu zawsze służył ten sam mały, płaski garnuszek, pomalowany od zewnątrz czerwoną emalią. Zimą ten garnuszek stawiany był na kuchni lub trociniaku, a latem do zagotowania wody wystarczała zwykła kuchenka elektryczna. Te jego „usługi medyczne”, jak pamiętam zawsze świadczono bezpłatnie, trwały aż do czasu, kiedy powstał w Chłaniowie Wiejski Ośrodek Zdrowia. Ale pamiętam też, kiedy na przykład wieczorem ośrodek był już zamknięty, a ktoś z chorych miał przypisane przeciwbólowe zastrzyki z morfiny, w takiej sytuacji jego pomoc była szczególnie cenna. Nieraz był wzywany do cierpiącej osoby w nocy. Obaj z bratem mamy w pamięci jedną, całkiem już zabawną historię, związaną z tą jego działalnością, zazwyczaj bolesną dla pacjentów. Któregoś dnia po powrocie do domu ze sklepu, opowiedział nam ze śmiechem, jak spotkany pod sklepem mały chłopaczek, mówiący wiejską gwara, pochwalił się do ojca w taki oto sposób: „Jo wos znum! To wyście mi dupę skłuli”. Czasami małe dzieci chowały się na jego widok.

Ojciec miał jeszcze jedno dodatkowe zajęcie, jakim było pszczelarstwo. Przez wiele lat obsługiwał dwie swoje pasieki. Każda z nich liczyła po kilkanaście tzw. „pni”, czyli uli. Nasza placówka była zbyt mała, więc należące do ojca pszczoły pracowały przy innych, większych pasiekach. Jedną z nich była u dalszego sąsiada w Chłaniowie, a druga u szwagra w Bzowcu. Każdy pszczelarz wie najlepiej, ile pracy w ciągu roku wymaga właściwa opieka nad pszczołami. Miododajne miesiące to głównie lato, kiedy to „podkrada” się pszczołom gromadzony na zimę słodki owoc ich pracy. Mimo odpowiedniego sprzętu, jak kapelusz z drucianą siatką i podkurzacz z żarzącym się próchnem, nieraz wracał do domu z pożądanymi, spuchnię-

tymi dłońmi. Zdarzyło się kiedyś, że w czas miodobrania przyjechał z daleka jakiś zniecierpliwiony klient i pytał o zamówione przez niego jakieś drzwi czy okna. Na co ojciec z nieskrywaną wesołością w głosie odpowiedział: „No, niestety, jeszcze niegotowe, mam za dużo roboty. Widzisz pan, już mi ręce od roboty popuchły”. Postępując jak większość fachowców, brał zbyt wiele zamówień. Nieraz więc musiał tłumaczyć się klientom z niedotrzymywania terminu. Chyba każdemu trudno jest być obiektywnym względem własnego ojca, ale wyrażając zdania wielu znanych mi osób, mogę przyznać, że przez te prawie 60 lat swojego stolarstwa, zasłużył sobie na miano życzliwego dla innych człowieka, a w całej okolicy długo cieszył się opinią dobrego fachowca.



Z wnukiem na spacerze.

Obaj z bratem mamy po ojcu wiele wspomnień. Nie uda się ich wszystkich zamienić na zapisane na papierze słowa. Zastanawiające jest też to, że przecież każdy z nas zabiera gdzieś ze sobą swoją własną pamięć, pełną przeżyć, myśli i gromadzonej przez lata wiedzy. Zawsze też pozostaje żal, że można było więcej rozmawiać, więcej pytać, więcej się dowiedzieć. Dziwnie szybko przeminęły wspólnie przeżyte lata. Ostatni raz widziałem się z nim w jedną z sobót, w połowie września 1995 roku. Miałem też wtedy okazję pomóc mu obrabiać na heblarce jakieś dwucalowej grubości ciężkie dechy. W sobotę wróciłem do Lublina. Potem była niedziela, ostatni dzień odpoczynku w jego życiu. Jeszcze cały poniedziałek, jak zwykły ojciec mawiać, „szczerze” przepracował. Trochę na ogrodzie, a najwięcej przy heblarce. To była jego ostatnia i już niewykonana do końca stolarska robota. W nocy z poniedziałku na wtorek zadzwonił

nił telefon. Jadąc samochodami na wieś, ja i brat mieliśmy nadzieję, że te przekazane złe informacje nie sprawdzą się. Niestety, już nie zdążyliśmy się z nim pożegnać. Jak to kiedyś sam określił, „poszedł za swoimi”. Cóż więcej można tu jeszcze napisać. Chyba tylko te znane słowa ks. Jana Twardowskiego: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...”.

Józef Adam Dąbek

Irena Iwańczyk



Tragedia w Święta

W dzień Bożego Narodzenia przeżyliśmy szok z powodu śmierci Lucyny, to jest dramat Jej życia rodzinnego, bliskich przyjaciół, a nawet obcych ludzi.

Lucynę poznałam kilka lat temu, gdy uczestniczyła w moich wieczorach autorskich. Po bliskim poznaniu, zauważyłam, że jest niezwykle, skromną, mądrą, sympatyczną, bardzo kochającą matką, wierną żoną i życzliwą kobietą, czym zyskała sobie uznanie w środowisku. Odtąd obserwowałam jej życie i brałam w nim udział. A ponieważ była bardzo schorowaną osobą, współczułam jej w cierpieniu fizycznym i psychicznym. Przy każdym spotkaniu próbowałam ją pocieszyć.

Lucyna była operowana z powodu nowotworu piersi, wykryto też u niej tętniaka w głowie. A ostatnio przez dwa miesiące bardzo kaszlała. Podejrzewano nowotwór płuc. Lekarz wysłał ją na badania do szpitala, na oddział pulmonologii w Zamościu. Tam okazało się, że pacjentka jest chora na gruźlicę, a przy tym ma zapalenie płuc, które dzięki zaangażowaniu lekarzy i pielęgniarek dość szybko zostało wyleczone. Na leczenie gruźlicy przewieziono Lucynę ze szpitala w Zamościu do sanatorium w Poniatowej.

Przed wyjazdem przestałam Lucynie widowówkę ze słowami pocieszenia, które sprawiły jej radość i podbudowały do walki o życie, o czym telefonicznie zawiadomiła swoją siostrę i mojego syna, gorąco dziękując. Dziś cieszę się, że tuż

przed śmiercią dałam Jej promyk nadziei. Ucieszyłam się bardzo, że Lucyna nie ma nowotworu w płucach, a z gruźlicy po kilku miesiącach się wyleczy. A gdy znalazła się w sanatorium, w rozmowie z siostrą i moim synem, wyraziła swoje zadowolenie z pobytu w nowym miejscu. Była tam jedyną kobietą, miała do dyspozycji cały pokój.

Byliśmy zadowoleni, ale na krótko, bo stało się to najgorsze. Nie wiadomo dlaczego i skąd wziął się krwiał w jej głowie. Zawiadomiono rodzinę, że Lucyna jest nieprzytomna i przewiozą ją z sanatorium do kliniki w Lublinie. Stamtąd też nadeszła następna wiadomość, że Lucyna, choć poprzedniego dnia mówiono, że ma dobre parametry na życie, po dwu operacjach o godzinie pierwszej w nocy zmarła 24 grudnia 2020 r.

Nieszczęście spadło na rodzinę i przyjaciół. Ja też nie mogę się pogodzić z tą najgorszą prawdą. Cierpię i boleję nad odejściem tak wspaniałej kobiety. Mam żal do lekarzy, a nawet do Boga, ale jestem bezradna. Szkoda, że Lucyna nie doczekała świąt Bożego Narodzenia. Nie mogła się też spotkać z córką i synem, ani dalszą rodziną. Kontaktowała się jedynie telefonicznie.

W tych najcięższych chwilach życia wspólnie rodzinie. Aby upamiętnić życie i śmierć Lucyny napisałam wiersz pod tytułem „Pożegnanie”. Oto on:

Kochana Lucynko.

*Życie wionęło mi w twarz mogiłą,
bo Twoje życie pękło w czasie drogi.*

*Skończyło się i nie idzie dalej
i nie da się cofnąć.*

Zegary bezradnie już nie liczą

Twoich godzin,

bo Ciebie nie ma wśród nas.

Jesteśmy ulotnym tchnieniem

*pośród otaczającego nas
huraganu okoliczności.*

Nosimy piętno przemijania.

Znikasz nam z oczu

i choć Cię nie widać

prowadzić nas będziesz

za sobą, bo zostawiasz

skarbnicę wspomnień,

do których ciągle będziemy

wracać i zbierać z pamięci

*fotografie Twojej twarzy
i obrazy zdarzeń,
gdy byłeś z nami.*

*Dziś, choć Cię nie ma
żyć będziesz w sercach
swoich dzieci, rodziny i przyjaciół.*

*Wraz z Twoim odejściem
odchodzi część naszego życia,
które bez Ciebie będzie uboższe
i w każdej chwili może się skończyć,
bo żyjemy pośród ciągłego umierania,
aby ono i nas toczyło.*

*Świat i ludzie przechodzą przez nas
i odchodzą. Wkrótce my do nich i do Ciebie
dołączymy.*

*Zamknięta szczerze milczeniem,
stopiona ze wszechświatem,
weszłaś w ramki nieba.*

*Żegnam Cię łzą, kropłą rosy
na listkach brzozy, zapachem ziemi
i deszczu, krzyżami przy drodze
i wiatrem grającym tęskne melodie
w gęstwinie drzew.*

*Nie odeszłaś jednak na zawsze,
bo nie umiera Ten, Kto trwa
w sercach żywych.*

*Niech w wędrownie w zaświatach
towarzyszy Ci srebrny blask księżycy
rokrocznie odnawiająca się przyroda
i szum wiatru w gałęziach drzew.*

*Pokój Ci Lucynko. Niech Ci ziemia
lekką będzie.*

O dalszych szczegółach z życia Lucyny i Jej rodziny opowie Jej siostra.

Jestem Justyna. Miałam wspaniałą i liczną rodzinę, składającą się z rodziców, czterech sióstr i brata. Mój ojciec z matką byli bardzo zapobiegliwi. W bardzo ciężkich czasach kupili działkę i wybudowali parterowy dom składający się z kilku pomieszczeń. Dom był w otoczeniu ogrodu, w którym rosły drzewa owocowe, krzewy, warzywa i kwiaty.

Od najmłodszych lat przyzwyczajano nas do pracy i do obowiązków. Wśród tak licznej gromadki rodzeństwa wyróżniały się najmłodsze nasze siostrzyczki Grażyna i Lucyna, które zawsze sobie towarzyszyły w domu, w dzieciennych zabawach, później w szkole, nawet siedziały obok sie-

bie w jednej ławce. Razem też odrabiały lekcje. Ubierały się jednakowo, bo tak chciały. Jedna drugiej broniła przed wyrządzaną krzywdą. Łączyła je głęboka więź uczuciowa i siostrzana. Rodzice i starsze rodzeństwo, do których i ja należę, cieszyliśmy się bliźniaczkami, tak rzadko spotykany mi w rodzinach.

Gdy bliźniaczki dorosły i zdały maturę, obie wyjechały do dużego miasta, by studiować chemię spożywczą. W Łodzi, bo tam była ich uczelnia, zamieszkały w akademiku, w jednym pokoju i mało kto mógł je rozróżnić, bo były wyglądem identyczne. Różniły się jednak usposobieniem. Grażyna była przebojowa, a Lucyna nieśmiała, spolegliwa, tolerancyjna. Obie dobrze sobie radziły na uczelni. Zawsze w terminie zdawały egzaminy, otrzymując dobre wyniki.

Tam też poznały swoich partnerów życiowych. Po ukończeniu studiów Grażyna wyszła za mąż, a Lucyny sympatią był obcokrajowiec, Peruwiańczyk, który studiował w Łodzi. Dobrze posługiwał się językiem polskim i miał bogatą i wpływową rodzinę w Peru. Nasza mama nie była zadowolona i odradzała Lucynie niewłaściwego wyboru na męża. Uważała, że powinna wyjść za kolegę, z którym chodziła do liceum i który darzył ją uczuciem, ale Lucyna była zakochana w Ozganie, który był urodziwym młodzieńcem i ukończył w Polsce studia.

Moja siostra, która do tej pory była zawsze uległa rodzicom, po raz pierwszy, pomimo wszelkiej perswazji matki, sprzeciwiła się jej woli i wyszła za mąż za obcokrajowca. Była szczęśliwa, urodziła dwoje dzieci, syna i córkę o wyjątkowej urodzie. Oboje bardzo kochali swoje dzieci, nie stosując wobec nich żadnych ograniczeń i spełniając ich życzenia. Trzeba było jednak zarobić na utrzymanie rodziny, a mąż Lucyny nie znalazł pracy, więc brał pożyczki i zakładał firmy i sklepy, wynajmując ekspedientów, niczego nie pilnując. Wchodził w coraz większe długi. Nic mu nie wychodziło. Rodzice Lucyny spłacali jego długi, a on wyjechał za granicę, aby zarobić, ale stamtąd wrócił z niewielką sumą pieniędzy. I znów to samo, robił, zakładał i rozwiązywał firmy.

Lucyna, mając wyższe wykształcenie, musiała przyjąć najniższą uposażoną pracę fizyczną, bo innej nie było. Dzieci dorastały, zdały maturę,

córka uzdolniona muzycznie wygrywała konkursy. Ukończyła średnią szkołę muzyczną i udała się na studia do Warszawy. Syn się ożenił i zamieszkał w Bydgoszczy.

Dziadkowie zmarli. Ich matka, a moja siostra, po operacji nowotworu piersi i wykrytym tętniaku w mózgu samotnie mieszkała w nieogrzewanym domu po rodzicach, bo jej mąż już od kilku lat znalazł sobie partnerkę, z nią mieszkał w wynajętym mieszkaniu. Szczęśliwy był, że kobieta, z którą zamieszkał wzięła w banku pożyczkę, więc założyli sklep.

Ozgan nie opiekował się chorą żoną. Dzieci nie utrzymywały z nim kontaktów, które on zaniedbał. Widocznie jednak sklep nie przynosił zysków, a partnerka Ozgana musiała spłacać pożyczkę, chyba zrezygnowała z niego i zostawiła go w wynajętym mieszkaniu, w którym Ozgan powiesił się na kłamce od drzwi, co wywołało wielkie zaskoczenie i ból u dzieci, także u Lucyny przebywającej w sanatorium, o czym powiadomił ją syn, który zajął się pogrzebem ojca. To okrutne wydarzenie wstrząsnęło życiem żony, dzieci, rodziny i społeczeństwa naszego miasta.

Po kilku dniach od pogrzebu lekarz z kliniki lubelskiej telefonicznie zawiadomił Mariusza, syna Lucyny, że jego matkę nieprzytomną przewieziono z sanatorium z Poniatowej do szpitala w Lublinie, gdzie przeprowadzono jej operację, podczas której usunięto krwaka znajdującego się obok tętniaka w mózgu. Po operacji nadal była nieprzytomna. Na drugi dzień o godzinie pierwszej w nocy zadzwonił telefon do Mariusza. Chirurg, który po raz drugi operował jego matkę, bo pierwsza operacja się nie udała, podał mu wiadomość okrutną, że jego matka Lucyna zmarła o godzinie pierwszej 24 grudnia.

Wielka rozpacz ogarnęła dzieci Lucyny, całą naszą rodzinę. Zawiadomiliśmy telefonicznie o naszej wielkiej tragedii wszystkie siostry, bliską i daleką rodzinę. Odeszła najukochańsza siostra i najlepsza matka, nieskazitelny człowiek.

Pomimo pandemii, w pogrzebie uczestniczyło około stu osób, czterdzieści z rodziny rozsiaanej po całej Polsce i za granicą, a reszta to przyjaciele. Obrzęd pogrzebowy był uroczysty i smutny. Syn Lucyny, płacząc czytał długi wiersz o rozstaniu na zawsze, przemijaniu, budzący przeżycia zebranych, roniących łzy. Grób utonął w kwiatkach.

Jakby mało jeszcze było bolesnych przeżyć, moja druga siostra Wiktoria, przechodząc na pasach przez ulicę, uległa wypadkowi, z którego ledwo uszła z życiem. Unieruchomiona, przez długi czas przebywała w szpitalu. Trzeba ją było operować, ale nie znaleziono chirurga, który by dokonał specjalistycznej operacji. Na święta przewieziono ją ze szpitala do domu. Wiktoria, będąc w cierpieniu fizycznym, mocno przeżywała śmierć ukochanej siostry, z którą nie mogła się skontaktować.

Tak więc w czasie kilku dni grudnia padła w gruzach cała nasza rodzina pod naporem najokrutniejszych przeżyć wywołanych śmiercią dwóch osób - żony i męża oraz kalectwa siostry. Jesteśmy wszyscy zdruzgotani bólem cierpienia, załamani i nieszczęśliwi. Moja rozpacz sięga nieba. Przez cały czas brałam i biorę leki uspokajające. Wygląda na to, że jakieś złowrogie fatum spowodowało wielkie nieszczęścia w naszej rodzinie.

Zadajemy sobie pytania: dlaczego i za co nas spotkał tak okrutny los?

- Pani Justyno - tu włączyłam się. - Chyba najważniejszą odpowiedzią na zadawane pytania będzie wypowiedź naszego papieża Jana Pawła II: „Cierpienie ludzkie jest tajemnicą, trudno się przeдрzeć przez jego mrok. Dotyka czasem niewinnego baranka”.

A więc nikt nie wie dlaczego cierpi ktoś, kto nie zasłużył na cierpienie. Poeci, tacy jak Jan Kochanowski, Władysław Broniewski, Anna Kamieńska i inni znajdowali ukojenie po śmierci swoich najbliższych, pisząc wiersze. Może słowa poezji dadzą zboliałym sercom kropelkę ulgi. Przytoczę tylko dwa wiersze. Anna Kamieńska pisze następująco:

*Łzo mojej matki,
co świecisz nade mną,
jako na ziemi,
tako i na niebie,
nad obcym morzem,
nad górami dalekimi,
nad każdym listkiem,
nad każdą minutą.
Nad myślą, snem,
uśmiechem, pocałunkiem.
Łzo moja, łzo mojej matki
śmiertelna jagodo.*

W następnym wierszu matka przemawia z zaświatów:

*Nad grobem mym
nie stój wśród łkań,
ja nie śpię w nim,
nie ma mnie tam.
Ja jestem tysiąc wiatru tchnień
i śnieżny diament w mroźny dzień.
Słońce na kłosach zbóż to ja,
łagodny deszcz, jesienna mgła.
W cichy poranek, gdy budzisz się,
ja jestem śmigły w górę pęd ptaków,
co krążą pośród chmur.
Ja jestem gwiazd milczący chór.
Próżny twój płacz nad grobem mym
Ja żyję wciąż nie ma mnie w nim.*

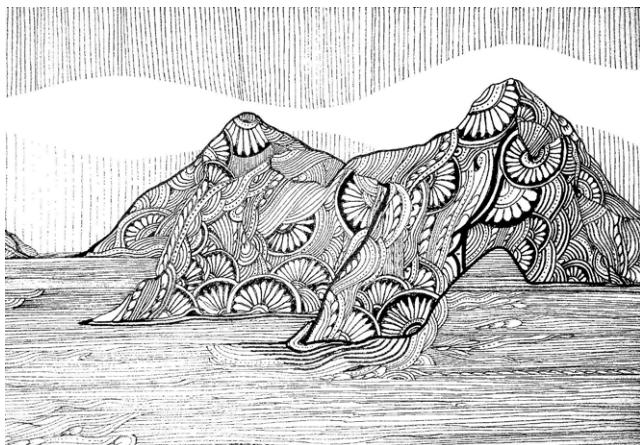
Lavryle Spencer

I ostatnia smutna wypowiedź z wiersza:

*Nie ma życia bez krzyża,
bo Jezus z krzyżem
daje Ci Matkę.*

Wszystko jest ulotne i trwa tylko chwilę.
Prędzej, czy później dopadnie nas cień.

Irena Iwańczyk



rys. Robert Znajomski

Janusz Wanot



Andrzejki w 1984 roku wypadły czasowo bardzo korzystnie, bo w piątek. Był to zawsze dosyć duży powód do świętowania, szczególnie gdy się ma aż dwóch bardzo blisko zaprzyjaźnionych Andrzejów i w zasadzie odbywały się także zawsze dwie zupełnie niezależne od siebie imprezy. Andrzej z Gdańska-Osowej wyprawiał swoje imieniny dokładnie ostatniego dnia listopada wieczorem. Natomiast mój kolega ze studiów urządził swoją imprezę w niedzielę drugiego grudnia w Starogardzie Gdańskim, gdzie wtedy mieszkał. Ta druga impreza była więc trochę spóźniona, ale to nawet i lepiej, gdyż my mieliśmy sobotę dla siebie na odpoczynek między zawsze bardzo absorbującymi imprezami.

Do Starogardu Gdańskiego zaproszeni byliśmy już na obiad, a później na kawę i kolację - pełny i bardzo długi program. W niedzielę zaraz po późnym śniadaniu zaczęliśmy się całą rodziną szykować do tego wyjazdu. Ponieważ nasz syn Grześ miał wtedy ponad trzy lata, więc trzeba było zabrać również sporo różnych dziecięcych rzeczy, a także niektóre jego ulubione zabawki. W sumie ponadgodzinna jazda samochodem z Gdańska do Starogardu Gdańskiego była już dla nas zwykłą rutyną - znaliśmy praktycznie każdy zakręt, każde skrzyżowanie. Za oknami samochodu mijaliśmy ponuroszare krajobrazy bardzo późnej i już dosyć zimnej jesieni. Temperatura miała wieczorem spaść nawet trochę poniżej zera. Dobrze, że przynajmniej w samochodzie panowało przyjemne ciepło. Grześ siedział w swoim dziecięcym foteliku przypięty pasami i nie mając w ogóle żadnego zainteresowania wilgotnymi widokami za oknem, zajmował się jedynie swoimi ulubionymi zabawkami.

W mieszkaniu u Andrzeja zebrała się jak zwykle cała jego rodzina i rodzina jego żony Zyty. Wszystkie osoby były nam już od lat dobrze znane, więc impreza nie była całkiem sztywna. Zwyczajania wosku znany był nam tylko z programów telewizyjnych. My zajmowaliśmy się jedynie rozmowami o wszystkim, co nas w tym momen-

cie intrygowało, a także wspomnieniami z dawnych lat. Przy obiedzie pozwoliłem sobie na wypicie małej lampki wina, gdyż musiałem uważać z wszelkimi formami alkoholu. Chcieliśmy na noc być z powrotem w Gdańsku, a umówiłem się z Werą, że ja będę prowadził samochód.

Późnym popołudniem dojechał na tę imprezę nasz wspólny kolega ze studiów Jurek ze swoją żoną Jolą. Jola była dodatkowo kuzynką Andrzeja. Z Jurkiem nie widziałem się już od czasu ukończenia studiów, więc było o czym opowiadać, nie mówiąc o typowych wspomnieniach ze studenckiego życia. Andrzej i Jurek znali się jeszcze ze szkoły średniej z Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku, więc ich wspomnienia zahaczały o jeszcze wcześniejsze czasy. Dla Wery były to zupełnie nieznane osoby, ale znalazła szybko dobry kontakt od nich obojga. Grześ, który zaczął już powoli nudzić się zabranymi zabawkami, ożywił się mocno, kiedy Jurek zaczął się z nim teraz także bawić. Po jakimś czasie ogarnął go jednak wieczorny sen. Po kilku długich godzinach pobytu u Andrzeja i Zyty postanowiliśmy wracać do domu, tym bardziej, że dziecko potrzebowało spokojnego odpoczynku.

Nasze drobne bagaże znalazły się bardzo szybko z powrotem w samochodzie, a Grzesia położyliśmy wygodnie na tylnym siedzeniu naszego poloneza i przykryliśmy kocykiem. Na dworze było już od kilku godzin ciemno i wyraźnie wyczuwalny był lekki przymrozek. Wewnątrz samochodu było niewiele cieplej, więc zaraz zapaliłem motor, aby silnik i wnętrze samochodu jak najszybciej się nagrzały. Grześ był tak zmęczony, że od razu zasnął. Ruszyliśmy uliczkami przez centrum Starogardu Gdańskiego do wylotu z miasta na drogę wiodącą do Gdańska. Wyjeżdżając poza zabudowania miejskie, zauważyłem w świetle reflektorów od razu, że jezdnia drogi się lekko błyszczy, tak jakby pokryta była miejscami cienką warstwą szronu czy też może nawet lodu. Jechałem więc bardzo wolno, nie przekraczając nawet 50 km/godz. na prawie zupełnie pustej drodze. Niecały kilometr od końca zabudowań miasta był dobrze nam znany stosunkowo ostry zakręt w prawo, więc dodatkowo zwiększyłem moją uwagę i chyba nawet jeszcze bardziej zredukowałem prędkość. Przy wychodzeniu już z tego zakrętu na krótki prosty odcinek dro-

gi poczułem nagle, że koła straciły przyczepność i cały samochód powoli zaczynał zjeżdżać bokiem na lewą, przeciwną stronę drogi, równocześnie wykonując wbrew mojej woli szybki obrót o 180°. W czasie tego niespodziewanego poślizgu samochód obrócił się w stronę, z której nadjechaliśmy, kiedy w tym samym czasie poślizg boczny niezwykle powoli, ale konsekwentnie znosił nas dalej w kierunku pobocza.

Wszystko wydawało się poruszać jak w zwolnionym filmie. Prawe koła samochodu wchodziły stopniowo na pobocze, które było porośnięte, w tych warunkach atmosferycznych również bardzo śliską, mocno oszronioną trawą. Gdyby pobocze było o jakiś metr szersze, to zapewne zatrzymalibyśmy się na nim. W tej jednak sytuacji prawe koła niemal równocześnie zaczęły się zsuwać dalej. W pewnym momencie środek ciężkości naszego samochodu przekroczył krytyczne położenie i oba lewe koła zaczęły się szybko unosić do góry. Nasz samochód zaczął się staczać najpierw poprzez prawy bok od strony, gdzie siedziała Wera, po chwili siedzieliśmy oboje przypięci pasami do foteli, z nogami skierowanymi do góry, a nasze głowy zwisały ponad trzeszczącym i wyginającym się dachem samochodu. Dach i słupki dachowe wytrzymały na szczęście to obciążenie i przetoczyliśmy się dalej na lewy bok poloneza, tym razem z mojej strony. Poczuliśmy nagle gwałtowne uderzenie i samochód stanął na czterech kołach na polu u podnóża tego nasypu drogowego. Stoczyliśmy się więc z nasypu, wykonując dodatkowo pełny przewrót.

Grześ obudził się w momencie, kiedy zaczął się bezwładnie przetaczać w tylnej części kabiny samochodu. Nie słyszeliśmy jednak żadnego płaczu dziecka i to było również niepokojące. Moim pierwszym odruchem było wyłączenie silnika i wyjęcie kluczyka ze stacyjki. Kiedy z żoną usiłowaliśmy otworzyć przednie zaklinowane drzwi z obu stron samochodu, usłyszeliśmy z tylnego siedzenia bardzo zatroskany głos Grzesia:

- A pan naprawi auto?

Wyskoczyliśmy oboje z samochodu i rzuciliśmy się do dziecka. Wera zaczęła go spokojnie wypytwać, czy go coś nie boli i równocześnie dotykać w różnych miejscach ciała, oraz powoli poruszać jego rączkami i nóżkami. Grześ na szczęście

nie płakał, więc chyba go nic nie bolało. A może on był jedynie w szoku? My wszyscy byliśmy w dużym szoku. Dopytywał się jedynie o auto. Rzeczywiście po krótkim sprawdzeniu całej sytuacji wyglądało na to, że w zasadzie tylko samochód był uszkodzony i to w wielu miejscach, ale stał na czterech kołach.

Na szosie obok nas zatrzymała się pusta taksówka wracająca właśnie do Starogardu Gdańskiego. Kierowca widział dobrze cały wypadek i również dopytywał się, czy ktoś z nas nie jest czasem ranny. Zaproponował swoją pomoc. Wera ubrała Grzesia i wzięła go na ręce. Powiedziałem jej, żeby odeszła od samochodu. Nie widziałem ani nie czułem żadnego wylewu benzyny, więc zdecydowałem się na włożenie kluczyka do stacyjki i sprawdzenie silnika. Już przy pierwszym przekręceniu kluczyka motor zastartował bez problemu i równocześnie zapaliły się wcześniej niezgaszone światła. Chodziłem z kierowcą taksówki dokoła samochodu, oglądając w świetle ręcznej latarki dokładnie uszkodzenia. Karoseria była mocno zniszczona, przednia szyba całkowicie wypadła, ale polonez stał na swoich kołach, silnik pracował chyba normalnie i wszystkie lampy się świeciły.

Było zimno, więc Wera z Grzesiem schronili się szybko w taksówce. Ponieważ ziemia była twarda od przymrozku i niewiele metrów dalej jakaś droga prowadziła z tego pola do góry na szosę, to kierowca taksówki proponował, abym może spróbował powoli wyjechać. O dziwo, to się udało i można było stwierdzić, że chyba mogę bez zewnętrznej pomocy dojechać tym rozbitym samochodem z powrotem do Starogardu Gdańskiego, którego światła były widoczne cały czas w pobliżu. Taksówkarz zabrał moich pasażerów i powiedział, że będzie jechał pierwszy, prowadząc mnie na posterunek milicji w tym mieście. Jechaliśmy razem jeden za drugim bardzo powoli. W naszym poturbowanym polonezie pozbawionym przedniej szyby było piekielnie zimno.

Na posterunku milicji złożyłem szczegółowe zeznania i - niestety - nie mogłem powiedzieć z jakiego dokładnie powodu doszło do tak poważnego poślizgu, przy tak niewielkiej prędkości samochodu i mojej ostrożnej jazdy. Na szczęście kierowca taksówki był moim świadkiem, który potwierdził przebieg wypadku oraz podkreślił niewielką prędkość mojego samochodu. Ponieważ świę-

towano jeszcze andrzejki, moja - być może nawet przesadnie wolna jazda - spowodowały podejrzenia milicjantów, którzy kazali mi dmuchać w balonik. Balonik oczywiście nic nie wykazał, gdyż na szczęście wypilem jedynie kilka tyków wina przed wieloma już godzinami. Był to mój pierwszy i jak na razie ostatni kontakt z balonikiem milicyjnym. Po spisaniu i podpisaniu protokołu na milicji, wróciliśmy samochodem i taksówką do mieszkania Andrzeja, gdzie jeszcze dalej trwała impreza andrzejkowa. Już w drzwiach było ogromne zdziwienie, że wróciliśmy. Cała ta impreza nabrała od tego momentu innego charakteru, gdyż musieliśmy bardzo szczegółowo opowiadać, co się wydarzyło. Ponieważ Andrzej miał w podwórku budynek z kilkoma garażami, więc nasz rozbity polonez znalazł tam schronienie i to na kilka następnych tygodni. Zostaliśmy w gościnnym mieszkaniu Andrzeja i Żyty jeszcze jakiś czas, próbując się przy gorącej herbacie nieco uspokoić po tych dramatycznych dla nas wydarzeniach.

Ponieważ Jurek z Jolą wracali swoim fioletem także do Gdańska, gdzie mieszkali na Zaspie, więc zabrali nas rozbiteków ze sobą do Gdańska-Brzeźna. To musiało być dla Jurka zapewne bardzo denerwujące, gdy w czasie jazdy słyszał często z naszych ust:

- Jurek, uważaj! Drogi są na pewno bardzo śliskie. Jedź ostrożnie!.

Dosyć długo jeszcze nie wyzbyliśmy się pewnego lęku przed śliską drogą i nieoczekiwanym poślizgiem samochodu.

Kiedy wchodziliśmy bardzo późno w nocy do naszego Hotelu Asystenckiego i przechodziliśmy obok portierni, pani mająca nocny dyżur zaczęła od razu nas wołać, że właśnie mamy telefon z Puław. Podniosłem słuchawkę i doznałem wtedy następnego szoku tej nocy. Usłyszałem zapłakany głos mojej mamy, która mówiła mi, że przed kilkoma godzinami zmarł nieoczekiwanie w szpitalu w Krasnymstawie mój dziadek Jan Rusinek. Szok tej wiadomości dźwięczy mi jeszcze dzisiaj w uszach. Mój kochany dziadek leżał w tym szpitalu na obserwacji i nic nie wskazywało, aby znajdował się w stanie krytycznym. Dokładna godzina jego śmierci, którą usłyszałem wtedy przez telefon wstrząsnęła mną do głębi, gdyż pokrywała się ona prawie dokładnie z zanotowanym w milicyjnym protokole czasem naszego niezwykle wypadku samochodowego.

Resztę nocy nie spałem - płakałem i myślałem o tym niezwykle zbiegu okoliczności, z którym do dziś nie mogę się pogodzić. Czy to mógł być jedynie niezwykle przypadek? Nie mogłem sobie nigdy racjonalnie wytłumaczyć strasznego związku tych wydarzeń. Brzmi to wprawdzie irracjonalnie, jestem jednak przekonany, że ON musiał jakoś „widzieć” nasz wypadek i w tym momencie, bardzo schorowany, „ofiarował” swoje życie za nasze. ON był zawsze taki dumny ze swoich wnuków i ze swojego prawnuka.

- Dziękuję, Dziadku ...za wszystko!

Jego pogrzeb trzy dni później w Krasnymstawie był dla mnie ogromną osobistą tragedią, z którą ani wtedy w Krasnymstawie, ani także dzisiaj nie mogę się pogodzić.

Kilka miesięcy później, wiosną następnego roku, odebrałem naprawiony samochód z Polmozbytu w Gdańsku-Wrzeszczu. Długo musieliśmy czekać na nową karoserię. Nasz polonez zmienił kolor z białego na czerwony. Pozostałe części były podobno niezniszczone, pozostały więc bez wymiany. Była to więc tylko wymiana karoserii. Tego dnia musiałem koniecznie jechać do Gdyni. Normalnie pojechałbym zapewne pociągiem, ale tym razem postanowiłem wypróbować właśnie odebrany, naprawiony samochód, tym bardziej, że pogoda tego dnia była wyśmienita - był suchy i bardzo ciepły wiosenny dzień. Ruszyłem więc od razu z Polmozbytu w stronę Gdyni.

Aleja Grunwaldzka we Wrzeszczu była prawie pusta o tej porze. Jechałem jednak całkowicie prawidłowo, czyli nie przekraczałem dopuszczalnych 50 km/godz. - chciałem ostrożnie nabrać znowu przekonania do tego samochodu. Dojeżdżałem właśnie do Hali „Olivii”. Z daleka widziałem, że na skrzyżowaniu z ulicą Kołobrzeską zmieniały się właśnie światła z zielonych na czerwone, więc lekko przyhamowałem. Całkowicie niespodziewanie na zupełnie suchej i na szczęście kompletnie pustej w tym momencie ulicy wpadłem znowu w poślizg. Niewidzialne siły obróciły mój samochód znowu o 180° tuż przed samym skrzyżowaniem. Włączyłem światła awaryjne i wysiadłem szyb-

ko, szukając oczami jakiejś plamy z olejem na ciemnoszarym asfalcie, którą mógłbym oskarżyć o spowodowanie tej bardzo niebezpiecznej sytuacji na drodze. Ciemny asfalt był jednak całkowicie suchy. Nie mogłem dostrzec żadnej mokrej czy też oleistej plamy, rzuciło mi się natomiast w oczy jakby trochę zbyt mało powietrza w jednym kole. Zawróciłem więc na tym skrzyżowaniu i udałem się bardzo powoli, ale nie do Polmozbytu, tylko do prywatnego zakładu wulkanizacyjnego w centrum Wrzeszcza, w podwórku tuż pod wieżowcem nazywanym „Olimpem”, z którego już wcześniej kilka razy korzystałem.

Majster zabrał najpierw wszystkie koła w głąb warsztatu, aby sprawdzić ich wyważenie. Nagle zawołał mnie do siebie i śmiejąc się, pokazał mi kręcące się właśnie na wyważarce koło, które zachowywało się jak miękka plastelina, przyjmując w ruchu dziwne kształty wężowo-ósemkowe. Po zdjęciu opony z felgi okazało się, że różne wewnętrzne warstwy w tej oponie radialnej rozchodziły się każda w inną stronę i profilaktycznie musiałem natychmiast wymienić wszystkie opony w naszym samochodzie na nowe. Dobrze, że obok tego warsztatu na dole „Olimpu” znajdował się bardzo duży sklep peweksu, gdyż inaczej zapewne tygodniami musiałbym szukać nowych opon - być może nawet po całej Polsce.

Była to więc zapewne prawdziwa przyczyna poślizgu samochodu w tę pamiętną noc po imprezie andrzejkowej w Starogardzie Gdańskim. Technicznie dał się więc ten samochodowy wypadek po ponad pół roku wytłumaczyć. Jego niezwykle powiązanie z równoczesnym, strasliwym wydarzeniem w Krasnymstawie pozostało na zawsze niewytłumaczalne.

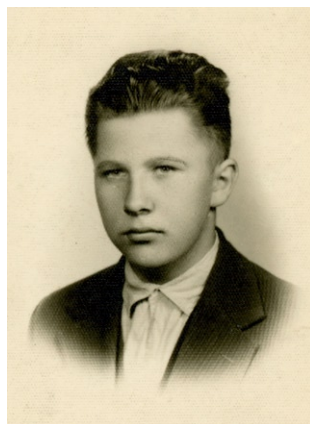
dr Janusz Wanot

Andrzej Stanisław Adamczuk

Janusz Korczyński

Z cyklu:

„Mój Jaślików - mówią stare fotografie”



Janusz Korczyński był wójtem Gminy Krasnystaw 38 lat - aż do śmierci, która zabrała go 21 lutego 2018 roku. Przeglądając swoje stare archiwa, znalazłem zdjęcie z dedykacją sprzed 59 lat, z roku 1962 - i to zdjęcie właśnie, obudziło kilka wspomnień o Januszu.

- Chcesz się bić? - niezmiennie pytali mnie - Janusz Korczyński (ps. Kulas) z Jankiem Bojarskim (ps. Gruby) - kiedy wracając ze szkoły, spotykali mnie koło kuźni mojego ojca, naprzeciwko sklepu w Jaślikowie - nie mówili tego w złości ani z agresją, po prostu proponowali żebyśmy się „pobili” - ot tak! - dla sportu!

Były to lata 50. XX wieku - rok 1954 lub 1955 - oni wtedy chodzili może do I klasy, ja jeszcze do szkoły nie chodziłem - ale już wtedy ta chęć sprawdzenia się w „boju” nie pozwalała im przejść koło mnie bez zaczepki. Ale ja nie chciałem się z nimi bić, bo byli starsi ode mnie, obaj byli „zażywni” (tego zwrotu w Jaślikowie używało się w stosunku do chłopów czerstwych i o odpowiedniej tuszy) - i właśnie byli nie w „mojej wadze”, a ponadto mieli przewagę liczebną. Tak zapamiętałem Janusza ze „smarkatych” czasów. Był moim starszym kolegą z podstawówki w Jaślikowie.

Janusz bardzo dobrze się uczył, miał dużą wiedzę z historii i kiedy w szkole odbywały się „uroczyste akademie ku czci...”, Janusz pisał referaty okolicznościowe, a ja robiłem „patriotyczne” gazetki szkolne. Pamiętam jak kiedyś z dużą swadą Janusz wygłosił referat o gen. Andersie. Było to w czasie „lekkiej odwilży politycznej” i o niektórych „zapłutych karłach reakcji” można było już wspominać, a nawet pozwolono zaśpiewać „Czerwone maki na Monte Cassino”. Krótko mówiąc - Janusz imponował mi!

Mieszkał na kolonii i czasami odwiedzaliśmy go z „Cichoszami” - Jaśkiem (ps. Kurzy Łeb) - Stachem (ps. Pętko) i Tadkiem (ps. Mały) - tych ksywek używam teraz z rozbawieniem, kiedyś można było za to nieźle oberwać po tzw. „dziobie”. Zazdrościłem Januszowi, że ma swoje prawdziwe biurko, swoją biblioteczkę i ma zaprenumerowany „Płomyk” i „Płomyczek”, a jego mama „Przyjaciółkę” - na ogół w domach wiejskich nie przykładano wielkiej wagi do warunków, w jakich uczyliśmy się - Janusz miał standard nieco podwyższony. Chociaż gwoździł prawdę ja też miałem zaprenumerowany „Świat Młodych” (3,90 zł na miesiąc) - ukazywał się we wtorki i piątki, a oprócz tego mój brat, który chodził do szkoły w Lublinie przywoził czasami kolorowe czasopisma, jak „Dookoła Świata”, „Sportowiec” czy „Młody Technik” - nie było tak źle. Do szkoły przychodziło pismo „Kraj Rad” - kolorowe, drukowane na ładnym kredowym papierze - z tego papieru dziewczyny „kręciły” na pracach ręcznych kolorowe koraliki, ale to tak na marginesie.

Lubiliśmy odwiedzać Janusza w jego domu na Kolonii - dom był duży, drewniany - wydawał się wielki jak dwór, stał w szczerym polu, ale w dużej kępie drzew i krzewów, które dawały cień latem i osłonę od wiatrów jesienią i zimą. Mama Janusza - kobieta odcytana, nie wiem czy była wykształcona, ale często można było ją zastać z książką w ręku - czytała nam czasami na głos lektury szkolne. Z czytaniem na wsi - wśród dorosłych - nie było tak źle, była spora grupka ludzi starszych należących do biblioteki szkolnej, a nawet biblioteki powiatowej w Krasnymstawie, czasami czytano też na głos. Rodzina Korczyńskich mieszkała na Kolonii Jaślików, w domu „na końcu świata” - jak nam się wtedy wydawało. Wokół ich domu posadzony był las, na skraju tego bardzo jeszcze wtedy

młodego lasu, posadzono truskawki - tak chyba dla fantazji. Te truskawki z roku na rok dziczały coraz bardziej, miały coraz mniejsze owoce, ale w smaku były niezapomniane - leżeliśmy w wysokiej trawie, a na wyciągnięcie ręki była taka rajska przekąska - oj! - to se ne vrati!

Droga, przy której leżała Kolonia Jaślików, na całej swej długości obsadzona była drzewami owocowymi - głównie czereśniami - te czereśnie mógł rwać, kto chciał - były tam wszelkie odmiany - od tzw. „kamyczków” (o bardzo słodkich, drobnych i twardych owocach) po „kruki” czyli dorodne czarne czereśnie, w smaku lekko gorzkawe, a plamy na ubraniu po nich zostawały na długo - były to 2 kilometry czereśniowego raj. Wśród rówieśników często padała propozycja - idziemy na czereśnie? - no i szliśmy, ale często przy tej okazji „zaglądał” co tam jeszcze rośnie w sadach bliżej domów. Nie wszyscy byli zadowoleni z tej naszej „ciekawości” i czasami kończyło się śmignięciem batem po gołych nogach - tak żeby zapamiętać na przyszłość.

Obsadzenie dróg drzewami owocowymi to była podobno akcja społeczna po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 i później. Bowiem w czasie wojny Austriacy wycięli drzewa owocowe w sadach we wsi na kolby do karabinów, później okazało się, że tylko orzech włoski i grusza do tego się nadają - no ale sady wiejskie i drogi zostały огоłocone z drzew owocowych i stąd ta inicjatywa, żeby przeprowadzić tak duże nasadzenia.

Ojciec Janusza - Wincenty Korczyński - przyjeżdżał po zakupy do sklepu we wsi na koniu - na dorodnym kasztanie, pod najprawdziwszym siodłem z pięknej brązowej skóry. Nie pamiętam, żeby we wsi jeszcze ktoś miał uprzęż do jazdy konnej. Przed samymi drzwiami wejściowymi do sklepu rosła lipka i do niej pan Wincenty przywiązywał konia, luzował popręgę i szedł do sklepu, a gawiedź oglądała i komentowała „fachowo” osiodłanego konia.

Janusz był sporym „chłopcem”, a w 7 klasie można by rzec, że nawet bardzo sporym i z tego powodu był często „ofiara” zabawy w tzw. „kopę” - te zabawy odbywały się najczęściej w ganeczku przy Białej Szkole. Tutaj należy się wyjaśnienie, bowiem we wsi były dwa budynki szkolne - „Szkoła Biała” mieściła się w budynku mieszkalnym

w rozparcelowanym majątku Ostrowskich, a „Szkoła Czerwona” była wybudowana od podstaw jeszcze przed I wojną światową.

Wracając do zabawy w „kopę” - w Białej Szkole nie było za dużo miejsca - najgorzej było na przerwach (a może najlepiej), kiedy nie można było wyjść na zewnątrz budynku, bo był deszcz albo inna słota. Wtedy tłoczyliśmy się w tym malutkim ganku i korytarzyku między klasami, uprawiając namiętnie tę zabawę. „Robienie kopy” polegało na tym, że upatrywaliśmy ofiarę i na dany znak dopadaliśmy ją, przewracali na podłogę i przygniatli swoimi cielskimi - dla tego na dole to nie było zabawne, zaręczam! I właśnie do tego celu Janusz nadawał się wybornie, bo nie można mu było zrobić krzywdy, był duży, silny i potrafił wstać z podłogi z uwieszonymi „zawodnikami” i strząsnąć ich z siebie jak piórka. Zabawę tę uprawiają do dzisiaj zawodnicy na boiskach piłki nożnej, ciesząc się po strzeleniu gola.

Zdjęcie dołączone do tekstu jest z roku 1962. Był taki obyczaj, że na koniec szkoły robiliśmy sobie zdjęcia w zakładzie fotograficznym J. Seweryna w Krasnymstawie. Zdjęcia były potrzebne do różnych dokumentów, ale robiliśmy mnogość odbitek - ot tak, żeby się wymienić z kolegami na pamiątkę. Tych zdjęć w moim archiwum trochę się jeszcze ostało.

Po ukończeniu szkoły podstawowej spotykaliśmy się z Januszem sporadycznie, w zasadzie tylko w okresie wakacyjnym. Ja utkwilem na dobre w Lublinie, on wrócił w rodzinne strony. Ciągle odkładało się termin spotkania, aż okazało się, że znowu ks. Jan Twardowski miał rację, bo trawestując jego słynne zdanie, można powiedzieć - „Śpieszcie się spotykać z przyjaciółmi - tak szybko odchodzą”. Nie zdążyliśmy.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Andrzej Stanisław Adamczuk

Jan Kowalski
@facet w bryczesach na jawie 250



Z cyklu: „Mój Jaślików - mówią stare fotografie”

Latem 1958 przed kuźnią mojego ojca zjawiał się facet. Przyjechał na jawie 250, ubrany w bryczesy, na nogach oficerki „szklanki”, wysoko podstrzyżony na „kozaka”. Ojciec akurat pracował na kowadle, przerwał kucie i wyciągnął usmoloną rękę do gościa na powitanie. Ten bez wahania gest podjął, wymienili uściski dłoni i coś tam długo rozmawiali, żywo gestykulując, Gość od czasu do czasu błysnął złotym zębem (złoty ząb był wtedy tak samo szpanerski jak dzisiaj ładny tatuaż), w końcu wymienili pożegnalny uścisk dłoni - jakby bardziej serdeczny. Gość z pierwszego „kopa” odpalił silnik w jawie i odjechał.

- Kto to był? - pytam ojca.

- To był Jan Kowalski - oznajmił mi ojciec - nowy kierownik szkoły. Chce, żeby naprawić dach na „Szkołę Czerwoną” (w Jaślikowie były dwa budynki szkolne nazywane „Szkoła Biała” i „Szkoła Czerwona”).

Kiedy mój wujek Szponar ps. „Kowal”, właściciel wiejskiej kuźni wyjechał do Lublina, kuźnię po nim przejął mój ojciec Jan Adamczuk - człowiek orkiestra - był zręcznym kowalem, ślusarzem, cieślą, stolarzem, blacharzem, a na socjalistycznych budowach sprawdził się jako zbrojarz. Jego dyplom uznania wisiał długo na ścianie w kuchni, niczym portret „Najjaśniejszego Pana” - i też był obsrany przez muchy.

Do niego to zwrócił się Jan Kowalski w sprawie doprowadzenia do porządku obróbek blacharskich, rynien i rur spustowych w „Szkołę Czerwoną”. Nie były to jedyne pilne prace remontowe potrzebne w obydwu budynkach - było ich znacznie więcej, bo oba budynki szkolne były w dość opłakanym stanie.

Jan Kowalski, człowiek z dużą charyzmą i niepospolitą energią, rozpoczął więc swoje „rządy” w Jaślikowie od przygotowania obu budynków szkolnych do godnego przyjęcia uczniów w roku szkolnym 1958/59. Pan Jan rządził w szkole w Ja-

ślikowie krótko - był kierownikiem tylko przez rok, ale z „zębem”. To był rok prawie całkowitej wymiany kadry nauczycielskiej, bowiem w poprzednim roku szkolnym 57/58, w wyniku bardzo niejasnego konfliktu między władzami GRN w Zakręciu a mieszkańcami wsi, szkoła stała się obiektem ataków, podczas których wybito szyby w oknach. Zajścia te spowodowały, że prawie cały zespół nauczycielski przeniósł się do innych szkół w powiecie. Ostała się tylko pani Zdzisława Kędrakowa - mieszkanka Jaślikowa - i w takich to niełatwych okolicznościach Jan Kowalski objął „stery” szkolnych rządów.

Na początku dał się poznać jako „fryzjer” - ostrzygł na tyso wszystkich chłopaków w szkole, zrobił to osobiście przy użyciu ręcznej maszyny do strzyżenia - nie bardzo ostrej. Przypomnieć trzeba, że strzyżenie na tyso w tamtym czasie zarezerwowane było dla rekrutów w wojsku i dla więźniów. Kowalski tłumaczył, że ten zabieg kosmetyczno-fryzjerski ustrzeże nas od wszy, gdyż z tysej głowy wszy spadają na podłogę, ponosząc śmierć na miejscu od obrażeń spowodowanych upadkiem, a te, które upadek przeżyją, zostaną niechybnie rozdeptane uczniowskimi buciorami.

W tym czasie wszy nie były już bardzo „popularne”, wszak było 13 lat po wojnie, propaganda higieniczna była duża i o dziwo skuteczna, dorównywała prawie propagandzie politycznej, ale Kowalski miał swój ogląd sprawy, dyskusji żadnej w tej kwestii nie przewidywał, zarządził wedle zasady: „Tak ja to widzę i będę się tego trzymać!”. Nikt nie śmiał stanąć w poprzek drogi, jaką obrał nowy kierownik szkoły. Stało się według jego woli. Szkoła przez pewien czas wyglądała jak kompania wojska przed przysięgą.

A tak wracając jeszcze do higieny w tamtych latach - co jakiś czas szkołę odwiedzała higienistka. Były to wizyty niezapowiedziane - sprawdzała, czy nie mamy „robactwa” w głowach, czy uszy i szyję można uznać za umyte i czy za paznokciami nie trzymamy zbędnej ilości gruntu, schludność ubioru też była brana pod uwagę. Wszelkie krytyczne uwagi higienistki dotyczące uczniów były skrzętnie zapisywane i „publikowane” na wywiadówkach i jeżeli była „brudna” wpadka - był wstyd, szczególnie dla matek, a one już potrafiły dopilnować, żeby następnym razem nie dostać się na cięte jęzory sąsiadek, którym tym razem się upiekło.

Ale wracając do pana Jana, kiedy już wszyscy zostali potraktowani jednakowo maszynką do strzyżenia, Kowalski powiesił na ścianie „Białej Szkoły” (na zewnątrz) mapę Polski - białą, płócienną stroną do widza, a na tym jasnym tle odwrotnej strony mapy ustawiał po kolei wszystkich i robił zdjęcia - aparat fotograficzny stał na statywie, jakiś zeiss zdobyczny z obiektywem w mieszk - wyglądało to bardzo fachowo i tajemniczo.

Za kilka dni wszystko się wyjaśniło, kiedy pan Jan przyniósł plik legitymacji szkolnych dla wszystkich uczniów i uczennic naszej szkoły. Do tej pory żyliśmy jakoś bez legitymacji, a teraz okazało się, że legitymacje będą nam niezbędne, bo zaczniemy się szwendać pociągami po Polsce w celach wycieczkowych, a legitymacje upoważniają nas do 33% ulgi przy zakupie biletów - to golenie łbów na tyso było pewnie po to, żebyśmy wyróżniali się w sposób znaczący w tłumie wycieczkowiczów - miał dzięki temu pewność, że nikt nie zgubi się w obcym miejscu.

Pan Jan zorganizował jeszcze Szkolną Kasę Oszczędności (SKO), gdzie to miała być gromadzona kasa na przyszłe podróże krajoznawcze i takie tam inne przedsięwzięcia wymagające finansowania. O dziwo, ta forma oszczędzania przyjęła się, ciułałiśmy (no, nie wszyscy - wiadomo) jakieś grosze, które zamieniały się w złotówki, a te w już znaczące kwoty - no bez przesady - ale znaczące dla „bezrobotnego” ucznia.

Tych wycieczek pan Jan kilka zorganizował i udokumentował wieloma fotografiami. Po każdej wyprawie skrzętnie te fotografie wykupywaliśmy za jakieś grosze. Pan Jan miał pewnie przebogate archiwum dotyczące szkoły i samej wsi, bo fotografował dużo i widać było, że sprawiało mu to wielką frajdę. Ech, gdyby się udało dotrzeć do tego archiwum... - myślałem nieraz.

Kilka lat temu nawiązałem kontakt z jego synem Wacławem Kowalskim - kolega mój, nomen omen też Kowalski, znał go, bo byli ziomkami z Łopiennika. Zaaranżował spotkanie, a kiedy już do niego doszło, byłem w szoku jak bardzo Kowalski jr był podobny do ojca. Senior Kowalski nie żył już od kilku lat.

Zapytałem pana Wacława o archiwum fotograficzne ojca. Powiedział, że chyba istnieje i jest w posiadaniu jego siostry mieszkającej w Kraśniku,

obiecał mi protekcję u niej i ewentualny dostęp do tego „skarbu”. Sprawa ucichła na dłuższy czas za przyczyną choroby pana Wacława i wróciła w roku 2020, kiedy to pan Wacław wypożyczył mi część tego archiwum (negatywy), które obejrzałem i zeskanowałem, na razie bez szczegółowych komentarzy do zdjęć - zaraza ciągle plany krzyżuje.



Zdjęcie dołączone do tekstu pochodzi z albumu pana Jana. Zrobione zostało w roku 1958 przed wejściem do „Szkoły Czerwonej” w Jaślikowie.

Po roku rządów, pan Jan „wyemigrował” na Kolonię Zakręcie i tam był jednym z inspiratorów budowy nowej szkoły - tzw. 1000-latki. Poszło mu dobrze, szkoła była piękna i nowoczesna jak na tamte czasy - stoi do dzisiaj. Trzeba dodać jeszcze, że Jan Kowalski był również inicjatorem budowy nowej szkoły w Jaślikowie i to za jego rządów, w roku 1958 zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Szkoły. Pan Jan w latach 60. i 70. ubiegłego wieku kontynuował swoją pracę w szkołach lubelskich, m.in. był kierownikiem szkoły nr 7 w Lublinie.

Mnie pozostał obraz „solidnej” postury faceta w bryczesach i oficerkach, ze złotym zębem, na jawie 250, z aparatem fotograficznym. W szkole cieszył się dużym mirem, na wsi go lubili, nie stroił od ludzi, a wręcz się fraternizował i lubił czasami wypić - widziałem i zaświadczam osobiście! Kolegował się trochę z moim ojcem i był chyba u nas ze dwa razy.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Wojciech Bieluń-Targosz

Z cyklu: „Parabole”

zastanawia mnie
przemijanie obrazów
w przestrzeni czasu
ich wzajemne powiązania
odstępny
dlaczego w snach
widzę zawsze przyszłość
nigdy przeszłość
sytuacje wydają się nieskończone
jakby bezbrzeżne
i niewyczerpalne do końca
zostaje w nich coś
oprócz wyboru

czas płynął we mnie
ale nie przeciekał
w przestrzeni pojawiały się momenty
zeszłej pamięci
poziomy słów
wypełnione sensem
zdałem sobie sprawę
nie zawsze możemy robić
co chcemy
wszystko musi coś znaczyć
wyobrażenie i rzeczywistość
nie mają ze sobą
nic wspólnego

myślę o rzeczach
coraz bardziej dostrzegalnych
z wiekiem
nie rejestruję w nich
niczego czytelnego
nawet dystans do prawdy
wydawał się zatarty
niepokoiła mnie kwestia
obecnej chwili
jak ją widzę
jaką wyznaję
zależało to od przekonań
tak głębokich
że nie odkrywałem ich korzeni



kiedy piszę
każdy szczegół
odsyła mnie do następnego
ten zaś do kolejnego
koniec końcem stoję przed
najoczywistszą prawdą
umysł tworzy rzeczywistość
rozsądek tylko ją akceptuje
potem pojawiły się pytania
iść dalej
czy zamknąć przed światem
nie brakuje prostych rozwiązań
tyle tylko
że proste jest niebezpieczne
zawsze znajdzie się jakiś haczyk
albo minus

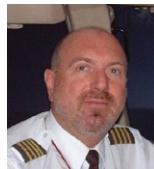
podróżniku
mój cieniu
jestem bezradny
niewidzialny szary
uzupełniam dziennik
zapisuję myśli
co tydzień te same
czasem odbieram dziwne stacje
tworzę własne szufladki
nie ma w nich prawdy
jedynie destrukcja i szaleństwo
milczę nie osądzam niczego

czasem rozmyślałem
o punkcie końcowym
chcę wiedzieć
dlaczego życie zrosło się tak
że nie ma nic wspólnego
z dekoracjami
w które uwierzyłem
nie osiągnąłem pełnej władzy
nad całością
ważniejszym motywem była dzisiejszość
być może moja droga
była fałszywa
nie widziałem tego
jakby ktoś ją skrywał

Marian Rybczyński

P aragraf 33 i unitarka

Z cyklu: „Dęblińskie przypadki”



Ładnych parę lat minęło od czasu, gdy opisana dalej historia miała się zacząć. Miałem wtedy lat „dzieścia” i - jak patrzę z dzisiejszej perspektywy - mocno pstro w głowie i więcej szczęścia niż rozumu. Totalnie inne spojrzenie na świat i - co tu dużo mówić - wydawało mi się, że moja racja jest „najmojsza”. Jednak jako młody człowiek partryłem z optymizmem w przyszłość i - ponieważ rzecz jest o lataniu - to ono było dla mnie najważniejsze. Myślę, że również wielu moich kolegów miało podobny, o ile nie taki sam punkt widzenia. Nie trafiło nam do przekonania, że wojsko nie jest tylko uciążliwą przystawką do latania, ale instytucją podlegającą ścisłym regułom i wymagającą od uczestników tej gry ścisłego podporządkowania się jej zasadom. Dla nas te reguły nijak się miały, bo w lotnictwie jest wymagane myślenie, analiza, wyciąganie wniosków, a nawet pewna doza niesubordynacji. Myśliciel powinien być w jakimś stopniu indywidualistą i wychodzić poza standardy, ponieważ jego sfera działalności podlega tak wielu zmiennym, że w 100% wszystkiego przewidywać i ująć w przepisy się nie da, a bezwzględne posłuszeństwo, a nawet dryl może sprawdzać się w wojsku wszędzie, ale nie w lotnictwie. Inaczej mówiąc: gdzie zaczyna się lotnictwo, tam kończy się wojsko. Podobnie Janusz Meissner w jednej z książek pisał, jak to w latach przedwojennych (nie wiem dokładnie których), oficerowie powinni nosić szable. Pisarz wraz z kolegami został zatrzymany przez patrol i dowódca patrolu, rotmistrz ułanów, zapytał.

- A panowie oficerowie czemu nie przy szablach?

- Dlatego, że po to lotnikowi szabla, po co ułanowi rozum - odpowiedział jeden z zatrzymanych.

Nie pamiętam jak sprawa z szablą się zakończyła, ale pokazuje to, że problem na styku wojsko-lotnictwo nie jest nowy. Niektórzy mówili jeszcze, że gdzie zaczyna się wojsko, tam kończy

się logika, a wartownik po to na bramie stoi, aby ta logika jednak do tego wojska nie weszła.

Coś musi być z tym wojskiem i lotnictwem, bo w czystej postaci spotkałem się z tym problemem, latając w liniach południowokoreańskich. Tamtejsza kultura i mentalność są na modłę wojskową. Starszy i przełożony ma zawsze rację i z tym się nie dyskutuje. O ile w skali państwa jako organizacji daje to doskonałe efekty (masz robić, co do ciebie należy i nie pytać dlaczego), to zupełnie nie sprawdza się to w lotnictwie, powiedziałbym nawet, że jest niebezpieczne. Panowała opinia, że w sytuacjach nietypowych (nie mylić z niebezpiecznymi), lepiej Koreańczykowi (drugi pilot w załodze zawsze był stamtąd) nie dawać myśleć, bo nie wiadomo, co wymyśli. Wracając na nasz grunt, lotnictwu nie zawsze było po drodze z wojskiem i my tej zasady mocno się trzymaliśmy. Nie usprawiedliwia to oczywiście naszych niepokornych zachowań.

Opisane tutaj historie w znacznym stopniu dzieją się z udziałem mojej skromnej osoby lub zapożyczone zostały z przeżyć moich kolegów, jedno jest pewne, że wydarzyły się naprawdę. Nie zawsze jest to oczywiście powód do chwały, ale chcę powiedzieć, że nie zamiętałem tutaj żadnych „dokonań” pod dywan. Zresztą, kto bez winy niech pierwszy rzuci kamieniem. Nie samą nauką czy lataniem się żyło, niech jednak nie będzie to przyczynkiem do wyrobienia sobie opinii, że jako podchorążowie byliśmy jakąś rozwydrzoną bandą. Po prostu byliśmy młodymi ludźmi, którym buty nie zawsze prosto chodziły. Do tej pory jednak w żadnych wspomnieniach z pobytu w Dęblinie nie przeczytałem o jakichkolwiek „ekscesach”, może dlatego, że byłyby „niepoprawne politycznie”, mówiąc dzisiejszym językiem. Nie znaczy to, że podobne rzeczy nie miały tam miejsca. Na pewno nie byliśmy ani gorsi, ani lepsi od innych roczników, chociaż faktem jest, że nie mamy generała z naszej promocji. Ale za to pięciu z naszego grona latało w liniach lotniczych i to nie tylko w Polsce, ale na świecie. Nieskromnie mogę nawet powiedzieć, że 50% kapitanów Polaków latających na jumbo, było z promocji 1978.

Do woja marsz!

Niebo płakało, autobus jechał, a mnie świat walił się na głowę. Chyba tak powinienem zacząć swoją opowieść, według kanonów literackich. A przekładając na prosty język, czułem się po prostu do d... 20 lat, czyli wiek mocno zaawansowany, jak mi się wtedy wydawało, zawałone studia i niepewna przyszłość, do której jechał ten autobus, a niebo płakało. Z lewej strony mignęło lotnisko w Jasionce, a ja do lotnictwa, do Dębłina, a wcale nie to sobie wymarzyłem, ten Dęblin.

Kończąc literaturę, przejdźmy do konkretnych. A konkrety były jak to niebo - czyli smutne. Zawałony rok studiów na, jeszcze wtedy WSI w Rzeszowie i - po krótkim namyśle - decyzja o Dęblinie, ale tylko decyzja, bo jak na razie wynik był 1:0 dla Dębłina. Będąc jeszcze w klasie maturalnej, badań do Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej nie przeszedłem. Zresztą wcale mi na tym wtedy nie zależało. Pojechałem, bo prawie wszyscy z aeroklubu tak robili, poza tym dawali w szkole na to wolne i na dodatek było to tuż przed studniówką, a ja nie miałem jeszcze kupionej koszuli i krawata na tę podniosłą uroczystość. Pomyślałem, że dobrze jest połączyć jedno z drugim - spróbować się przetestować i kupić krawat... w Warszawie, z Dębłina tam niedaleko. Medycznie nie wypadłem najlepiej - coś tam z sercem nie było w porządku. Po latach stwierdziłem, że te medyki i tak miały anielską cierpliwość... trzydziestu kandydatów dziennie, razy 6 dni w tygodniu, razy co najmniej 4 miesiące w roku, to dawało liczbę. Towarzystwo padało jak muchy. Może dwóch, może trzech - to wszystko, co przechodziło. Ja znalazłem się po tej drugiej stronie. Nie powiem, żeby to mnie zmartwiło, przynajmniej miałem z głowy nagabywanie ze strony wojska, że powinienem spróbować, bo przecież jestem „idealnym” kandydatem. Idealnym nie byłem, a zwłaszcza do wojska. Badań nie przeszedłem, krawat kupiłem, studniówkę odbyłem, maturę zdałem, na studia się dostałem, ze studiów wyleciałem i zastanawiałem się właśnie co teraz będzie, jadąc do Dębłina i nie mając zbyt dużego pola manewru.

Z tym wyleceniem to było tak...

Mając prawie całą sesję zaliczoną, jeden egzamin przełożony, ponieważ siły już nie miałem. Latając na szybowcach w dzień, a ucząc się w nocy, udało mi się zdać prawie wszystko, oprócz jednego, chociaż to było najtrudniejsze - mechanika techniczna. Tragedii jednak nie robiłem, ponieważ miałem to przełożone na wrzesień i moja sytuacja, w porównaniu do innych, była, można powiedzieć, komfortowa. Więc coś można robić w czerwcu, kiedy wakacje w perspektywie, latanie w aeroklubie i jeszcze parę groszy w kieszeni? Zrobiliśmy imprezę jak się patrzy. Było wesoło, dopóki któryś z kolegów siedzących przy brzegu balkonu nie zauważył, że bardzo przygląda się nam pan docent myjący samochód pod akademikiem.

- Może byśmy się tak schowali, w końcu w akademiku pić alkoholu nie wolno - zauważył.

Bez większych protestów towarzystwo schowało się do pokoju i imprezowaliśmy dalej. Nie minęło 10 minut, jak ktoś zapukał do drzwi. Otworzyliśmy. W drzwiach stał docent Kalita [nazwisko zmienione]. To właśnie on mył samochód na dole i pilnie nam się przyglądał.

- Nazwiska panów poproszę - rzucił szybko.

- A po co panu nasze nazwiska? - rezolutnie zapytał jeden z kolegów.

- Dobrze wiecie po co - i było po dyskusji.

Na dobrą sprawę, to nie bardzo wiedzieliśmy, o co mu chodzi. Fakt, że na środku pokoju stała skrzynka wina marki Riesling niczego nie przesądzała. Nie my pierwsi i nie ostatni imprezowaliśmy w akademiku tego dnia. Gorsze rzeczy te ściany widziały i nikt z tego ani myślał robić afery.

- Coś musiało gościowi odbić - stwierdził któryś i temat uważaliśmy za zakończony. Impreza zakończyła się totalnym „zanieatrzeźwieniem”, co zresztą było jej celem jako takim. Następnego dnia obudził mnie nieziemski ból głowy i kolega, który przyszedł zapytać, czy żyjemy.

- I jak, u Kality byliście? - zapytał.

- A po jaką cholere? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

- No jak to, przecież kazał wam się zgłosić rano, żeby sprawy powyjaśniać. - Nieźle wyglądać - dodał ze współczuciem, patrząc na mnie i na

Andrzeja, który właśnie otworzył jedno oko i miał wyraźne problemy, aby uczynić to samo z drugim.

- Jakie sprawy? Coś się stało? - nie bardzo kojarzyłem, o czym mówi.

- O cholera... - zafrasował się - widzę, że nie bardzo kojarzycie.

- Mów stary, co jest grane. Andrzej Binkowski rozglądał się za odrobiną jakiegoś płynu.

- Zabiliśmy kogoś, albo okradli?

- Gorzej - dodał tamten i zaczął nam rozjaśniać w głowach.

Sprawa na pozór wyglądała bardzo prozaicznie. Kiedy imprezowaliśmy na balkonie, docent mył samochód pod akademikiem. Oczywiście widział nas i to, co robimy. Nie zdawał się jednak być tym cokolwiek zainteresowany. Znałem go trochę ze wspólnych wyjazdów na narty i uważałem za zupełnie normalnego i przyzwoitego faceta. W pewnym momencie jednak, z jednego z okien wyleciało parę jajek i któreś trafiło go w głowę. Na balkonie i w wesołym nastroju byliśmy tylko my i - co jest rzeczą właściwie naturalną - podejrzenie padło na nas.

W tym momencie przypomniałem sobie, że faktycznie, poprzedniego dnia coś tam mówił o wyjaśnieniu jakichś spraw, ale jeden z kolegów skwitował to krótko, że może mu chodzi o wyrzucane za okno korki. Nie mieliśmy jednak pojęcia, że przed chwilą dostał jajkiem po głowie.

Była swego czasu afera z wyrzucanymi przez okna foliowymi workami napelnionymi wodą. Taki worek rzucony na przykład z 10 piętra, przy zderzeniu z ziemią zachowuje się jak bomba - opryskuje wszystkich wokół ku uciechu gawiedzi siedzącej w oknach. Gorzej miał się sam poszkodowany. Mało jest osobników mających na tyle poczucia humoru, aby chociaż pod nosem nie zakląć na takie „igraszki”. Inaczej rzecz ma się jednak z żakiem, który powiedzmy, ma lat dwadzieścia kilka, a inaczej z ciałem pedagogicznym, jak chociażby pan docent. Traf chciał, że zdarzyło mu się oberwać kilka razy taką bombką. Po którymś kolejnym trafieniu nie zdzierzył i ogłosił, że jeśli kiedykolwiek zobaczy wylatującego cokolwiek z jakiegokolwiek okna, to mieszkańcy tego pokoju mogą się uważać już za byłych studentów. Żaden z nas o tym wcześniej nie słyszał, a dowiedzieliśmy się właśnie w tym momencie i - co gorsza - to my byliśmy mieszkańcami takiego pokoju.

Było chyba około drugiej po południu, kiedy jako tako doprowadziwszy się do ludzkiego wyglądu, wyruszyliśmy do pana docenta. Niestety, nie chciał z nami rozmawiać. Powiedział tylko, że i tak wykazał dużo dobrej woli, bo chciał sprawę wyjaśnić, ale oczekiwał nas o godz. 9, a teraz już jest za późno. Na próżno zaklinaliśmy się na wszystkie świętości, że to nie my, że bardzo przepraszamy za późniejsze przyjscie, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że tak to wygląda itd. Był nieugięty. Sucho stwierdził, że tak jak obiecał, tak i słowa konsekwentnie dotrzyma, dając tym samym do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona. Cóż było robić, wyszliśmy jak niepyszni i sprawa wydawała się być przesądzona.

Przyszedł lipiec, obóz szybowcowy na Jasionce, mało latania, bo pogoda była wyjątkowo brzydka. W sierpniu miałem mieć praktykę w WSK, ale przecież mieliśmy wylecieć z uczelni. Żadnego jednak oficjalnego zawiadomienia na ten temat nie dostałem. Znalazłem za to swoje nazwisko na liście uczestników praktyki. Kamień spadł mi z serca, bo oznaczało to, że pan docent zmienił zdanie i jestem dalej studentem. Sierpień mijał szybko i wrześniowa sesja poprawkowa zbliżała się wielkimi krokami. W międzyczasie dowiedziałem się, że nasza afery się wyjaśniła, ponieważ ktoś z rady uczelnianej potwierdził, że to nie z naszego okna wyleciały jajeczka, które ugodziwszy celnie pana docenta, narobiły takiego zamieszania, a nam przysporzyły tyle kłopotów. Ponieważ miałem trzy podejścia, więc mój zapał do nauki był odwrotnie proporcjonalny do ilości podejść. W pierwszym terminie poszedłem na „żywcę”, czyli z marszu. Wynik był wiadomy, ale było to zgodnie z moimi przewidywaniami. Einsteinem w końcu nie byłem. Do następnego terminu przygotowałem się już dużo solidniej, ale niestety, wynik był ten sam. Niemniej jednak wydawało mi się to trochę dziwne, ponieważ sam siebie oceniłem na solidną trójkę. Był to egzamin pisemny, a mnie ani w głowie było chodzić i wyklócać się z wykładowcą. Do trzeciego terminu podeszedłem już naprawdę solidnie. Moje przygotowanie wydawało się być zupełnie dobre, bo nawet innym byłem już w stanie co nieco wytłumaczyć i pomóc. Na wynik egzaminu oczekiwałem ze spokojem i jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem się na liście do poprawki ustnej. Może

i coś tam trochę pokręciłem w części teoretycznej, ale wszystkie zadania miałem zrobione i oczekiwałem na porządną ocenę. A tu coś takiego!!!

Egzamin ustny odbywał się w auli i wchodziliśmy tam po parę osób. Dostałem trzy pytania, które jak mi się wydawało, nie powinny mi sprawić większych kłopotów. A jednak sprawiły... Od początku wydawało mi się, że pan wykładowca nie za bardzo jest zadowolony z moich odpowiedzi i co rusz podrzucał pytania „pomocnicze”. Było to typowe polowanie „na kości”, a - jak powiedziałem wcześniej - Einsteinem to ja na pewno nie byłem. W końcu stwierdziłem, że nic tu nie wskóram i poddałem się. Wstałem i wyszedłem z auli w podłym nastroju. Zaraz po wyjściu z budynku natknąłem się na jednego z asystentów z budownictwa, którego znałem z nart.

- Cześć, co... egzamin miałeś? - byłem pod krawatem.

- Miałem, z mechaniki - dodałem, uprzedzając następne pytanie.

- Z mechaniki. I co, nie zdałeś - bardziej stwierdził niż zapytał. - Słyszałem o tej aferze z jajkami - dodał.

- Ale przecież sprawa została wyjaśniona, że to nie my... - zacząłem.

- Daj spokój - przerwał. - Słyszałem rozmowę, nie będę ci mówił kogo z kim, sam się domyśl. Nawet jak byście pozdawali, to i tak będziecie musieli odejść z uczelni. - To jest jedyne ustępstwo, że was po prostu nie wyrzucą.

- No tak, tylko co ja mogę zrobić? Przecież nigdzie nie mogę pójść bez zaliczonego pierwszego roku - powiedziałem.

- Nic ci na to nie poradzę. Mogę ci tylko życzyć powodzenia - dodał ze współczuciem. - Trzymaj się! - rzucił na odchodne.

Poczułem się nijak. Żadnego punktu oparcia, żadnej koncepcji, co dalej. Powlokłem się do akademika, analizując całą sytuację. Jakie miałem pole manewru - praktycznie żadne. Założmy, że pójdę pracować do WSK na odlewnię, tam reklamowali od wojska. W przyszłym roku będę zdawał gdzieś na studia i się dostanę. Ponieważ będzie to moje drugie podejście, więc nie będę miał prawa być reklamowany od armii i jak amen w pacierzu dostanę „bilet” i urlop dziekański na dwa lata. W WKU tylko czekali na takich. W Rzeszowie

w tamtych czasach była to nagminna praktyka. Pomijając, że do wojska bardzo mi się nie uśmiechało, to arytmetyka była prosta: jestem opóźniony w stosunku do rówieśników, jeśli chodzi o edukację i start życiowy o pięć lat. Rok dłużej w szkole średniej, bo technikum, rok studiów, rok pracy i dwa lata wojska... i jestem dalej w punkcie wyjścia. Postanowiłem pójść następnego dnia do WKU, żeby wybać sprawę. Dowiedziałem się, że jest nabór do szkoły chorążych na pilotaż śmigłowców.

- Niech będzie i szkoła chorążych, byleby tylko latać... - pomyślałem.

Dostałem skierowanie na badania lekarskie i oto właśnie siedzę w autobusie, jadąc do Dębina na spotkanie nieznane. Po przyjeździe okazało się, że jednak mogę starać się o przyjęcie na pilotaż samolotów odrzutowych, na „rury” jak to się w żargonie nazywało. Mam prawie zaliczony cały rok studiów, więc może to być potraktowane jako egzamin wstępny. Warunkiem jest oczywiście pozytywny wynik badań lotniczo-lekarskich. Wszystko było w jak najlepszym porządku, aż do okulisty. Tu się okazało, że mam „ukrytą krótkowzroczność lewego oka”. Nie bardzo wiedziałem, co to znaczy, bo to raczej moje prawe oko było słabsze, ale wiedziałem jakie są tego konsekwencje - niezdolny.

Teraz sytuacja zaczynała być naprawdę nieciekawa. Czułem, że zaczynam wpadać do narożnika. Już się wojsku ujawniłem i jak nic kamasje zbliżają się wielkimi krokami. Szedłem ze szpitala, kombinując co tu jeszcze można by zrobić.

- Cześć, a co ty tutaj robisz? - wyrwał mnie z zamyślenia dziewczęcy głos.

Odwrociłem głowę. Z tyłu doganiała mnie Małgosia Białowąs, koleżanka z Aeroklubu Lubelskiego, gdzie stawiałem swoje pierwsze kroki na szybowcach. Mieszkała w Dęblinie, teraz sobie przypominałem. Jej ojciec pracował w WOSL.

- Ledwie cię poznałam - dodała, podchodząc.

- Staram się do WOSL, ale z miernym jak dotąd skutkiem - odpowiedziałem z kwaśną miną.

- Ale przecież z tego, co wiem to jesteś w Rzeszowie i...

- Byłem w Rzeszowie, chociaż właściwie jeszcze jestem - przerwałem jej w pół zdania - ale dni moje są tam już policzone - i słowo po słowie opowiedziałem jej w skrócie całą moją historię.

- Wiesz co? Niczego ci nie obiecuję, ale tak się składa, że mój ojciec jest szefem komisji rekrutacyjnej i porozmawiam z nim dziś wieczorem. Spotkajmy się jutro rano to powiem ci, co załatwiłam. - Pa, a teraz muszę lecieć, bo jestem umówiona ze znajomymi. - I już jej nie było. Nadzieja zaczęła wstępować w moje mocno wątpiące serce.

Następnego ranka prawie skoro świt czekałem przed gabinetem pułkownika Białowąsa. Pojawił się około wpół do ósmej i widocznie Małgosia nie zasypiała wczoraj gruszek w popiele, bo po usłyszeniu nazwiska, okrążył gestem zaprosił mnie do środka.

- Sprawa wygląda tak... - powiedział, zając miejsce za biurkiem. - Z tymi wynikami badań, które masz mógłbyś się dostać na śmigłowce, ale szkopał w tym, że tam nie ma miejsc. Pozostać jeszcze nawigacja, ale tam też nie ma miejsc - dodał, unikając mojego wzroku.

- Więc, co mam robić? - zapytałem.

- Jedź do domu i czekaj na wiadomość. Ja tu tymczasem się rozejrzę i zobaczę, co da się zrobić. To, niestety, nie zależy ode mnie. Dam ci znać jak będę wiedział coś bardziej konkretnego.

Mimo swoich dwudziestu lat, na tyle już poznałem życie, aby wiedzieć, że tak brzmi kulturalnie odpowiedź: „bujaj się synek i daj mi święty spokój, mam ważniejsze sprawy na głowie”. Wyszedłem zrezygnowany, licząc, że dowiem się czegoś bardziej konkretnego od Małgosi.

- Musisz ojcu siedzieć na głowie i absolutnie nigdzie nie wyjeżdżaj - powiedziała, jak tylko usłyszała o tym, co wskórałem.

- Ja ze swojej strony razem z mamą też go będziemy zmiękczać. Musi się dać coś zrobić.

- Ale czy ty na pewno chcesz iść do tego WOSL-u? - popatrzyła na mnie podejrzliwie. - O ile pamiętam, to raczej o wojsku nie wyrażałeś się ze specjalną atencją. Cóż ci się tak światopogląd zmienił? - dodała z przekąsem.

- Jak się nie ma co się lubi to się lubi co się ma - odrzekłem „filozoficznie”.

- A tak konkretnie, to sprawa wygląda tak... - wtajemniczyłem ją w swoje przemyślenia.

- Właściwie, to teoretycznie masz rację, trzeba więc sprawę kontynuować.

Sprawę „kontynuowaliśmy” przez następne dwa dni. Scenariusz był prozaiczny. Gośka wraz z

mamą czesała głowę panu pułkownikowi w domu wieczorem, a ja przejmowałem pałeczkę rano, wychekując przed gabinetem na jego pojawienie się. I mimo, że padało co rano niezmiennie zdanie, że nic jeszcze nie wiadomo, to ja z uporem maniaka powtarzałem, że nie szkodzi... poczekam. W domu i tak nie mam nic do roboty.

- Co za ironia losu - myślałem sobie. Broń się przed wojskiem, chcę iść do wojska. Prawie jak u Mrożka. Tylko co Mrozek wie o wojsku?

Pan pułkownik unikał mnie konsekwentnie, ale na trzeci dzień nie wytrzymał.

- Chłopie, o co ci chodzi? - rzucił z rezygnacją, kładąc teczkę na biurku, kiedy po raz kolejny powitałem go przed gabinetem, jak zwykle z samego rana.

- Panie pułkowniku - naszło mnie olśnienie - a gdybym tak mógł powtórzyć badania. Ja nigdy nie miałem problemów ze wzrokiem, przechodziłem badania rok temu w Dęblinie i wszystko było w porządku. Poza tym latam od trzech lat na szybowcach i zawsze wszystko było w porządku, więc może jakaś chwilowa niedyspozycja? Przecież tam jest napisane, że to ukryta krótkowzroczność, więc może...

- Masz jakieś dokumenty, że latasz na szybowcach? - przerwał.

- Oczywiście, oto cała buchalteria - z nadzieją szybko wyciągałem dowody moich „przewag” lotniczych.

Przejrzał szybko. Nie było tego wiele. Jakież 60 godzin na szybowcach, ale mi wydawało się strasznie ważne te 60 godzin. Uczepiłem się tego z nadzieją, jak tonący brzytwy. Rzucił okiem na te moje 60 godzin, a w moje serce wstąpiła krucho nadzieja.

- Zbieraj się... idziemy! - powiedział, oddając mi dokumenty i nakładając czapkę.

Ruszyliśmy do szpitala. Z budynku wydziału szkolenia to kawałek drogi. Idąc, nie odezwał się ani słowem, ale widziałem, że nad czymś intensywnie myślał. W szpitalu kazał mi usiąść w poczekalni, a sam ruszył do sekretariatu komisji lotniczo-lekarskiej. Po chwili wyszedł z teczką, w której była moja karta badań. Skinął na mnie, abym poszedł za nim. Przed gabinetem okulisty, bo tam poszliśmy, miałem usiąść i czekać. Okulistą był dr Rękas, człowiek o cokolwiek kontrower-

syjnych zachowaniach. Chciałem wiedzieć, co się tam dzieje i przyłożyłem ucho do drzwi. Niby nieładnie podsłuchiwać, ale w końcu ważyły się moje losy...

- Słuchaj Edziu - usłyszałem przez drzwi, kiedy obaj panowie się już przywitani. - Mam tu akta jednego młodego człowieka, który chce się koniecznie dostać do WOSL, ale, niestety, u ciebie nie przeszedł i jest problem. On coś tam latał na szybowcach, poza tym badał się w tamtym roku i u ciebie był wtedy zdolny, a teraz coś tam ci nie pasowało. Rzuć okiem z łaski swojej - i podsunął mi moją teczkę.

- No tak - zamruczał tamten, popatrzysz na wyniki - ale on jest niezdolny.

- I właśnie w tej sprawie przychodzę, czy to go definitywnie skreśla? Nie znam się na medycynie, ale tu jest napisane, że to jest ukryta krótkowzroczność. Czy to go definitywnie skreśla?

- Właściwie to nie, tylko, że to może się uaktywnić w przyszłości i wtedy...

- To napisz mu, że jest zdolny - przerwał pułkownik w pół zdania.

- Zaraz, zaraz - zachnął się lekarz - a jeśli za rok na badaniach okaże się, że faktycznie coś z tym okiem jest nie tak, to co wtedy? Poza tym tu są już akta i nic nie mogę...

- To były akta - usłyszałem, jak pułkownik drze moją kartę badań. - Tu masz nową kartę. Napisz, że zdolny. Resztę badań powtórzy, a jak się okaże, że faktycznie coś mu dolega z tym okiem, to go za rok spiszesz. I niech to będę miał wreszcie z głowy - ciężko westchnął. A ja oczami wyobraźni widziałem, jak ociera pot z czoła.

- A co to jakaś twoja rodzina, że tak za tym chodzisz? - pytał Rękas, wypełniając jednocześnie kolejne rubryki mojej nowej karty.

- Gorzej - z rezygnacją w głosie odpowiedział pułkownik - to kolega mojej córki. Mówię ci... od trzech dni mam krzyż pański. W domu na zmianę stara z młodą godzinami suszą mi głowę. A ten skoro świt czeka na mnie przed gabinetem i łązi potem krok w krok. Mówię ci, urwanie głowy.

Za chwilę panowie się pożegnali, a ja odskoczyłem od drzwi i ze zbolą miną spojrzałem na wychodzącego pułkownika.

- Tu masz swoją teczkę, tam jest nowa karta... Idź i powtórz resztę badań. Okulista uwierzył

mi na słowo. Mam nadzieję, że resztę przejdiesz z wynikiem pozytywnym.

- Dziękuję, panie pułkowniku, bardzo dziękuję. Nawet pan nie wie, jak bardzo mi pan pomógł. - Nie bardzo wiedziałem, jak mam wyrazić swoją wdzięczność.

- To nie mnie dziękuj... W każdym razie żyć ci powodzenia. - Uściśnął mi dłoń i oddalił się szybko.

Reszta badań poszła mi, o dziwo bardzo sprawnie i - co najważniejsze - pomyślnie. Był tylko jeden szkopuł: aparat do robienia elektroencefalografu, czyli popularnego EEG był uszkodzony i tego badania nie mogłem wykonać. Miałem zgłosić się na nie w późniejszym terminie, jak tylko usprawnią urządzenie. Wróciłem do Rzeszowa, aby zamknąć wszystkie swoje sprawy. Był już październik, ale okres unitarny przed pierwszym rokiem w Dęblinie rozpoczynał się dopiero w listopadzie. Zostałem skreślony z listy studentów Wydziału Mechanicznego Politechniki Rzeszowskiej oficjalnie z powodu niestawienia się na egzamin komisyjny z mechaniki technicznej. Tak więc rozpoczynałem studia na Wyższej Szkole Inżynierskiej, a skreślony zostałem z Politechniki... też pięknie.

Waleutowałem kątem u kolegów i ogólnie zbijałem baki. Do domu specjalnie nie chciało mi się jechać, rodzice nie mieli w ogóle pojęcia, że nie jestem już studentem. Kompletowałem brakujące dokumenty, a jednym z nich była opinia z poprzedniego miejsca nauki. Poszedłem więc któregoś dnia do mojego byłego opiekuna roku. Ten zrobił wielkie oczy.

- Panie, ja pana na oczy w życiu nie widziałem! - usłyszałem. - Napisz pan coś tam, a ja panu to podpiszę i z tym pójdzie pan do dziekana.

Nasmarowałem „coś tam” i z podpisem pana doktora poszedłem szukać pana dziekana. Zastałem go wychodzącego właśnie z gabinetu.

- Panie docencie, mogę prosić o podpisanie opinii? - podsunąłem mu arkusz papieru.

- Panie! Opinia na takim świstku? Chodźmy do sekretarki, niech to porządnie przepisze na maszynie. Niech to jakoś wygląda. Cofnął się do gabinetu. Wszedłem za nim, domykając drzwi.

- Pani Krysiu, niech pani z łaski swojej tak szybko to przepisze na maszynie. - W tym mo-

mentcie otworzyły się drzwi sąsiedniego gabinetu i wyrzła z nich doc. Kalita. Mieli gabinety obok siebie ze wspólnym sekretariatem.

- Panie docencie, mogę na chwileczkę? - zwrócił się do dziekana.

- Zaraz, tylko podpiszę opinię temu młodemu człowiekowi - odparł tamten, biorąc arkusz papieru od sekretarki.

- Opinię? - rzekł powoli Kalita i dodał przeciągle, patrząc na mnie. - A mogę na to rzucić okiem?

- Oczywiście, proszę bardzo - dziekan podał mu papier.

Nogi się pode mną ugięły...

- A to się narobiło - pomyślałem - że też tego diabli nadali, teraz to mi dopiero dowali. Pan docent przemknął wzrokiem po zdawkowych paru zdaniach, oddał arkusz dziekanowi i patrząc mi w oczy, powiedział:

- Cóż, młody człowieku, nie będę ci rzucał kłód pod nogi. Idź, studiuj czy tam rób cokolwiek i mam nadzieję, że nasze drogi się już więcej nie spotkają.

Wziąłem podpisany arkusz i wychodząc, rzuciłem mu w twarz:

- Jeszcze raz panu oświadczam: nie myśmy to zrobili i przez pana trzech ludzi niewinnie wyleciało ze studiów.

Po latach okazało się, że pan docent dowiedział się, że to nie my byliśmy sprawcami tego całego zdarzenia, ale o tym będzie w odpowiednim czasie.

Odwrociłem się i wyszedłem, nie mówiąc nawet do widzenia.

Pożegnania z kolegami były huczne i trwały długo. Cały czas czekałem na wiadomość, kiedy mogę zrobić brakujące badanie EEG, ale, niestety, aparat nie był sprawny i tak nadszedł 4 listopada, kiedy miałem stawić się w Dęblinie. Wyruszyłem wczesnym rankiem i do bramy WOSL dotarłem ok. godz. 12.00. Tam dowiedziałem się, że ponieważ mam niedokończone badania, nie mogą przyjąć mnie na pilotaż, ale na nawigację i zaraz po skończonym okresie unitarnym zrobię brakujące badanie i zostanie przeniesiony na „lotkę”.

Unitarka, czyli w wojsku nie jest źle

Po wszystkich wstępnych formalnościach zapakowano nas do autobusu i pojechaliśmy do Podlódowa, gdzie mieliśmy z cywili przekształcić się w żołnierzy. Podlódów to lotnisko polowe ok. 40 km od Dębłina, trochę w bok od szosy na Kock. Ot, trochę równego pola porośniętego trawą, otoczonego lasem i z paroma barakami, które miały nam służyć za tymczasowe miejsca zakwaterowania. Po przyjeździe pierwsze kroki skierowaliśmy do fryzjera. Ja byłem dość krótko ostrzyżony. Tak mi się wydawało, ale to tylko mi się wydawało. Wojskowa „moda” i fryzjer byli zdecydowanie innego zdania. Z żalem patrzyłem jak pod ciosami maszyny spada reszta włosów i tak już krótkich. A był to rok 1974, kiedy to w najlepsze panowała moda na „hipieja” i nawet dużo starsi od nas nosili włosy o wiele dłuższe niż przewidywał to wojskowy regulamin. Zresztą przez cały okres WOSL był to główny punkt zadrażnień z przełożonymi. Goniono za to strasznie, a na tle cywilnej części społeczeństwa wyróżnialiśmy się na odległość. Dowcip już chyba z bardzo długą brodą:

- Jak strzyżemy? - pyta fryzjer - pod berecik czy pod hełm?

Delikwent przeprowadza szybką kalkulację myślową. Zdaje się, że hełm chyba trochę więcej zasłania niż berecik, to chyba oczywiste.

- Pod hełm - odpowiada zdecydowanie.

- Proszę bardzo - fryzjer stawia hełm denkiem na głowie delikwenta i bierze się do dzieła.

Potem była przepisowa łaźnia i magazyn mundurowy. Dostałem zielone ubranko, nowe buty, które szybko okazały się przekleństwem i tak „odszytowany” poszedłem na swój pierwszy, wojskowy obiadek. Część z kolegów była już tu od dwóch dni i uważała się za „stare” wojsko. Część, tak jak ja, przybyła tu parę godzin temu i podobnie jak ja nie bardzo potrafiła się w tej nowej rzeczywistości znaleźć.

Wyszedłem przed stołówkę, wyciągnąłem papierosa i zacząłem rozglądać się za kimś, od kogo mógłbym odpalić, ponieważ moje zapaliki gdzieś przepadły. Obok mnie stał niewielkiego wzrostu, palący papierosa podchorąży.

- Mogę prosić o ogień? - zwróciłem się do niego. Reakcja była natychmiastowa:

- Jak wy, żołnierzu do kaprała się odzywa- cie!!! - wydarł się mały.

Teraz dopiero zauważyłem, że faktycznie ma dwie belki. Wiedziałem też, że dowódcami drużyn są kadeci ze szkoły chorążych, którzy po pierwszym roku mają praktykę dowódczą. Stosunki w Dęblinie były inne niż w „normalnym” wojsku. Regulaminowe formy zależności były tam zredukowane do minimum. Tym się zresztą Dęblin szczycił, że nigdy, jak i zresztą w całym lotnictwie i tak było od zarania, nie udało się narzucić bezdusznego drylu wojskowego. Byłem więc nieco zdziwiony reakcją kaprała... w końcu to przecież jeden z nas.

- Słuchaj - wzruszyłem ramionami - ja tu jestem od godziny i jeszcze się na stopniach wojskowych nie znam.

- Baczność, żołnierzu!!! - wrzeszczał kurdupel. - Ja was zaraz nauczę, jak należy się zwracać do starszych stopniem!!!

- Dookoła stołówki biegieem marsz!!! - wywrzeszczał.

Chciało mi się śmiać - wyglądał naprawdę pociesznie. - A poza tym, co on mi może zrobić? - pomyślałem.

- Słuchaj - powiedziałem do pieklącego się kurdupla. - Nie, to nie... gdzie indziej znajdę.

Odwrociłem się na pięcie i odszedłem, zostawiając małego, który zamilkł i zaskoczony wybałuszył na mnie oczy. Nowi koledzy uśmiechnęli się tylko, a ja spokojnie odpaliłem od kogos, wrzeszczając przy tym ramionami. Moja wyobraźnia nawet nie przewidywała, jak bogaty może być repertuar działań, które mogą pokazać żołnierzowi, gdzie jest jego miejsce w szyku i co to znaczy słowo „kaprał”.

Mój spokój nie trwał bardzo długo, powiem więcej - nie trwał nawet długo. Po kolacji i obowiązkowych Wiadomościach w TV poszliśmy spać. Nie minęło jednak pół godziny, jak na sali zapaliło się światło. W drzwiach stał mały z wysoko trzymany- mi w rękę butami i pytaniem:

- Czyje to???

Pytanie było zgoła retoryczne, ponieważ zgodnie ze zwyczajem, każdy buty miał podpisa- ne, jako że odróżnić je od siebie było niemożliwe.

Stroskanym wzrokiem popatrzył na cho- lewkę...

- Rybczyński, który to?

Próbował udąć zdziwionego, kiedy przyznałem się do nazwiska.

- Aaa... to wy, żołnierzu. Widzę, że mamusia bucików czyścić nie nauczyła.

Gramoliłem się powoli z wojskowego łóżka, nie bardzo do końca wiedząc, o co mu chodzi.

- Przecież wyczyszczone - usiłowałem wdać się w polemikę z matym.

- Jakie k... wyczyszczone!!! - wydarł się - a pod spodem to cooo!!!!???

Teraz to już wątpliwości nie było. Wyciągnął mnie na korytarz i pokazał równo ustawiony szereg butów.

- Dla praktyki i ćwiczenia mają wszystkie się świecić!!! Jak psu jaja!!! - dodał, żeby nie było wątpliwości.

Co prawda, nigdy nie widziałem, żeby się psu jaja świeciły, ale polecenie wydane „ściśłym, konkretnym i treściwym językiem wojskowym” nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Buty miały się świecić bez względu na to, czy to samo robią psie jaja czy nie. Nie przejąłem się tym zbytnio, bo do takich rzeczy byłem już zaprawiony. W internacie, gdzie zamieszkałem w pierwszej klasie technikum, nie takie rzeczy przeżyłem i to, co mnie spotkało nie wydawało mi się jakimś wielkim doświadczeniem. Ot... w końcu wojsko. Różne rzeczy pewnie się tu jeszcze zdarzą, pomyślałem sobie i wziąłem się za szlifowanie umiejętności czyszczenia, której to - jak wspomniał kapral - nie nauczyła mnie mamusia.

Trochę to czasu trwało, ponieważ butów było 12 par, a moja mamusia faktycznie poczyniła w tej materii duże zaniedbania. Rano byłem cokolwiek niewyspany, a tu, niestety, wstać trzeba. Jakies dzikie biegi z rana, trochę ćwiczeń i w końcu po pół godzinie byliśmy z powrotem w baraku. Mycie, golenie i cały ten rytuał wojskowy zajął nam czas prawie do ósmej, potem śniadanie i zajęcia wojskowe, bo przecież po to tutaj byliśmy, aby ćwiczyć dziarskość, jak to wyraził się jeden z kaprali.

I tak upłynął cały dzień, bez zbytnich sensacji, a wieczorem scenariusz się powtórzył, tylko tym razem buty już nie były powodem troski małego, tylko wpływ rozmiarów kostki, w którą składało się mundur przed pójściem spać, na poziom dyscypliny wojskowej.

Z pieczołowitością zmierzył mój kwadracik i z troską w głosie orzekł, że, niestety... o całe 1.5 cm za dużo.

- Ooo... popatrzcie, żołnierzu, czy to jest 25 cm??? - podsunął mi moje ubranko.

- Widzę, że macie duże braki z geometrią. Będziemy się uczyć.

I znowu pół nocy upłynęło mi na rozkładaniu i układaniu ubranka w regulaminową kostkę, a wszystko to w trosce o zadawalający poziom mojego wyszkolenia ogólnowojskowego, no i oczywiście o utrwalenie wiadomości z geometrii. Sytuacją nie byłem zachwycony, ale cóż było robić, zacisnąć zęby i czekać na lepsze czasy. Te jednak nadejść nie chciały, a wręcz przeciwnie...

Następnej nocy mały sprawdził, czy wojsko regulaminowo przykrywa się kocami. Regulaminowo miało to wyglądać w ten sposób, że spało się bezpośrednio pod prześcieradłem, a na prześcieradło powinno się narzucić jeden lub dwa koce (w zależności od temperatury), które „ojczyzna dała”. Ja jakoś nie mogłem się do tego przekonać i spałem po prostu pod kocami, nie używając w ogóle prześcieradła. Oczywiście, z tym regulaminowym przykrywaniem się to była bzdura, ale mały miał bardzo niskie mniemanie o moim poziomie dyscypliny wojskowej i dlatego chciał mi pokazać, jak wysoce nagannym było moje zachowanie w stosunku do niego pierwszego dnia pobytu w wojsku.

Po stwierdzeniu tego faktu, musiałem wstać, wziąć to nieszczęsne prześcieradło i chodząc od sali do sali, trzymając je w wysoko uniesionych rękach przed sobą, recytować następującą formułkę: „Po to mi szef prześcieradło dał, abym pod nim spał”. Następnie, opuszczając ręce i przyciągając wraz z prześcieradłem do siebie, robiłem głęboki skłon jak artysta na scenie po zakończonym występie i szedłem do następnej sali, prezentując zaskoczonym kolegom ambitny wierszyk, a mały postępował za mną z poważną miną, pilnując, abym nie uronił ani słowa z podyktowanej „poezji”. Trzecia noc z rzędu niedospana, w dzień mowy nie było o tym, aby choć na chwilę zmrużyć oko. Zastanawiałem się jak długo będzie mnie poniewierał ten kurdupeł.

Kiedy zobaczyłem, że zamierza się na mnie po raz czwarty, stwierdziłem, że muszę działać.

W końcu mogę go dopaść po unitarce w Dęblinie i spuścić mu manto - pomyślałem sobie - w końcu to kadet i na pewno go znajdę. Tylko ile mnie jeszcze to będzie zdrowia kosztowało? Trzeba coś z tym zrobić. Koledzy byli zresztą tego samego zdania. Wieczorem, po kolacji udało mi się go dopaść na osobności. Zaczął znowu - Żołnierzu!!! Nie dałem mu dojść do słowa. Złapałem go za kłapy... sięgał mi do ramienia...

- Słuchaj ty mały sk... - wysyczałem mu w twarz, mocno go trzymając - Ja to wszystko przetrzymam, bo mam czarne podniebienie, ale jak wrócimy do Dębina to po prostu nie żyjesz, ty gnido...

Puściłem go i - odwracając się, aby odejść - splunąłem, nadając temu, co powiedziałem więcej wiarygodności. Nie było żadnej reakcji, był zaskoczony. Następnego dnia wyraźnie mnie unikał, a ja specjalnie mu nie wchodziłem w drogę. Nie podjął wyzywania. Kiedyś, już pod koniec unitarki wybąkał coś w rodzaju przeprosin i zaczął mi tłumaczyć, że to tylko tak dla zabawy, bo inaczej to byśmy w ogóle nie wiedzieli, co to jest wojsko. W tym akurat względzie, jak się później okazało, to miał całkowitą rację. Oczywiście życie mu „podarowałem”, a nawet później, jak pamiętam nasze stosunki były całkiem przyzwoite.

Cała unitarka przebiegła w miarę spokojnie i bez jakichś szczególnych wydarzeń. Oczywiście, swoje musieliśmy przejść, aby osiągnąć odpowiednią „dziarskość wojskową”. Kiedyś, pamiętam, na ćwiczeniach z taktyki szef kompanii po zaordynowaniu standardowego ćwiczenia typu okopywanie się do pozycji stojąc, kiedy zasypaliśmy już nasze „dzieła” i wracaliśmy do koszar, dołożył jeszcze wojnę totalną typu „wybuch jądrowy z lewa, karabiny maszynowe z prawa, ostrzał artyleryjski”. Po każdej takiej komendzie trzeba było paść na ziemię bez względu na to, gdzie się stało albo biec jak oszalały z językiem na brodzie, w stronę wymyślanego przeciwnika. A był listopad i ziemia przeważnie była mocno nasiąknięta, więc po kilku takich ćwiczeniach mieliśmy dość, a wyglądaliśmy jak nieboskie stworzenia. Sławek Muraszkowski, zwany „Mrówą”, podczas któregoś tam z rzędu „wybuchu” nie upadł tylko stał spokojnie z opuszczonym karabinem.

- Co jest!!! - zagrzmiał szef. - Nie słyszałeś komendy???

- Słyszałem - odpowiedział - ale ja się, szefie, poddaję.

Towarzystwo zawyło z uciechy. Szef dał nam wreszcie spokój, bo co miał zrobić. Zakomenderował tylko „prawoskrzydłowy płyta” i powoli pomaszerowaliśmy dalej, ćwicząc przy okazji umiejętności chóralnego śpiewu. Kiedy dochodziliśmy do baraków, zauważyliśmy jakiś ruch między nimi. Okazało się, że przyjechała komisja z Dębina i patrzyła na nas podejrzliwie, bo faktycznie wyjściowo nie wyglądaliśmy. Był to ktoś z kwatermistrzostwa. W końcu jakiś major, od razu widać, że kwatermistrz, bo dobrze wyglądał, który bacznie nam się przyglądał nie wytrzymał:

- Co to wojsko, sierżancie takie brudne? - zapytał z wyraźnym niesmakiem.

- No... na zajęciach z taktyki byliśmy... w polu.

- Ale czemu mają takie brudne spodnie, kolana?

- Trochę się czołgali, ćwiczyli падanie.

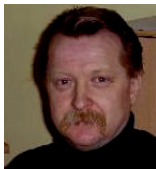
- Ale jak to się czołgali? Na kolanach??? - twarz majora wyrażała wielkie zdumienie...

W końcu nadszedł dzień przysięgi. Zjawili się moi rodzice, którym musiałem wytłumaczyć jak i skąd tu się wziąłem. Uroczystość była podniosła i muszę powiedzieć, że zrobiło to na mnie wrażenie. Po uroczystości była druga uroczystość, z rodziną, też podniosła i też zrobiła na mnie wrażenie... tylko inne, ale jakże wyrażne. Zresztą reszta kolegów była pod wrażeniem również, może nawet bardziej niż ja. Ale cóż, taka to wtedy była tradycja. Dowódca kompanii, kpt Politowski patrzył z niesmakiem na falujący szereg, kiedy zarządził zbiórkę po odjeździe rodzin. Teraz już byłem oficjalnie szeregowym podchorążym...

*pilot jumbo jeta kpt Marian Rybczyński
cdn.*

Henryk Sieńko

Start 1944 Krasnystaw Część X



1999-2010 Granie pod presją

Wiosenna runda rozgrywek sezonu 1999/2000 wypadła nader okazale w kwestii emocji, jakie czekały kibiców i działaczy. Start liderował rozgrywkom V ligi zdecydowanie, mając 7 punktów przewagi nad ChKS-em Chełm. Piłkarze trenera Janusza Zaworskiego radzili sobie doskonale, ale przewaga punktowa nad ChKS-em topniała. Największą sensacją był remis z Unią Rejowiec (1:1) w meczu rozegranym w anormalnych warunkach pogodowych, na błotnistym boisku. Wroński strzelił karnego na 1:0 i później Start miał wiele szans na 2:0. Niestety, rewelacyjnie, wręcz bajecznie bronił Studziński. W końcu gospodarze wyrównali i „urwali” nam dwa bezcenne punkty. Cieszyliśmy się z remisu. Niemniej zarówno trener, jak i piłkarze obawiali się mobilizacji każdego przeciwnika przed pojedynkiem ze Startem, w myśl hasła „bij mistrza”. Zawsze to fajnie wpisać do historii klubu proste słowa: „Start awansował, ale my urwaliśmy im wtedy punkty!”. Później Start przegrał w Chełmie z ChKS-em 1:3, przewaga stopniała jeszcze bardziej. Co to był za mecz!? Kryk w 15 minucie otworzył wynik i sensacja wisiała na włosku. W 60 minucie było już 1:1. Oczywiście, z rzutu karnego! Egzekutorem był Łobaczuk. Później „swoje trzy grosze” czyli dwie bramki dołożyli dla ChKS-u bracia Andrzej i Ireneusz Burowie, wychowankowie Ruchu Izbica. Mecz zakończył się kłótnią pod szatnią stadionu w Chełmie i oskarżeniami o fingoowanie wyników.

Wzrosły więc obawy o działania pozaboiskowe. Ich szczytem było spotkanie ChKS - Włodawianka w Chełmie. Oglądała je grupa kibiców z Krasnegostawu. Zresztą, nawet kibice z Chełma dziwili się niektórym decyzjom arbitra. Oto Włodawianka wyrównała w 35 minucie na 1:1 i miała wielką szansę na objęcie prowadzenia. Sensacja z każdą minutą zbliżała się do wielkiego finału. Jednak sędzia podyktował karniaka „z kapelusza”

i goście się rozkleili. Nie wierzyli, że wygrają z dwunastoma przeciwnikami i to na ich terenie.

- Dwa karniaki w dwóch najważniejszych meczach sezonu, w dwóch najważniejszych momentach gry, gdy wynik ważył o wielkim sukcesie. Niech nikt mi nie kadzi o przypadku! - można było usłyszeć na trybunach. Działacze różnych klubów sprzeciwiali się posunięciom OZPN. Zwołali nawet tajne zebranie. Ostatecznie Start wywalczył awans. Ale ten sukces nie bardzo cieszył miasto Krasnystaw. Klub tonął w długach, a prezesi zmieniali się z szybkością upływających miesięcy, później nawet tygodni i dni.

W Chełmie mogli głądzić w stylu: „Trzeba mierzyć siły na zamiary! W przyszłym roku minie my się - oni spadną, my awansujemy”. Mimo zdecydowanego sukcesu, trener Zaworski zaraz po ostatnim gwizdku kończącym sezon powiedział:

- Trzeba przyznać, że do IV ligi nie jesteśmy przygotowani organizacyjnie. W trakcie rozgrywek w V lidze wykruszył się zarząd, a w pewnym momencie w Krasnymstawie interesowało się piłką zaledwie kilka osób. Władze lokalne uwierzyły w nas dopiero, kiedy awans stał się praktycznie faktem.

Największym majątkiem w tym momencie byli sami piłkarze, którzy wykazali fantastyczną cierpliwość i wielką odporność psychiczną. W dwudziestoosobowej kadrze było 9 studentów, którzy na mecze dojeżdżali z odległych miast, nawet z Łodzi. Przyjeżdżali, choć nie mieli pewności, czy akurat zagrają w pierwszym składzie. Przeciętna wieku Startu wyniosła 22,9 lat. W 28 spotkaniach Start zdobył 77 punktów i stosunek bramek 97:19. Ustanowił też rekord zwycięstw u siebie - 14 spotkań i 14 zwycięstw, między innymi efektowne 5:2 z zawsze groźną Włodawianką (Kryk 2, Tubilewicz 2 i Wroński). Chełmianka była o 2 punkty gorsza, choć różnica goli była w jej przypadku korzystniejsza 114:24.

Jak to często bywa, sukces jest pierwszym etapem ku degrengoladzie zespołu. Zarząd miasta nie wywiązał się z ustnej umowy z Zarządem klubu co do warunków finansowania drużyny w IV lidze. Prezes klubu Zygmunt Kapuścik i wiceprezes Krzysztof Rogowski usiłowali szukać pieniędzy, ale okazało się to za trudne. Pojawiały się nowe problemy. Tak więc przed rozpoczęciem rozgrywek IV ligi w klubie nie było hurra radości i pewności co

do nawiązania walki o ligowy byt. Była natomiast wiara w młodzińczy wigor i talent chłopców Zaworskiego.

Sierpień. Runda jesienna. Awans Startu do IV ligi postawił przed działaczami nowe wyzwania. Zarząd klubu „spróbował” ogranej w różnych zespołach sztuczki. Aby wzmocnić do maksimum szansę utrzymania się w lidze, sprowadzono piłkarzy z Hetmana Zamość, oczywiście tych, którzy nie mieli miejsca w pierwszej jedenastce. Zresztą czasem nawet nie grywali w rezerwach. Chodziło o podbudowę psychiczną. Malowany, Blonka i Kendra mieli stanowić o grze drużyny i kreować jej nowe oblicze.



Paweł Kryk w pewnym momencie kariery strzelał gola za golem.

Wśród przeciwników Startu starzy znajomi z różnych okresów historii klubu: Avia Świdnik, Tomaszovia Tomaszów, Unia Hrubieszów, Stal Kraśnik, Motor Lublin (teraz, po różnych przejściach LKP Motor), Wisła Puławy, Orleńscy Łuków, Dwernicki Stoczek Łukowski, Orleńscy Radzyń, Górnik II Łęczna, Korona Łaszczów, Victoria Łukowa Chmielek, Garbarnia Kurów, Granica Lubycza Królewska, Legion Tomaszowice, Podlasie Biała Podlaska. Niektóre z tych drużyn w międzyczasie przybrały zupełnie egzotyczne nazwy, a chodziło o pieniądze. Tak jak wszędzie, sponsor chciał mieć w nazwie swój człon. Prześmiewców najbardziej „cieszyła” nazwa Podlasie Solar SAS Biała Podlaska. Wśród kadr poszczególnych drużyn aż roiło się od piłkarzy z II-ligowym, a nawet I-ligowym stażem. Nie radka, Sajdak, Wasilewski, Basiński, Teodorowicz,

Bender, Banaszek, Bronowicki - to tylko pierwsi z galerii ligowców. Ciekawostką mógł być fakt, że szykowała się interesująca konfrontacja. W meczu Avia Świdnik - Start Krasnystaw mogło dojść do walki braci Krzysztofa i Mirka Basińskich. Ciekawe - jak wychodzi się na taki mecz z jednego domu?

Tylko IV liga. I pomyśleć, że w latach 60. w takim składzie grała okręgówka (III liga), z której w barażach można było wywalczyć nawet II ligę. Na pierwszy mecz beniaminek pojechał do Puław. Akurat oddawano tam do użytku oświetlenie w wymiarze 800 luksów, toteż była okazja zagrania przy sztucznym świetle, a także pod okiem elity kierującej Okręgowym Związkiem Piłkarskim na czele z Marianem Rapą, prezesem LZPN. Niestety, Start okazał się być tego dnia tłem wszelkich okolicznościowych uroczystości. Piłkarze przegrali 0:3. Pocieszeniem był jedynie fakt, że Mirosław Banaszak strzelił gola europejskiej urody. Dośrodkowanie z rzutu wolnego, lot piłki przez kilkadziesiąt metrów, strącenie piłki przed pole karne i wolej a'la Ronaldo z 18 metrów w okienko.... Bramkarz Wróbel był bez szans.



Mariusz Wróbel

Spośród pierwszych dziewięciu spotkań, Start wygrał jedno - z Garbarnią Kurów 3:0 (Moniakowski, Wroński, Majewski) i raz zremisował 2:2 z Granicą Lubycza Królewska (Kryk i Moniakowski). Wydaje się, że kluczowym momentem w ujęciu psychologicznym tej fazy rozgrywek była porażka w Łukowie z silnym zespołem Orląt 2:3, pomimo prowadzenia 2:0. Start stracił kontakt punktowy z bezpośrednimi rywalami. Młodzież nie wytrzymała psychicznie poszczególnych, coraz trudniejszych meczy. W dodatku trwały wewnętrzne tarcia w klubie związane z efektami awansu. Miasto nie wywiązało się z umowy z działaczami, odmawiając pomocy. A gra w IV lidze wymagała już sporych nakładów finansowych, nawet jeśli było to oficjalnie amatorstwo. - Naprawdę, sami nie wiemy, jak czują się piłkarze Startu, wiedząc, że są lepsi od ChKS-u, który swoimi załatwia pracę, płaci pensje, honoraria za punkty, itp. - Działacze poczuliby tak samo, jak piłkarze. Im obiecano pomoc, a oni obiecali zawodnikom... Wyszła z tego kłapa. Piłkarze stanęli jednak na wysokości zadania i grali.

Wejście w nowy wiek

W lutym grupa działaczy podjęła próbę ratowania Startu. Z funkcji prezesa zrezygnował zastępca burmistrza Andrzej Kmicic, który sprawował ją zaledwie przez dwa miesiące. - Noo, jeśli burmistrz nie potrafi uzdrowić sytuacji finansowej klubu, to kto zechce spróbować?! - dyskutowali kibice. Nikt nie chciał zmierzyć się z trudem ratowania klubu. Groził mu kompletny paraliż, mówiło się nawet - o zgrozo! - o wycofaniu z rozgrywek.

Wówczas to wiceprezes klubu i dyrektor MOSiR-u Szczepan Olchowski poprosił o pomoc Sławomira Kamińskiego, pracownika Wydziału Oświaty, Zdrowia i Kultury Fizycznej Starostwa Powiatowego. W tym momencie dług klubu wobec samego ZUS-u wynosił 45 tysięcy.

Wiosna... Mijanka z ChKS-em dokonała się na koniec rundy wiosennej. A meczy Startu nie relacjonował nawet „Tygodnik Chełmski”. Zespół objął Mirosław Dębski, były piłkarz Startu, Lublinianki i Hetmana. Ale w sytuacji Startu nie pomógłby największy cudotwórca, nawet gdyby to był scenarzysta „Piłkarskiego pokera” Jan Purzycki, albo wielki

David Cooperfield. Trzeba było jedynie z honorem dograć do końca rozgrywek...

Jesienią 2001 Start, spadkowicz z IV ligi, a więc faworyt rozgrywek zanotował falstart. Oto przegrał z beniaminkiem V ligi Zrywem w Gorzkowie 2:3. Sensacja była faktem, ale już wcześniej było wiadomo, że to derby powiatu i walka będzie zażarta, a wynik kwestią szczęścia w danym dniu. No i ten skład Zrywu... Działacze Gorzkowa „dorwali” nieco pieniędzy z gminy i usiłowali zrobić u siebie porządną klub. Sprowadzili z Krasnegostawu kilku starszych zawodników Startu z Kulczyńskim, Sołdeckim i Witkowskim na czele i myśleli zawojować rozgrywki. Wystartowali znakomicie, ale kiedy nadeszły pierwsze spóźnienia w płatnościach (niezłych premii dla „stranieri” z pobliskiego miasteczka), rozpoczęły się schody. Było coraz gorzej i nawet grający trener (świeżo nobilitowany absolwent AWF) Grzegorz Rycyk nie pomógł. W zimowej przerwie wszystko się zawało i Zryw podryfował w kierunku dolnych rejonów tabeli, topiąc wszelkie nadzieje kibiców i działaczy. Rycyk odszedł do Granicy Dorohusk i grając tylko w rundzie wiosennej, wbił dla niej 24 bramki. Po zakończeniu rozgrywek otrzymał ofertę pozostania w IV-ligowej już Granicy, lecz postanowił wrócić do Krasnegostawu, gdzie otrzymał posadę nauczyciela WF. Wznowił też treningi ze Startem.

Nikt mu nie miał za złe, że w walce o IV ligę, w której to walce przez długi czas Start miał nawet szansę awansu, strzelił w meczu Granica Dorohusk - Start 8:0, cztery gole. - Nie ma sprawy, chłopie, bylebyś teraz grał u nas! - kibice szybko docenili jego umiejętności i profesjonalne podejście do futbolu. Co niektórzy przypomnieli pewne lubelskie zdarzenie sprzed lat, kiedy to Motor walczył z Legią o ligowy byt, a Leszek Pisz, wychowanek Legii, a teraz gracz Motoru, odmówił gry w barwach lubelskiego zespołu. Rzekomo nie chciał skupiać na sobie dwuznacznych emocji. Dobrze sobie!

Pamiętacie mecz Juventus - Sampdoria w latach 80. i pomocnika Juve Liama Brady'ego? Miał już kontrakt z Sampdorią w kieszeni, a grał nadal w Juve. Ostatni mecz pomiędzy zainteresowanymi klubami decydował o mistrzostwie Włoch. Jest 0:0 i karny dla Juve. Etatowy strzelec karnych Brady, nie miał litości dla przyszłego kolegi klubowego. Karny, mistrzostwo Włoch i... odejście do Sampdorii. To jest prawdziwy piłkarz!



Grzegorz Rycyk

- Przyjdzie czas, że Grzesiek wbije gole Dorohuskowi, może to być na przykład w IV lidze, trzeba tylko awansować - miłośnicy piłki w Krasnymstawie to nie tylko fanatycy, ale i wyrafinowani eksperci. Potrafią docenić nieuchronność pewnych sportowych zdarzeń. Docenić klasę przeciwnika i jego, na szczęście coraz rzadsze, pomysły na pokonanie Startu. Wiosenne sparingi nie zwiastowały wielkiej formy. Remis 3:3 z Bratem Siennica Nadolna, 1:5 z Ostoją Skierbieszów, 2:6 z Hetmanem Żółkiewka.

Pierwszy mecz przyszło rozegrać naszym zawodnikom w Pławanicach. Pogoda sprawiła, że boisko zamieniło się w błotnisty plac budowy, a co niektórzy kibice radzili piłkarzom, aby zakładać walonki, a nie korki. Trener Ciechan obawiał się przypadkowych kontuzji. Tymczasem w błotnistej kipieli nasi radzili sobie rewelacyjnie i po meczu do jednej bramki wygrali 7:0. Cztery gole były „dziełem” Pawła Kryka, pozostałe strzelili: Arkadiusz Mazurek, Dębski i Dobosz.

Mecz z Włodawianką miał dać odpowiedź, czy Start stać jest na miejsce w czołówce. O awansie nie było już mowy, wszak Granica Dorohusk pod wodzą Stanisława Cybulskiego nie traciła punktów.

Start wygrał w Włodawianką w meczu, które zapisują się w historii złotymi zgłoskami. Start przegrywał 0:1, kiedy tuż przed przerwą Arkadiusz Mazurek wyrównał na 1:1. Po przerwie ten sam zawodnik podwyższył na 2:1. Po przerwie goście z Włodawy się po sportowemu „wściekli”, atakowali non-stop, ale życiową połówkę miał tego dnia



Arkadiusz Mazurek

Krzysztof Bodio. Nie dał już sobie wbić bramki. Ten mecz dał naszym przepustkę do wicemistrzostwa sezonu.

Kolejne mecze były popisem Startu: z Saweną Sawin 3:0 (Dębski 2, Bąk), Ogniwnem Wierzbica 2:0 (Moniakowski, Kryk), ChKS II Chełm 3:0 (Dębski, Kryk, Bąk), Unią Rejowiec 4:1 (Bąk 2, Mazurek 2), Vitrum Wola Uhruska 1:0 (Bąk). Bezbramkowy remis w Rejowcu ze Spartą był niczym w porównaniu ze sromotną porażką w Dorohusku (0:8, ach te 4 bramki Rycyka w kilkanaście minut).

- Granica jest poza zasięgiem, bije rekordy strzelonych goli, ale żeby przegrać 0:8? - Kibice Startu nie wierzyli w ten wynik. Tydzień później Start odkuł się, gromiąc Astrę Leśniowice 9:0 (Kryk 4, Kamil Sawa 2, Arkadiusz Mazurek, Dobosz, Korzun). Bramka tego ostatniego śmiało mogła kandydować do miana bramki roku, co zauważył reporter „Tygodnika Chełmskiego”. Paweł Kryk sezon zakończył z 25 golami na koncie.

Świętowano 60-lecie klubu

- Przez dwa lata przygotowujemy drużynę na podjęcie walki o IV ligę - mówił prezes Startu Sławomir Kamiński przed rozpoczęciem kolejnego sezonu. - Na 60-lecie klubu dobrze byłoby wywalczyć awans...

To jeden z lepszych prezesów klubu ostatnich lat. Mniemam, że gdyby miał takie możliwości finansowe jak ChKS Chełmianka, z walką o IV, a może nawet o III ligę nie byłoby problemów.

Jesień 2002 Start rozpoczyna bajecznie. Już w pierwszej minucie spotkania z Hutnikiem w Rudej Hucie (5:0) Grzegorz Rycyk otwiera konto bramkowe. Zalicza jeszcze dwa trafienia i z miejsca zostaje liderem tabeli strzelców. Pozostałe gole też filmowej wartości. Grający trener Marcin Ciechan strzela bramkę po kilkudziesięciometrowym rajdzie, a wynik zostaje ustalony ze strzału samobójczego.

Cała runda należy bezsprzecznie do Rycyka. W meczu z Saweną Sawin (7:0) strzela 3 gole, z ChKS-em (7:0) - 5, kolejno w minutach: 5, 37, 43, 50 i 80. Ogółem w tej rundzie zalicza 24 bramki, co po doliczeniu zdobytych jesienią dla Granicy Dorohusk daje razem 48. Oprócz goli w grach towarzyskich i pucharowych. Lokalna prasa wybiera go „Piłkarzem Roku 2002” w powiecie krasnostawskim.

Start objął prowadzenie w rozgrywkach. - Pozostał jednak niedosyt - ocenił grę po zakończeniu rozgrywek trener Ciechan. - Przegraliśmy z najmocniejszymi rywalami: Włodawianką 0:2, Ogniem Wierzbica 2:4 i Hetmanem Żółkiewka 0:2. Dobrze, że mamy wyrównaną kadrę i nie tracimy frajersko punktów z innymi, tak jak to jest w przypadku Ognia i Hetmana. Fakt. Ale szczególnie zabolęła porażka z Hetmanem Żółkiewka, beniaminkiem rozgrywek. W kolejnych powiatowych derbach (pierwsze to Unia Rejowiec - Start), nasi przegrali u siebie 0:2. Mecz był znakomity: emocje przez 90 minut, ekscyty, krew na boisku, pogotowie... Beniaminek pokonał faworyta taktycznie. Pressing przez cały mecz na całym boisku. To zaskoczyło naszych. Robert Kulik, trener Hetmana, choć tym razem nie zagrał, przechytrzył naszych. Ten stary piłkarski wyga doświadczenie zdobywał na drugoligowych boiskach w barwach Radomia i Hetmana Zamość. I jeszcze ta druga bramka dla Hetmana. Strzał Artura Kopruchy z wolnego w okienko... - Tego dnia na Hetmana nie było mocnych - przyznał obiektywnie trener Ciechan.

Drużyny zagrały w tym meczu w składach: Start: Wróbel, Dobrzyński (Kamil Sawa), Krystian Sawa, Bąk (Czajka), Basiński, Dębski, Kryk, Moniakowski (Arkadiusz Mazurek), Rycyk, Bury, Swatek. Hetman: Znoj, Koprucha, Mazurek (Bańka), Czwońmóg, Jerzy Janda, Tomasz Janda (Margol), Iwanek, Kycko, Hanulak, Kot (Józef Wroński). Symboliczne pięć minut zaliczył w barwach Het-



Marek Moniakowski

mana weteran naszych boisk Józef Wroński, jeszcze kilka miesięcy wcześniej zawodnik i trener Startu Krasnystaw.

Jednak to nie te derby elektryzowały powiat jesienią. W ostatniej kolejce miało dojść do pojedynku Startu z Ruchem Izbica. Kolejnej „świętej wojny”, dwudziestej już którejś z kolei, a z meczami towarzyskimi i sparingami, może i trzydziestej. Nie doszło do nich, bo spadł śnieg. Kolejkę najpierw odłożono, a później przełożono na 23 marca 2003 roku. Wiosną w pierwszym terminie mecz także nie doszedł do skutku, toteż co niektórzy kibice byli zdania, że przy takim pechu, nie wiadomo, czy kiedykolwiek dojdzie do niego. Kiedy wreszcie pewnego kwietniowego czwartku piłkarze wybiegli na boisko w Izbicy, wspomnienia „świętych wojen” przetaczały się wokół boiska, a co bardziej zorganizowani obywatele obu miast, nieopodal boiska wspominali stare czasy przy grillu i piwie. Tego dnia na Start nie było mocnych - wygrał 4:0, a Grzegorz Rycyk zaliczył kolejny już hattrick, przekraczając 30 strzelonych bramek.

Nasi gracze już wcześniej wykazywali niezłą formę, sadowiąc się na pozycji lidera. Grali równo i konsekwentnie, nie tracąc głupich punktów, jak to przydarzyło się Włodawiance, Hetmanowi Żółkiewka (remis 2:2 ze Spartą Rejowiec, 0:0 z Vitrum Wola Uhruska, porażka 0:5 z Włodawianką). Na sześć kolejek przed końcem Start stracił dwa punkty, re-

misując u siebie z wiceliderem Ogniwiem Wierzbica 1:1 (Rycyk). W tym momencie miał 5 punktów przewagi nad rywalem i pewnie zmierzał po awans.

Niewiele też zabrakło, aby dotarł do finału Pucharu Polski na szczęblu okręgu chełmskiego. Po 3:1 (z dogrywką w Białopolu z Unią), biało-niebiescy zmierzili się u siebie z IV-ligową Chełmianką. Był to dziwny mecz. Goście mieli lekką przewagę i Wiącek, czołowy strzelec IV ligi kapitalnym uderzeniem głową zdobył prowadzenie. Wydawało się, że kolejne gole to kwestia czasu. Tymcza-

z funkcji prezesa zrezygnował Sławomir Kamiński i w klubie rządził zarząd z wiceprezesami: Szczepanem Olchowskim, Zdzisławem Lubasiem i Janem Pawelcem na czele. Później działacze zrezygnowali z usług trenera Marcina Ciechana. Nie było zastrzeżeń wobec jego pracy, lecz postanowiono szukać bardziej doświadczonego szkoleniowca. Wybór padł na Jacka Ligenzę z BKS Lublin, który na treningach dawał piłkarzom mocno w kość... Pojawili się też nowi gracze: Dalentka, Josicz i Hołysz z BKS Lublin oraz Czuluk z Unii Rejowiec.



Od prawej: Stanisław Urbankiewicz, Dariusz Harasymiuk, Józef Wroński, Jacek Mazurek, Grzegorz Tubilewicz i Andrzej Gołąbek.

sem w zamieszaniu podbramkowym Mariusz Bąk wyrównał i doszło do dogrywki. Tutaj Wiącek ponownie wyprowadził Chełmiankę na prowadzenie 2:1. I ponownie zrobił to filmową bramką, strzałem z obrotu w okienko świątyni Krzysztofa Bodio. I ponownie Mariusz Bąk wyrównał... Wydawało się, że taki fart będzie towarzyszył nam w rozgrywce na karne. Niestety, nasi przestrelili swoje szanse i mimo, że Bodio obronił jedną jedenastkę, Start przegrał tę rozgrywkę 1:3. W finale zagrały zespoły Chełmianki i Włodawianki. Sensacyjne zwycięstwo odniosła Włodawianka, która w walce o finał województwa lubelskiego uległa Ładzie Biłgoraj.

Awans do IV ligi stał się faktem w zgoła dramatycznych okolicznościach. Oto w Żółkiewce Start miał odegrać się za porażkę 0:2 u siebie. Od początku szło znakomicie - jednak prowadzenie 2:0 uśpiło zespół, a podopieczni Grzegorza Płoszaja (zmienił Roberta Kulika na trenerskim stołku) pod koniec gry ruszyli do szturmu, strzelając naszym 3 gole. Chwilę po zakończeniu spotkania, telefon z meczu Ogniwa Wierzbica i wybuch radości. Najgroźniejszy rywal do awansu stracił punkty i Start jest już czwartoligowcem.

Niestety, jak to zwykle bywa w chwili euforii, rozpoczęły się dziwne ruchy w klubie. Najpierw

W lipcu z Niemiec nadeszła tragiczna wiadomość - Józef Wroński zginął w wypadku na autostradzie pod Hamburgiem. Człowiek legenda powiatowej piłki, W sumie ponad 20 lat na boisku. Grał w Zrywie Gorzków, Lechii Piechowice na Śląsku (był na testach w Ruchu Chorzów), Hetmanie Żółkiewka, lecz przede wszystkim w Starcie Krasnystaw. Jak by nie liczyć, to musiał rozegrać ponad 500 spotkań. Co tam, z meczami sparingowymi, pucharowymi, towarzyskimi i okolicznościowymi, byłoby ich więcej. A gdyby nie pechowe kontuzje, mógł osiągnąć 1000 gier. Mógł grać wszędzie, na obronie, w ataku, jako pomocnik, a nawet bramkarz. Zawsze na pełnych obrotach, zawsze pierwszy na treningu, mistrz strzałów z 11 metrów i kiwek w obrębie kilku metrów. Jego słynne kółeczka denerwowały kibiców jak słynne kółeczka Deyny, ale Jurek wiedział, co robi. Potrafił uspokoić grę, zmienić rytm walki, jednym podaniem na kilkadziesiąt metrów uruchomić skrzydłowego.

Runda jesienna miała dać odpowiedź na pytanie, czy Start ma na tyle silny i stabilny skład, że może obronić IV ligę. Zaczęło się źle, bo uległ u siebie Granicy Dorohusk 0:2. Później była porażka w Świdniku z Avią 1:4, choć Start prowadził 1:0 po uderzeniu Rycyka. Wkrótce miało się okazać, że

w innych spotkaniach Start również prowadził, lecz później przegrywał z kretesem. - Drużyna nie ma stylu, nie ma kto pokierować linią pomocy, a żaden z kandydatów na lidera nie potrafi udźwignąć ciężaru gry - słychać było na trybunach wśród kibiców. Ci przez całą rundę stawiali się w komplecie, aby obserwować walkę na boisku. Ostatecznie Start wygrał tylko dwa mecze - z Orłętami Łuków (1:0) i wiceliderem jesiennych rozgrywek Podlasie Biała Podlaska (3:0). Wnikliwy komentator piłkarski w Krasnymstawie powiedział: - Start ma wielu uzdolnionych zawodników, ale nie ma drużyny. Zespół nie ma „duszy” piłkarza, który potrafi zorganizować grę w środku boiska. Gra tak jak żyje człowiek ze sztuczną zastawką w sercu - asekuracyjnie, bojaźliwie, bojąc się wysiłku. Słaba postawa tkwi - po prostu - w psychice zawodników.

Zarząd klubu stanął przed dylematem - jak zmienić styl gry drużyny, jak natchnąć ją duchem walki, wreszcie czy pozostawić „lubelski zaciąg zawodniczo-szkoleniowy”, który miał być fundamentem, na którym opierałaby się gra Startu. Takie problemy w zderzeniu z budżetem zespołu (na poziomie Klasy A), to był rzeczywiście twardy orzech do zgryzienia. Twardszy nawet, bo stary! Przecież pomysł zwolnienia trenera i oparcia składu na sprowadzonych z zewnątrz, niezwiązanych emocjonalnie z miastem zawodnikach, to pomysł stary jak świat. W dodatku niesprawdzony, bo z piłkarskich doświadczeń wynika, że rzadko okazywał się skuteczny w piłkarskim życiu. Kibice szybko jednak stracili zaufanie do działaczy i piłkarzy, którzy za łatwo stracili werwę, grali bez wiary w zwycięstwo. Bo kibic wybaczy wszystko, lecz nie wybacza braku zaangażowania w walce. - Ci z Lublina przyszli tutaj tylko po to, żeby wypromować się w IV lidze, nie zależy im na miejscu w tabeli, tylko na obecności w składzie... - wnioski kibiców były mało odkrywcze i nad wyraz ostre.

A jak jesienną rundę oceniali działacze? Mówił wiceprezes Szczepan Olchowski: - Zrobiliśmy wszystko, aby wzmocnić klub, lecz niestety, nie stać nas było na zatrudnienie piłkarzy lepszych od tych, których sprowadziliśmy. Oczywiście „lubelski” zaciąg był pomysłem ryzykownym, ale przecież dawał jakieś nadzieje, bo w większości piłkarze ci byli młodzi i otrzymali szansę wypromowania się. Nie mieliśmy też pretensji do trenera

Ligenzy, zrobił ile mógł, a że nie spełnił oczekiwań, sam podał się do dymisji.

Po zakończeniu Start rozegrał jeszcze mecz o Puchar Polski. Mecz miał spore znaczenie dla środowiska piłkarskiego w powiecie, gdyż rywalem był zespół Hetmana Żółkiewka. Zespół grający wprawdzie w V lidze, ale wygrał dwa ostatnie mecze ze Startem w V lidze, choć porażki nie miały znaczenia dla sprawy awansu. Lecz ni mniej, ni więcej, kibice w Żółkiewce mogli się chwalić, że to Hetman jest drużyną numer 1 w powiecie. Był lepszy od Ruchu Izbica, Startu Krasnystaw, Unii Rejowiec, Tatrana Kraśniczyn, Amicusa i Frasatti Fajslawice.

Start wygrał w pucharowej rywalizacji w Krasnymstawie z grającą w osłabieniu Granicą Dorohusk 8:0, natomiast Hetman pokonał w Kraśniczynie Tatrana 3:1. W dniu święta narodowego, 11 listopada w Żółkiewce Start zremisował w normalnym czasie 1:1 (gole Pidka i Dalentki) z Hetmanem, ale w pierwszej połowie dogrywki strzelił dwie bramki (Dalentka, Czajka) i wyeliminował Hetmana. To był pierwszy mecz Startu, w którym w Pucharze Polski zastosowano zasadę „srebrnego gola”, czyli przerwania gry po pierwszej połowie dogrywki, jeśli jedna z drużyn prowadzi. Był to znakomity, stojący na wysokim poziomie mecz, w którym świetnie zagrali „lubelscy piłkarze” Startu oraz niedawni drugoligowcy z Hetmana Zamość: Grzegorz Płoszaj i Andrzej Pidek. Ten drugi przez „Tygodnik Krasnostawski” został uznany piłkarzem jesieni 2003 w V lidze, a na liście strzelców z 15 golami zajmował drugie miejsce za Andrzejem Krawcem z Chełmianki. W tym spotkaniu drużyny zagrały w składach: Hetman: Groszek, Warda, Janda J., Margol, Płoszaj, Janda T., Ciechański, Kot, Pidek, Panek, Koprucha. Start: Wróbel, Baśński K., Dobrzyński, Dębski, Hołysz, Kamil Sawa, Bąk (Wójcik), Rycyk (Czajka), Dalentka, Josicz.

Po rundzie jesiennej Start zajmował ostatnie miejsce w tabeli i wiadomo było, że nastąpią zmiany w składzie oraz na stanowisku trenera. Trójka wiceprezesów klubu poszukiwała rozwiązania w obrębie finansowych możliwości. Nowym szkoleniowcem został po raz drugi Mirosław Dębski. Poprzednio też próbował bronić klub przed spadkiem z IV ligi, lecz mu się nie udało... Trener Mirosław Dębski mówił o próbie ratowania ligowe-

go bytu: - Sytuacja jest trudna, ale walczyć trzeba do końca. Na pewno postaramy się uzupełnić skład, bo po odejściu piłkarzy z Lublina, jest luka. Być może wrócą z Brata wypożyczeni zawodnicy - Antoniak i Bury. Chciałbym spróbować w Starcie Artura Kopruchę z Hetmana Żółkiewka. Interesuje mnie też Tymicki z Brata.

Mecze sparingowe napawały optymizmem. Znow popisy skuteczności dawał Grzegorz Rycyk. W meczu z Chelmianką (4:2) wbił trzy gole, Piascovią Piaski (7:0) również uzyskał hattrick. Z Hetmanem Żółkiewka nie zagrał, lecz koledzy zastąpili go skutecznie, wygrywając 5:1 (Mazurek 2, Bury, Tymicki i Kamil Dębski). Unia Hrubieszów odjechała z bagażem czterech goli (4:0), a Rycyk jeszcze raz strzelił trzy bramki. Wyniki sparingów były więc obiecujące, aczkolwiek przeciwnicy nie reprezentowali odpowiedniej klasy. Niemniej, przecież na początek ładowania akumulatorów każdy zespół świata gra z maluczkimi. Swego czasu skorzystał na tym Motor Lublin, który w Szwajcarii sparował z ...Realem Madryt. Tak, samym wielkim Realem, z Amaviscą, Zamorano, Raulem, Hierro i Laudrupem na czele.

Ze wzmocnień nic nie wyszło. Powrócił jedynie Jacek Bury. Start musiał grać w anormalnych warunkach organizacyjnych, znow bez prezesa i... nadziei na jego powołanie. Doszło do tego, że kibice obawiali się, czy w ogóle uda mu się strzelić jakieś bramki, bo o punktach nikt nie marzył. W ostatnich spotkaniach trener wprowadzał do drużyny z konieczności juniorów.

Działacze usiłowali powołać nowy zarząd, lecz żaden z potencjalnych kandydatów na prezesa nie chciał przyjąć funkcji. - Co się, do licha, dzieje w klubie? - pytano wszędzie, gdzie tylko Start jechał grać. - Tyle zakładów pracy, tyle uzdolnionej młodzieży, tak świetnie organizujecie te wakacyjne turnieje dla dzieci, co do licha jest nie tak, że futbol leży?

Jak można było odpowiadać na tak przewrotnie zestawiane pytania? - Ano, panowie! W Krasnymstawie od lat władzę w sporcie dzierży „widmo” konfliktów na linii działacze i sportowcy piłkarze - działacze i sportowcy zapaśnicy oraz inni. Tutaj nie ma kto zwołać okrągłego stołu i otwarcie powiedzieć, że potrzebny jest wieloletni, może nawet dziesięcioletni program rozwoju piłki

nożnej jako najpopularniejszej dyscypliny w mieście. I konsekwentnie go realizować.

Dalej można już było tylko teoretyzować. - Fakt. Tyle zakładów pracy, że sumując obroty to i „Bogdanke” byśmy przeskoczyli, ale nikt nie kwapi się do pomocy. Nie ma takiego fanatyka jak Szczepan Skomra w Radzynie Podlaskim, jak burmistrz Tomaszowa Lubelskiego, czy wójt Jastkowa (pomagający Legionowi Tomaszowice). Gdy jest szansa na awans, to i owszem, jest prezes, wiceprezesi, przypadkowi sponsorzy. Gdy trzeba sięgnąć wyżej, każdy wieje, gdzie pieprz rośnie... I kolejne pokolenie zdolnych chłopaków marnuje się w beznadziei sportowego życia prowincji. Wygasają ambicje, wygasają marzenia o grze w II czy I lidze.

Dla porównania skali przypadkowości w awansie Startu do IV ligi przedstawiam skład drużyny w ostatnim spotkaniu. W ostatnim meczu z Unią Bełżyce Start wystąpił w składzie: Marek Dębski (Wróbel), Bąk, Krzysztof Dobrzyński, Korzun, Pawlak (Jacek Bury), Adrianek, Górny, Jarosław Dębski, Kamil Sawa, Krystian Sawa, Czajka. W porównaniu ze składem w pierwszym meczu, sezon kończyli praktycznie tylko piłkarze, którzy przychodzili na treningi.

A tak niedawno walczyli o III ligę

Malkontenci mogli powiedzieć: - A tak niedawno walczyliśmy o III ligę! Teraz jesteśmy na organizacyjnym poziomie LZS-u występującego już nawet nie w A Klasie, lecz jeszcze niżej.

A więc po raz drugi, po wywalczeniu awansu, Start przez cały sezon nie miał prezesa! A przecież nikt nie liczył na to, że zostanie nim gość klasy prezesa spółdzielni mleczarskiej, tak jak w Radzynie, szefa fabryki łożysk, jak to miało miejsce w przypadku Stali Kraśnik, czy wreszcie wiceprezesa kopalni „Bogdanka” Zbigniewa Krasowskiego (Górnik II Łęczna). Wystarczyłby porządnie umocowany w biznesie właściciel hurtowni, czy innej firmy. Nie, nikt nie marzył o tym, że funkcję prezesa obejmie któryś z ważnych prezesów ważnej firmy w rodzaju Cersanit, OSM, CoraTex, Cukrownia Krasnystaw, Fermentownia czy Azot-Chem.



Młodzież UKS „Jedynka” wciąż była nadzieją. Chłopaki, gdzie nie pojechali, odnosili sukcesy. Wygrali także turniej w Kutnie. Na zdjęciu: Marek Kwiecień, Łukasz Turzyniecki i Mateusz Borys.

Uczniowski Klub Sportowy „Jedynka” i Marek Kwiecień ratunkiem

Zebranie za zebraniem było jakby końcowym odliczaniem życia Startu. 7-6-5-4-3... Dzisiaj już trudno ustalić, ile tych zebrań było. Zlikwidować Start i co z piłką nożną? A jednak kibice, działacze, piłkarze, trenerzy spotykali się, rozmawiali, namawiali do prezesury. Wyzwanie podjął Janusz Zaworski. Może dlatego, że ten klub to kawałek jego życia.

W porozumieniu z Markiem Kwietniem, Ireneuszem Wojciechowskim, Dariuszem Atrasem i Markiem Nowosadzkim na czele postanowili zaprosić do gry o lepsze jutro lokalnej piłki wychowanków UKS „Jedynka”. Trener tego zespołu został też członkiem zarządu, no i trenerem Startu. Wprawdzie obawiano się tego, że w V lidze tak młody zespół (przeciętna wieku poniżej 20 lat) nie da sobie rady, jednak osoby Mariusza Bąka, Marcina Ciechana, czy braci Sawów gwarantowały jakieś sportowe bezpieczeństwo.

- Przejął pan zespół w trudnej sytuacji - spadek z ligi, odejście wielu zawodników, zawirowania organizacyjne w klubie. Nie boi się pan reakcji kibiców po pierwszych porażkach? - pytałem wówczas trenera i członka zarządu Marka Kwietnia.

- To dla mnie wyzwanie. Przecież po raz pierwszy w historii Startu następuje tak radykalne odmłodzenie drużyny. Dzisiaj średnia wieku jest poniżej 20 lat. Moim zadaniem jest budowa zespołu perspektywicznego, a nie na jeden awans. Każdy, kto zna się na piłce wie, że nie da się zbudować drużyny w kilka tygodni. Zdaję sobie sprawę, iż po porażkach będą negatywne reakcje. Taki to trenerski zawód.

- Co jest dla pana najważniejsze w pracy z młodzieżą?

- Jestem zwolennikiem tego, żeby trener prowadził dziecko od grupy naborowej do wieku juniora. Taki styl preferuje UKS „Jedynka”. Ważną sprawą w sporcie jest wynik, ale równie ważną samo jego uprawianie i separacja młodzieży od codziennych pokus.

Kwiecień miał rację - po pierwszej przegranej w sezonie z Włodawianką i to na własnym boisku 0:4 wydawało się, że będzie katastrofa. Ale później przyszło zwycięstwo po niezwykle emocjonującym meczu z Hutnikiem w Dubecznem 4:3 i kolejne - z Hetmanem Żółkiewka 4:1 po bramkach Struszcza (2), Moniakowskiego i Krystiana Sawy, nad Ruchem Izbica 5:2, w Rudzie Hucie z Hutnikiem 5:1... I nagle Start stał się drugą siłą w V lidze. I kto wie, czy nie byłoby awansu, gdyby nie przełożony mecz pierwszej rewanżowej kolejki z Włodawianką (śmierć papieża). Późniejsza porażka 1:2 po dobrym meczu ujemy krasnostawskiej młodzieży nie przyniosła (1:2).



Nic tak nie cieszy jak emocje najmłodszego kibica.

Wiosna 2005. Start wywalczył drugie miejsce w tabeli V ligi, przegrywając rywalizację tylko z Włodawianką Włodawa, mając najlepszych piłkarzy w Konradzie Sawie, Marcinie Ciachanie i Kamiliu Sawie. W punktacji klubowej kolejne miejsce za-

jął Kamil Sawa. Bartek Czajka z 18 bramkami zajął trzecie miejsce na liście strzelców za Filipkiem (29) z Włodawianki i Wagnerem (29) z Unii Białopole. Czajka ustrzelił w rozgrywkach 3 hattricki (ze Spółdzielcą Siedliszcze, Granicą Dorohusk i Kłosem Chełm). Świetną formę strzelecką prezentował też Rafał Struszcza, który wbił 11 bramek, a Krystian i Kamil Sawa po 10. Do bardziej emocjonujących gier należy zaliczyć mecz z Hetmanem w Żółkiewce, który Start wygrał po „złotej bramce” Dawida Bielaka. Tydzień później, 24 kwietnia podopieczni Marka Kwietnia odnieśli zdecydowane zwycięstwo z Ruchem w Izbicy - 3:0 po bramkach Konrada Sawy, Łukasza Rachwała i Kamila Sawy. Wartościowe były sukcesy w Rejowcu ze Spartą 1:0 po karnym Marcina Ciechana i w Woli Uhruskiej, gdzie Start wygrał 3:2.

W ostatnim meczu sezonu Start przegrał na łąkach z Unią Białopole, a Robert Wagner strzelił jedną z bramek dla Unii. Jego gra przypadła do gustu trenerom i działaczom biało-niebieskich. Postanowili zaprosić go do Krasnegostawu.

- Jak przyjęło cię w Starcie? - zapytałem po kilku dniach.

- Nie spodziewałem się takiego przyjęcia. Nie spodziewałem się, że już po kilku dniach pobytu w Krasnymstawie pojedę po raz pierwszy za granicę. Jeszcze kilka miesięcy wstecz nawet nie śmiałybym marzyć, że zagram przeciwko kolegom z Europy i Ameryki, że będę w finale wielkiego turnieju i strzelę w nim dwie zwycięskie bramki. Ja, piłkarz, który rok wcześniej grał ledwie w VI lidze. Nie wyłażą ze mnie jakieś kompleksy - po prostu jestem zadowolony, że w najważniejszym okresie życia trafiłem niespodziewanie na właściwych ludzi.

Robert okazał się błyskotliwym napastnikiem, o niesamowitym starcie do piłki i przyśpieszeniu. Od razu było wiadomo, że nie potrafi do końca korzystać ze swoich walorów. Trenerzy liczyli jednak na to, że uda się wyeliminować pewne inklinacje i obrobić jego talent. Ale próbki szybkości i strzeleckich możliwości dał w sparingach, pokazując kilkanaście błyskotliwych rajdów i strzelając kilka bramek.

Mocne uderzenie w Izbicy

Biało-niebiescy rozpoczęli od mocnego uderzenia w Izbicy. Wygrana z Ruchem Izbica 4:0 dodała skrzydeł chłopakom, ale nie wynik, lecz styl był ważny. Z pewnością ozdobą meczu były bramki, a uderzenie Marka Moniakowskiego sprzed szesnastki odebrało gospodarzom chęć do walki. Później było 3:0 z Kłosem Chełm i 3:0 z Hetmanem w Żółkiewce (gole braci Sawów), 6:0 z Ogniwiem. W tym meczu Wagner strzelił pierwszego ligowego gola dla Startu. I dopiero w piątej kolejce Paweł Droń w Siedliszczach pokonał Jakuba Fika (5:1). Po 12 kolejkach lider miał już 10 punktów przewagi nad wiceliderem Unią Białopole (w bezpośredniej walce było 1:1).



Kamil Sawa, Konrad Sawa, Krystian Sawa.

Krasnostawska młodzież walczyła jak z nut... Tej jesieni gwiazdą numer jeden Startu był Kamil Sawa. W wielu meczach grał jak w transie, strzelając po kilka bramek, nie ustępował mu Rafał Struszcza. Po 13 kolejkach na czele listy strzelców był Kamil Sawa z 15 bramkami (4 wolne i 4 karne), przed Wagnerem - 10 (5 głową).

Wiosną 2006 roku piłkarze Startu rozpoczęli od spotkań sparingowych z silnymi rywalami: Chelmianką 1:5 (Suski), Hetmanem Zamość 3:1 (Bielak, Wagner, Czajka), Włodawianką 0:3, Sokołem Nisko 0:2, Spartą Rejowiec 1:1 (Kozą), Orionem Niedrzwica 0:1. Takie przetarcie podniosło poziom przygotowań i morale drużyny i to bez względu na wyniki. Zespół Marka Kwietnia rozpoczął od meczu w Okszwie z Kłosem. Nie było łatwo - Start po bramkach Marcina Ciechana i Mariu-

sza Bąka w końcówce wygrał 2:0. Później poszło łatwiej, serial łatwych zwycięstw i zdecydowane prowadzenie w tabeli. Ruch Izbica odjechał z Krasnegostawu z bagażem dziesięciu goli (1:10), Ognio przegrało 0:5, Hetman Żółkiewka 0:4. Jednak były też mecze, w których rywale dorównywali młodzieży Kwietnia. Ze Spółdzielcą Start wygrał 3:2 (Moniakowski, Wagner, Krystian Sawa), z Wojsławią zremisował 2:2 (Wagner, Moniakowski). W tym meczu groźnej kontuzji doznał Kamil Sawa. Leżał na boisku, czekano na karetkę, a na zakończenie godzinnej przerwy trzeba było wykonać karne, które wykonywał najlepiej właśnie Kamil Sawa. Ale tym razem skutecznie zrobił to Marek Moniakowski i uratował remis. Sawę kontuzja wyeliminowała z gry do końca sezonu.

Uwaga: to po tym meczu trener Marek Kwiecień i trener Wojsławii Sławomir Świadysza ucieli sobie pogawędkę. W pewnym momencie jej efekt był znamienity w działalności Startu. Ale o tym poniżej.

Jest strategia rozwoju piłki nożnej, ale pieniędzy brak

Jesień 2006. Powrót w szeregi IV ligi nie był realny z tak młodym i niedoświadczonym zespołem bez wzmocnień. Piłkarskie realia nakazywały brać też pod uwagę fakt, że wkrótce młodzi wychowankowie UKS „Jedynka” dorosną i zechcą wyjeżdżać na studia, nie wykluczając awansu do wyższych lig. Zresztą Kamilem Poźniakiem już zainteresowała się Avia Świdnik i to głównie dzięki wypożyczeniu go do tego klubu, w Starcie znaleźli się dwaj gracze ze Świdnika: Sebastian Gołąb i Marcin Borowiec. Był już Robert Wagner, a wkrótce dołączyli: Daniel Krakiewicz i Maksymilian Kaczorowski z Górnika Łęczna (medaliści mistrzostw Polski juniorów), Jan Konojacki z Granicy Dorożuk i - uwaga! - pierwszy gracz Chełmianki w barwach Startu Sławomir Świadysza.

Prezesowi Zaworskiemu udało się załatwić pieniądze na obozy przygotowawcze. Pierwszy odbył się w Siennicy Różanej, drugi w Janowie Lubelskim. Piłkarze mieli świetne warunki do treningów, rozegrali kilka sparingów z mocnymi rywalami. Pokonali Janowiankę Janów 4:2, a po powrocie

z obozu, po kapitalnym spotkaniu wygrali 3:1 z zawsze silną Ładą Biłgoraj. W tym meczu doskonale zaprezentował się Maksymilian Kaczorowski, autor dwóch efektownych bramek (szczur z kozłem przed bramką i okienko po podcinie piłki na linii 16 metrów). Tak zestawiona i właściwie przygotowana do walki ekipa gwarantowała utrzymanie w IV lidze. Ale gwarancje sobie, a piłkarskie życie, jak wiadomo toczy się swoimi drogami.



Robert Wagner szybko się zgrał z zespołem. Widać to było już podczas turnieju Alpen Cup w Austrii, gdzie UKS „Jedynka” wygrał dwie kategorie. O turnieju będzie jeszcze czas wspomnieć.

Wszak oprócz wielu spraw łączących sukces piłkarski, ważne są jeszcze dwie - pieniądze i kibice. Na kibiców można było liczyć, jednak mało gros pieniędzy przeznaczało na inwestycje. Najpierw inwestowano w infrastrukturę miejską, później sportową...

Inauguracja wypadła z Tomasovią Tomaszów. I była to inauguracja fest. Był dramat, były emocje, była radość z bramek i smutek, że nie ma trzech punktów tylko remis 3:3. Rozpoczęło się bajkowo - w 9 minucie Start objął prowadzenie po samobójczym strzale Bojarczuka. Gol kuriozum. Kaczorowski wybijał piłkę z autu, a że robił to świetnie, ta jak zaczarowana mijała obrońców, a Bojarczuk w ostatniej chwili, usiłując ją wybić, wpakował do siatki. Później piłkarze dowodzeni przez kapitana Marcina Ciechana mozolnie układali grę i atakowali. Jednak Stanisław Anioł wy-

równał na 1:1, ale Robert Wagner najpierw w 41, a później w 65 minucie strzelił bramki, które dały prowadzenie i szansę na sensacyjne zwycięstwo beniaminka.

Przy pierwszym голу Wagnera asystował 18-letni Sebastian Rachwał, przy drugim Sebastian Gołąb. W końcówce Start stracił dwa punkty za sprawą Michała Janeczki, który zorganizował gościom dwie bramki. Najpierw po faulu na nim Bubiłek strzelił karnego, a na pięć minut przed końcem zagrał centrá przechytającą wszystkich. Ten, który sprezentował gospodarzom na początku samobójca - teraz się zrehabilitował. Kolejne mecze były równie dramatyczne. Przegrana ze Stalą w Kraśniku 0:2 była wkalkulowana, ale można było ugrać choć jeden punkt. Biało-niebiescy odbili to sobie w meczu z Lewartem, wygrywając 1:0 po bramce Kamila Sawy.

Jednak w tej rundzie dwa mecze przechyliły punkt ciężkości sympatii dla zespołu Marka Kwietnia - pierwszy to pojedynek na Winiawie z Lublinianką Lublin. Bo co by nie mówić, jak by ta Lublinianka nie grała w tym momencie, z takim zespołem gra się jak z legendą. Piłkarz mierzy się z postaciami, z obiektem, który był ważnym stadionem w historii wschodniego sportu. To nic, że z łezką w oku wchodziło się na Winiawę, kiedy widziało się bramę stadionu zarośniętą trawą, a stanąwszy w niej, widziało sklep z bronią sąsiadujący ze sklepem z trumnami. To nic, że na stadionie nie było 20 tys. ludzi jak wówczas, kiedy barw „wojskowych” broniły gwiazdy Krasnegostawu Zielińczuk i Kulawiak. W kabinie nadal siedział Witold Mischczak, a na boisko piłkarze wychodzili, stukając kramkami o beton (jak zawsze).

Beniaminek tego dnia zmiażdżył Lubliniankę 3:0 po dwóch bramkach Kamila Sawy i jednej Daniela Krakiewicza. Och, co to był za powrót do domu! Tego dnia rozpoczynały się chmielaki.

I inne mecze, którymi piłkarze podwoili sympatię kibiców - Janowianka Janów Lubelski w Janowie. Przegrywaliśmy 0:2 już na początku. Pech, bo była dodatkowa motywacja i nikt nie dopuszczał myśli o przegranej - na meczu był Piotr Gołąbek, który przyleciał z USA z koleżeńsko-rodziną wizytą. W przerwie wizyta Piotrką w szatni... A później koncert gry - gole Kamila Sawy (3), Wagnera i Krakiewicza. Janowianka pokonana 5:3.

Wspaniały mecz, niezapomniana bramka Krakiewicza ze Stalą Kraśnik

Podobnie było w rundzie rewanżowej. Obok fantastycznych spotkań, słabe, wręcz bardzo słabe. Niemniej taki pojedynek jak ze Stalą Kraśnik, która aspirowała do gry o III ligę, przeszły do historii... Wspaniały mecz, wielka walka przez 90 minut. No i ten niecodzienny gol Daniela Krakiewicza z 62 metrów, kiedy to Start broniący wyniku 3:2 starał się odpychać grę od własnego pola karnego, a Daniel uderzył na uwolnienie... Tego gola można oglądać codziennie, wszak wystarczy włączyć youtube (nagrał go Paweł Szponar z Kraśniczyna, który pisząc pracę magisterską o Starcie, trafił na właśnie ten mecz i taką bramkę). Ot, chłopak miał farta.

Nie wypada w tym momencie nie wspomnieć o kibicach, którzy byli dwunastym zawodnikiem. Bynajmniej nie jest to przesadzista metafora - reagowali na każde udane i nieudane zagranie, zrywali się z dopingiem, kiedy drużynie nie szło, jakby przekazywali na boisko swoim zachowaniem emocje walki i emocje pragnienia zwycięstwa. Może jakieś fluidy. To zjawisko na poziomie IV ligi raczej rzadko spotykane. Bo kiedy płynie razem z rytmem gry fala emocji, gra się inaczej. Gra się z falą emocji, wrzasków, okrzyków - wykop, wybij, przetnij, pilnuj go, walcz... Piłkarz to czuje, chce wzbudzić szacunek i wdzięczność kibica... Walczy... To dzięki walce piłkarski świat tak ceni ligi angielskie. Tak bardzo, że większość piłkarskiego świata woli oglądać mecze III ligi w transmisjach z Wysp Brytyjskich. a nie mecze światowych ekstraklas, gdzie coraz więcej kunktatorstwa, taktyki i strategii wziętych rodem z bitew wojennych.

Z kolei Górnik II Łęczna przyjechał z zawodnikami z pierwszego składu, w dodatku był dodatkowy smaczek rywalizacji, wszak w Starcie grali koledzy podopiecznych Tadeusza Łapy - Krakiewicz, Kaczorowski. Byli wypożyczeni do Startu w ramach współpracy. Tutaj należy się wyjaśnienie. Daniel Krakiewicz jest wychowankiem UKS „Jedynka” Krasnystaw. Jego przybycie i pobyt w tym okresie w Starcie miał wielki walor. To chłopak, który może służyć przykładem w każdym zespole. Z Górnikiem zagrał rewelacyjny mecz, Start

dwukrotnie przegrywał, lecz zdołał zremisować po bramkach właśnie Krakiewicza. Przy czym druga wyrównująca bramka w 87 minucie, w dwie minuty po stracie gola przez naszych, to prawdziwy majstersztyk. Podcinka Sebastiana Gołębia z wolnego, jeden kontakt z piłką Daniela i bomba do siatki.

W tym meczu zespoły zagrały w składach: Start: Wróbel, Borowiec, Łukasz Rachwał, Świadysz, Konrad Sawa, Witkowski (72' Suski), Sebastian Rachwał, Gołąb, Kamil Sawa (83' Bielak), Krakiewicz, Wagner. Górnik: Żukowski, Bodziak, Chapuła, Topolski, Raczkiwicz (70' Kasperek), Jankowski (70' Wasil), Nazaruk, Masłowski, Paulinho, Grzegorzewski (82' Osuch).



Gol Daniela Krakiewicza na 2:2 w meczu towarzyskim z Górnikiem Łęczna.

Po zakończeniu sezonu sami piłkarze szczególnie żałowali punktów straconych w Lubyczy Królewskiej, gdzie prowadzili już 2:0 a mogli prowadzić i 4:0, a później ledwie wyratowali remis. Tutaj warto odnotować, że w Granicy rej wiódł wówczas nie kto inny jak Prejuce Nakoulma.

Po zakończeniu sezonu trener Marek Kwiecień powiedział: - Jestem zadowolony z debiutu w IV lidze, to, co nie udało się innym, nam udało. Chcę podziękować tym, dzięki którym Start przetrwał i pnie się w górę. Dzięki którym jesteśmy na mapie piłkarskiej województwa, a nie tylko okręgu chełmskiego.

Trener miał jednak ambitniejsze plany. Marzyła mu się, tak jak chyba każdemu kibicowi walka o III ligę. A niestety, bez pieniędzy nie da się walczyć o ten szczebel rozgrywek. To było zderzenie marzeń i realiów - dla jednych Krasnystaw stać jest na III ligę, dla innych to okolicznościowe mrzonki. Tymczasem krasnostawska rzeczywistość sama

krzyczała: - Znajdźcie sobie sami sponsorów i walczcie! Kwiecień, zbadawszy grunt, doszedł do wniosku, że ani on, ani też zarząd - pieniędzy na wzmocnienia i walkę o wyższy cel nie zdobędzie. Zrezygnował, a jako swojego następcę zaproponował Sławomira Świadysza.

- Jesteś pierwszym piłkarzem, który trafił do Startu z Chełmianki, w ogóle z Chełma. Zwykle było odwrotnie. Co o tym zdecydowało? - padło wówczas pytanie do trenera Świadysza.

- Mam doświadczenie zdobyte podczas wielu lat gry w Chełmie i innych klubach chełmskich. Występy w Starcie byłyby swego rodzaju wyzwaniem, może prowokacją wobec siebie - czy sprawdzę się w tak młodym zespole. No i chciałem zobaczyć z bliska jak poradzi sobie młodzież Startu rzucona na szerokie ligowe wody. Uznałem, że jeśli chcę w przyszłości trenować młodych chłopców, takie doświadczenie mi się przyda.

- Czy Marek Kwiecień i zarząd długo musieli przekonywać?

- Nie, bo sam przemyślałem wszystko i postanowiłem zagrać w Starcie. A co przez te kilka miesięcy osiągnąłem? Teraz zawsze mogę dać chłopakom przykład: „- popatrzcie na Start, chłopcy mieli po 17-18 lat, kiedy awansowali do IV ligi. Ani na myśl im nie przychodziło, żeby przegrywać w IV lidze”. Zwykle to młodzież powolutku wchodzi do doświadczonej grupy ligowych wyjadaczy, czasem trudno jej się wkupić. W Krasnymstawie stanąłem przed odwrotną sytuacją, sam musiałem wkomponować się w młody zespół. A pierwszy konkretny wniosek - wystarczy popatrzeć, ilu młodych chłopaków przez Start i „Jedynkę” wypromowało się do „zawodowej piłki”. I ilu czeka na swoją szansę...

Świadysz kontynuował pracę Marka Kwietnia, ale od razu w zespole nastąpiły zgrzyty - młodzież nie bardzo akceptowała w roli trenera zawodnika kogoś z zewnątrz. Nie pomogły dwa obozy przygotowawcze w Krasnobrodzie i Izbicy.

*Henryk Sieńko
cdn.*

Małgorzata T. Skwarek-Gałęska



nauka

najpiękniejsze jest światło
w oknie dzieciństwa
dlaczego go nie widzę
nie potrafię podnieść firanki

pamiętam wieczór
gdy oś utknęła
głęboko w gardle

„dzieci i ryby głosu nie mają”
nauczyłam się
słuchać każdą łuską

pod skórą
wyrastałam z ryby
uważnie

podklejam ciągi
nerwostrady
literami wierszy

kamienica

na pierwszym piętrze rozlało się mleko
na drugim nieprzydatna profesorka zasnęła
w poskręcanych objęciach bólu
na półpiętrze kaluża
mocz odbija spękaną niebo

tylko brama zachwyca
otwarcie na świat
finezją rzemiosła
rude światło przepuszcza koty
prześlizgując się po futrze

szkoda starych ścian
znikających przejrzystych ludzi
uczuć wrosłych w tynki
małowniczą pleśnią

wytarte stopnie liczą kroki
szepczą do gwiazd

kolory

kolor indygo to kolor krzyku sowy u Sylwii Plath
zimny gdy samogłoski docierają do serca
purpurowo wrzeszczą sroki o czwartej rano
myśli wypełnia samorodek snu
nagle obudzona nie mogę wesprzeć się twoim oddechem
znikają rdzawe plamy wykrzykników
znaków zapytania
kropki chwieją się granatowo
piszczą pomarańczem
ciężka kobaltowa chmura Turnera odsłania
zapatrzona w dal szmaragdowe myśli
żółcień cytrynowa eksploduje na wodzie
brzeg gaśnie złociście
znikającym rybom statkom i ludziom

fotografia

w gazecie
dziewczynka niosąca
torbę pełną śmierci

nieważne ciała i dusze
nieważnych dzieci
zdziwione konają dorośle

stoję pod oknem
z napisem piękny świat
przegryzam kraty

w cieniu

przy podłodze zalega cień
wisząca nad skronią pięść
niczym kafar rozbija nadzieję

sprawiedliwość z telewizora
zbawiciel na etacie
święty z sejmu
nie byli w tym kącie
gdzie rodzi się zbrodnia

odłączone aureole
toczą się po podłodze
niczym fajerki

a nóż
na wyciągnięcie ręki
przed chwilą sycił się chlebem

magia obrazu

otwieram album i wszystko się zmienia
 poraża mnie rzeźbiące tkaniny postacie ziemię
 światło którym Wyczółkowski gra w krokietę
 dotykam chłodnego powietrza
 spadam w gąszcz zaklętych ogrodów
 by o zmierzchu pobiec przez żniwne pola
 do kaplic pełnych subtelnych Marii czytających biblię
 gładkolicich świetlistych aniołów Fra Angelico
 dziewczęcych madonn Rafaela leżących na oddziałach
 ciąży zagrożonej lub na porodówkach wyczekujących
 misterium narodzin świata bólu rzyku

Matko Boska Bolesna El Greco ja cię znam
 widziałam cię w szpitalu pod prosektorium patrzyłaś
 prosto w moje oczy chciałaś bym trzymała twoją dłoń
 poczułam złość na scenariusz reżysera
 i uciekałam pod młode skrzydła archaniola Gabriela
 To nic Fra Angelico że jego twarz malowana żółtkiem
 jest skierowana w stronę wieczności - tak wolę

bajka o niedorastaniu

niełatwo dorosnąć
 gdy ma się cztery lata
 jestem wewnątrz
 zajmuję mały kąt
 w ciele na wyrost
 nie dam się oszukać
 tańczącym w świetle rurek
 strzykawek klepania
 jestem głęboko
 za siódmą kością
 siódmą żyłą
 w krainie drżących mięśni
 wypierających dotyk

idealna matka

za dużo jedno słowo
 za mało jeden gest
 zawsze nie tak
 a przecież chciałam
 a przecież mogłam
 być doskonała
 to nie był ten dzień
 gdy rodziły się
 idealne
 matki
 one już dawno przekroczyły
 Rubikon sumienia
 góry własnych możliwości

Zbigniew Atras**Dni, w których mocniej
biło serce**

13 czerwca 1999 roku zapisał się wielki-
 mi i złotymi zgłoskami w historii Krasnegostawu
 i całej ziemi krasnostawskiej. To właśnie wtedy
 w Warszawie, na ówczesnym placu Zwycięstwa,
 w obecności tłumów Polaków, papież Jan Paweł II
 podniósł do świętości 108 polskich męczenników
 II wojny światowej. W grupie błogosławionych wy-
 brzmiało z całą mocą imię i nazwisko Zygmunta
 Pisarskiego, męczennika i prezbitera, pierwszego
 i jak dotąd jedyne krasnostawianina wyniesione-
 go na ołtarze Kościoła katolickiego. Wspomniane
 chwile przeżywałem w domu, z nosem utkwionym
 w ekran telewizora, tak jak większość rodaków śle-
 dzących uważnie wizytę Ojca Świętego w Polsce.
 Jak mocno czuliśmy się wówczas Polakami i katoli-
 kami! Jak często lży przesłaniały telewizyjny obraz,
 a wzruszenie ścisnęło serce i gardło! Jak piękne
 i niepowtarzalne były to chwile! Dla mnie tym
 bardziej, bo w gronie beatyfikowanych był ksiądz
 z mojego rodzinnego miasta, a zarazem „starszy
 kolega” ze szkół, do których uczęszczałem - kras-
 nostawskiej „Jedynki” i liceum Jagiełły. Kamera raz
 po raz pokazywała beatyfikacyjny obraz przedsta-
 wiający grupę 108 męczenników i wtedy moje oczy
 próbowały odnaleźć na nim postać naszego błogo-
 sławionego. Jak byłem wówczas dumny z tego, że
 ja też mieszkam w tym samym mieście, w Kras-
 nymstawie! Na ekranie przez krótką chwilę po-
 kazano Władysławę Pisarską, młodszą siostrę ks.
 Zygmunta. Mignęły postacie państwa Cichockich,
 pani Matys i innych członków rodziny. Przyznam
 się szczerze, że wówczas nie znałem tych osób,
 z wyjątkiem profesor Matys, która uczyła mnie
 w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława Ja-
 giełły. Jednak jej osobę kojarzyłem tylko ze szkołą,
 a nie z faktem przynależności do rodziny błogo-
 sławionego. O tym, że krasnostawianin zostanie
 beatyfikowany dowiedziałem się dopiero na dzień
 przed uroczystością. Jest to fakt, którego mogę się
 tylko wstydzić. Wiele osób z Krasnegostawu wie-
 działo o tym dużo wcześniej. Informacje ogłaszano
 przecież w obu miejskich parafiach - w kościołach



św. Franciszka Ksawerego i Trójcy Przenajświętszej. Prowadzono zapisy chętnych i przygotowywano wyjazdy do Zamościa i Warszawy na spotkania z papieżem. Organizowano też oficjalną delegację parafii św. Franciszka, która miała złożyć Ojcu Świętemu podziękowania za dar wyniesienia rodowitego krasnostawianina do grona świętych. Niestety, wówczas gdzieś te informacje mi uciekały. Za bardzo zajmowała mnie praca w pogotowiu ratunkowym i inne zajęcia. Ale i tak coś do mnie dotarło, i Bogu dzięki.

Nie wiem dokładnie jak to się stało, ale zapisałem się na wyjazd do Zamościa 12 czerwca. Pojechałem razem z dwoma synami. Już w drodze otworzyły się szerzej moje zmysły i usłyszałem opowieść o księdzu Pisarskim. W czasie uroczystości, pomimo wielkich przeżyć związanych z bliskością papieża (a był naprawdę blisko), usłyszałem słowa o heroiczności cnót naszego rodaka. Widziałem, jak delegacja naszej parafii składała na ręce Ojca Świętego dziękczynny dar w postaci złotego kielicha i białego ornatu. Następnego dnia z dumą oglądałem transmisję z Warszawy. Niestety, moje zainteresowanie i duma trwały krótko i minęły tak niespodziewanie, jak przyszły. Mijały lata i - według mnie - nic nowego się nie działo. Nie wiem nawet, czy słyszałem jakieś rocznicowe informacje, które przecież wybrzmiewały, bo kilka instytucji promowało kult błogosławionego ks. Zygmunta. Może nie za wiele, ale jednak. Do mnie informacje te nie docierały. Mijały lata. Dużo lat. Aż przyszedł dzień 30 kwietnia 2012 roku. Wybierałem się do kościoła i jak zwykle, miałem pójść do św. Franciszka. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi jednak, by tym razem udać się do Trójcy. Tak też zrobiłem. Jakie było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że w kościółku

gości delegacja parafian z Gdeszyna, przybyła do nas pod wodzą swojego proboszcza, ks. Ryszarda Ostasza. Gdeszyn to miejscowość, w której pełnił posługę kapłańską i zginął męczeńską śmiercią ks. Pisarski. Gdeszynianie przywieźli nam obraz swojego dawnego proboszcza, a obecnie błogosławionego ks. Zygmunta. W wygłoszonym kazaniu ksiądz Ostasz w przepiękny sposób przedstawił życie błogosławionego kapłana. Proboszcz z Gdeszyna ma duży dar kaznodziejski. Mówił, tak że aż łzy napływały do oczu. Na koniec po raz pierwszy w Krasnymstawie odprawił nabożeństwo ku czci błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego. Od tego dnia nabożeństwo to miało być odprawiane na stałe, w każdy 30 dzień miesiąca.

Kazanie i wszystkie usłyszane informacje o życiu ks. Pisarskiego wywarły na mnie bardzo duże wrażenie. Miałem okazję poznać osobie ks. Ostasza i otrzymać od niego mały obraz błogosławionego - pierwszy obraz ks. Pisarskiego, jaki znalazł się w moim domu. Niedługo później pojechałem po raz pierwszy do Gdeszyna. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, odkryłem liczne związki tej miejscowości z Krasnymstawem. Obie miejscowości mają na przykład taką samą datę, od której liczy się ich historia, czyli rok 1394. Odtąd moje wizyty w Gdeszynie stały się normą i każdego roku bywam tam przynajmniej kilka razy. Po krótkim czasie, na temat życia błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego wiedziałem już dość dużo. Gdy w 2014 roku Andrzej Misiura, redaktor naczelny Czasopisma artystycznego „Nestor” zapytał o moją propozycję osoby - patrona roku, bez wahania odpowiedziałem, że tylko błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski. Tak też się stało i już miesiąc później rok 2014 został ogłoszony na łamach czasopisma Rokiem ks. Zygmunta Pisarskiego. Decyzję redakcji „Nestora” poparła stosowną uchwałą Rada Miasta Krasnegostawu. „Rok Błogosławionego” był obchodzony bardzo uroczystie. Wielkim zaszczytem jest dla mnie fakt, że mogłem w tym wydarzeniu uczestniczyć, a nawet organizować pewne działania. Dokładnie w 15 rocznicę beatyfikacji, 13 czerwca 2014 roku na ogrodzeniu posesji, na której znajduje się rodzinny dom Pisarskich została umieszczona pamiątkowa tablica. Jej odsłonięcia dokonał siostrzeniec błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego, Jerzy Cichocki. Poświęcenia tablicy dokonał dzie-



kan i proboszcz parafii św. Franciszka Ksawerego ks. Henryk Kapica w towarzystwie proboszcza parafii w Gdeszynie ks. Ryszarda Ostasza. Tablica jest darem parafii w Gdeszynie. Po tej uroczystości w kościele św. Franciszka Ksawerego odprawiona została uroczysta msza św. koncelebrowana. Następnie w sali widowiskowej Krasnostawskiego Domu Kultury, w obecności zaproszonych gości, władz samorządowych i licznie zgromadzonych mieszkańców miasta miałem zaszczyt otworzyć i poprowadzić uroczystą akademię rocznicową. W jej trakcie tematyczne referaty wygłosili: ks. Józef Maciąg - postulator w procesie beatyfikacyjnym, wspomniany już wcześniej ks. Ryszard Ostasz i dr Leszek Janeczek. Uroczystość uświetnił koncert fortepianowy. W czasie trwania Roku Błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego dr Leszek Janeczek zaprezentował jeszcze trzy prelekcje na temat ks. Pisarskiego - w Krasnostawskim Domu Kultury, parafii Trójcy Przenajświętszej

i w Bibliotece Miejskiej dla słuchaczy Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Do Gdeszyna pojechały dwie pielgrzymki z parafii św. Franciszka Ksawerego i parafii Trójcy Przenajświętszej. We wszystkich numerach Czasopisma artystycznego „Nestor”, jakie ukazały się w czasie trwania Roku zamieszczane były tematyczne artykuły. To były piękne dni i chwile, które na zawsze pozostaną zapewne nie tylko w mojej pamięci. Ale na tym nie koniec. Wiem to z całą pewnością, że błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski, pierwszy i jedyny krasnostawianin wyniesiony na ołtarze Kościoła katolickiego szykuje dla nas, mieszkańców jego rodzinnego miasta jeszcze większe niespodzianki i przeżycia...

Krasnostawskie kalendarium kultu błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego

Wszystko zaczęło się tu, w Krasnymstawie, w małym domku przy dzisiejszej ulicy Żurka 1, zamieszkiwanym przez rodzinę Pisarskich. Przypomina o tym umieszczona tam tablica pamiątkowa.

Jednak dzień przejścia do świętości, dzień przemiany człowieka grzesznego w osobę świętą nastąpił 30 stycznia 1943 roku w oddalonym o ponad sześćdziesiąt kilometrów Gdeszynie. To właśnie tam, w mroźny styczniowy dzień ks. Zygmunt Pisarski zginął męczeńską śmiercią z rąk niemieckich oprawców. Jego kult zaczął się właśnie tam, na zaśnieżonej wiejskiej drodze, w chwili padnięcia śmiertelnych strzałów.

Nieoficjalny jeszcze kult zamordowanego przez Niemców księdza rozwijał się i dotarł do rodzinnego miasta. W 1995 roku, na cztery lata przed uznaniem świętości Zygmunta Pisarskiego, na prośbę Marianny Odrzywolskiej, do Gdeszyna pojechała pierwsza krasnostawska pielgrzymka zorganizowana dla uczestników Dziennego Domu Pomocy Społecznej.

13 czerwca 1999 roku, pięćdziesiąt sześć lat po niemieckiej zbrodni w Gdeszynie, Jan Paweł II, papież Polak, w grupie 108 męczenników II wojny światowej wyniósł na ołtarze Kościoła pierwszego krasnostawianina, ks. Zygmunta Pisarskiego.

3 października w kościele św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, ks. biskup Mięczysław Cisko celebrował mszę św. dziękczynną,

w czasie której dokonał poświęcenia pierwszego krasnostawskiego obrazu błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego, namalowanego przez Andrzeja Misiurę.

W latach 2000-2001 w krasnostawskim więzieniu urządzano kaplicę. Jej patronem został ks. Zygmunt Pisarski. Uroczystego poświęcenia kaplicy i kolejnych, dwóch obrazów błogosławionego, pędzla Heleny Sawickiej dokonał 9 grudnia 2001 roku arcybiskup Józef Zyciński.

W kwietniu 2008 roku Rada parafialna parafii św. Franciszka Ksawerego podjęła uchwałę o organizacji corocznej pielgrzymki parafialnej do Gdeszyna. Pierwsza pielgrzymka odbyła się już 14 czerwca. Każdego następnego roku wyjazdy do Gdeszyna organizowała Wspólnota Rodzin Nazeretańskich pod przewodnictwem ks. prałata Piotra Kimaka.

14 czerwca 2009 roku, w 10 rocznicę beatyfikacji, w parafii św. Franciszka Ksawerego odprawiono uroczystą mszę dziękczynną.

Wrzesień 2010 roku zapisał się złotymi zgłoskami w historii parafii Trójcy Przenajświętszej. Ksiądz proboszcz Roman Skowron, w sobie tylko wiadomy i niemal cudowny sposób zdołał pozyskać dla parafii, pochodzący z kościoła w Soli konfesjonał, w którym spowiadał Zygmunt Pisarski. Konfesjonał, uważany za relikwię drugiego stopnia, zajmuje szczególne miejsce w kościele Trójcy Przenajświętszej.

30 września 2011 roku w Ogrodzie Biblijnym powstającym przy kościele św. Franciszka Ksawerego z inicjatywy i za sprawą proboszcza ks. Henryka Kapicy, zamontowano płaskorzeźbę przedstawiającą papieża Jana Pawła II i błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego.

30 kwietnia 2012 roku do parafii Trójcy Przenajświętszej przybyła pielgrzymka z Gdeszyna. Przywiozła ona dar w postaci obrazu błogosławionego. Został on umieszczony nad konfesjonałem ks. Pisarskiego. Proboszcz z Gdeszyna, ks. Ryszard Ostasz poprowadził krótkie rekolekcje i po raz pierwszy odprawił nabożeństwo ku czci błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego. Weszło ono na stałe do liturgii parafii Trójcy Przenajświętszej i jest odprawiane w każdy 30 dzień miesiąca.

17 czerwca 2012 roku arcybiskup Stanisław Budzik dokonał uroczystego poświęcenia Ogrodu

Biblijnego Jana Pawła II i Błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego.

W następnym roku, 2013, w rocznicę beatyfikacji, w kościele św. Franciszka Ksawerego prezentowana była wystawa pt. „Błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski” autorstwa Teresy i Janusza Sarzyńskich.

W rocznicę męczeńskiej śmierci ks. Zygmunta Pisarskiego, 30 stycznia 2014 roku Dzienny Dom Pomocy Społecznej zorganizował pielgrzymkę do Gdeszyna. Pielgrzymka weszła na stałe do kalendarza i jest organizowana corocznie przez Dzienny, a następnie Środowiskowy Dom Samopomocy, a w ostatnich latach przez Stowarzyszenie „Ku Dobru”.

3 kwietnia 2014 roku redakcja Czasopisma artystycznego „Nestor” ogłosiła rok 2014 „Rokiem ks. Zygmunta Pisarskiego”. Inicjatywę poparła stosowną uchwałą Rada Miasta Krasnegostawu.

Główne uroczystości „Roku ks. Zygmunta Pisarskiego” odbyły się 13 czerwca. Tego dnia nastąpiło odsłonięcie i poświęcenie tablicy pamiątkowej przy domu rodzinnym Pisarskich. Następnie odprawiona została msza święta w kościele św. Franciszka Ksawerego, a w Krasnostawskim Domu Kultury miała miejsce uroczysta akademii w 15 rocznicę beatyfikacji.

W latach 2014-2020 odbyło się wiele prelekcji na temat ks. Zygmunta Pisarskiego prowadzonych przez dr. Leszka Janeczka, które zapoznawały mieszkańców Krasnegostawu i okolicznych miejscowości z postacią błogosławionego, a na łamach Czasopisma artystycznego „Nestor” zamieszczono dużo informacji na ten temat.

11 czerwca 2015 roku Krasnystaw gościł wycieczkę dzieci ze szkoły w Gdeszynie noszącej imię Błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego. Dzieci zwiedziły najciekawsze miejsca naszego miasta, w tym kościół św. Franciszka Ksawerego, Ogród Biblijny i Szkołę Podstawową nr 1. Organizatorką wycieczki była Danuta Żukowska.

13-14 czerwca 2015 roku miałem okazję zorganizować w Gdeszynie imprezę pod nazwą I Festiwal Dziękczynienia Krasnostawsko-Gdeszyńskie „Kraśniaki”. W festiwalu wzięło udział wielu twórców i zespoły artystyczne z Krasnegostawu i okolic. W Gdeszynie odwiedziła nas pielgrzymka z Dziennego Domu Pomocy Społecznej

w Krasnymstawie, w którym miesiąc później, 17 lipca zorganizowano spotkanie „Nasi błogosławieni” prowadzone przez ks. Zbigniewa Kulika.

Od jesieni 2015 roku rolę krzewiciela kultu błogosławionego przejął Środowiskowy Dom Samopomocy, który już 28 października zorganizował wystawę „Bohaterowie na nasze czasy, wyprowadźmy ich z ukrycia”.

Latem 2016 roku w parafii Trójcy Przenajświętszej poświęcono nowy obraz błogosławionego, namalowany przez Piotra Tymochowicza.

W 2017 roku zorganizowano cykl wydarzeń, których organizatorem był Środowiskowy Dom Samopomocy. Zaczęło się 6 lutego od uroczystej akademii w Krasnostawskim Domu Kultury poświęconej ks. Zygmuntowi Pisarskiemu. 24 kwietnia uczestnicy ŚDS pojechali na pielgrzymkę do Gdeszyna w rocznicę urodzin błogosławionego. Główne uroczystości przypadły 26 kwietnia. Po mszy św. odprawionej w kościele św. Franciszka Ksawerego w czasie której poświęcono obraz patrona ŚDS, namalowany przez Leszka Firka, nastąpiło uroczyste nadanie Środowiskowemu Domowi Samopomocy imienia Błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego. W Krasnostawskim Domu Kultury odbyła się konferencja, na której odczyty wygłosili: ks. prof. Tomasz Kaczmarek - główny postulator w procesie beatyfikacji 108 męczenników, ks. Józef Maciąg - postulator w procesie beatyfikacyjnym Zygmunta Pisarskiego i prof. Zbigniew Krysiak.

27 czerwca zorganizowano pielgrzymkę objazdową „Śladami błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego”, odwiedzając wszystkie parafie, w których pełnił posługę ks. Zygmunt.

16 lipca 2017 roku w kościele św. Franciszka Ksawerego dokonano poświęcenia nowego ołtarza. Jego fundatorem jest ks. dziekan Henryk Kapica. Ołtarz poświęcony jest Matce Bożej Nieustającej Pomocy, błogosławionemu ks. Zygmuntowi Pisarskiemu i św. Janowi Pawłowi II. Obraz błogosławionego wyszedł spod pędzla Timura Kamira. Tego samego dnia ustanowiono nabożeństwo ku czci błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego, które po raz pierwszy odprawione zostało 18 lipca.

9 września 2017 roku do Gdeszyna wyruszyła Krasnostawska Pielgrzymka Rowerowa, którą zorganizowałem wraz z ks. Januszem Gzikim,

proboszczem parafii Matki Bożej Pocieszenia. Pielgrzymi powrócili późnym wieczorem tego samego dnia, po przejechaniu ponad 150 kilometrów.

Październik ubogacił nasze miasto w pierwszy szlak pielgrzymkowo-turystyczny „Droga życia błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego”. Realizatorem pomysłu była nieformalna grupa w składzie: Bożenna Pachla, ks. Zbigniew Kulik, dr Leszek Janeczek i piszący te słowa Zbigniew Atras. Otwarcie szlaku nastąpiło 19 października 2017 roku. W uroczystości wzięła udział liczna grupa zaproszonych gości, m.in. ks. prof. Tomasz Kaczmarek i prof. Zbigniew Krysiak. Tego dnia dostępny był przewodnik po szlaku, wydany, niestety, w bardzo małym nakładzie.

14 grudnia 2017 roku ukazała się książka pt. „Błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski” autorstwa pt. dziekana Henryka Kapicy. Promocja książki odbyła się 19 lutego, w ramach rocznicowej akademii zorganizowanej przez Środowiskowy Dom Samopomocy w KDK. Tam też zaprezentowana została wystawa „Błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski na krasnostawskich obrazach”.

W 75 rocznicę męczeńskiej śmierci błogosławionego, 30 stycznia 2018 roku, miałem zaszczyt złożyć na ręce burmistrza Krasnegostawu wniosek Stowarzyszenia „Ku Dobru” o nadanie ks. Zygmuntowi Pisarskiemu tytułu Patrona Miasta Krasnegostawu. Wniosek został poparty przez wszystkie miejscowe parafie. 24 kwietnia Komisja Samorządowa Spraw Społecznych, Handlu i Usług jednogłośnie udzieliła poparcia dla wniosku i przekazała go na sesję Rady Miasta. 27 kwietnia na XXXV sesji Rady Miasta Krasnystaw przegłosowano wniosek Stowarzyszenia „Ku Dobru” o nadanie błogosławionemu ks. Zygmuntowi Pisarskiemu tytułu Patrona u Boga Miasta Krasnegostawu. Wniosek przyjęto i przekazano do realizacji pani burmistrz.

24-25 kwietnia odbyły się Dni Patrona Środowiskowego Domu Samopomocy. W tych dniach gościliśmy w Krasnymstawie przedstawicieli Akcji Katolickiej z Warszawy i Lublina. W ŚDS wygłosił wykład ks. prof. Tadeusz Guz.

30.04-2.05 gościliśmy pielgrzymkę warszawskiej i lubelskiej Akcji Katolickiej. Goście zwiedzili Krasnystaw, w tym Ogród Biblijny i kościół św. Franciszka Ksawerego. W czasie pobytu

w Żuławie odwiedzili miejsce pamięci Prymasa Tyśiąclecia ks. bp. Stefana kardynała Wyszyńskiego, a także wawóz w lesie Baraniec. Ostatnim miejscem pielgrzymowania był Gdeszyn.

21 maja do Gdeszyna pojechała ponadstoosobowa pielgrzymka dzieci pierwszokomunijnych z parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. Dzieci wzięły udział w odsłonięciu tablicy szlaku „Droga życia bł. ks. Zygmunta Pisarskiego” na budynku dawnej szkoły w Gdeszynie.

26 kwietnia 2019 roku w Gdeszynie przeprowadzono ekshumację relikwii ks. Zygmunta Pisarskiego, w której uczestniczyli przedstawiciele Stowarzyszenia „Ku Dobru”.

W Ogrodzie Biblijnym została ustawiona kapliczka błogosławionego, którą 22 maja poświęcił arcybiskup lubelski ks. Stanisław Budzik.

Od 8 czerwca Telewizja Lublin na zlecenie Telewizji Polonia realizowała w Krasnymstawie, Tuczępach i w Gdeszynie zdjęcia do filmu dokumentalno-fabularnego poświęconego ks. Zygmuntowi Pisarskiemu. W zdjęciach uczestniczyli: ks. prałat Henryk Kapica, dr Leszek Janeczek i moja skromna osoba.

W 20 rocznicę beatyfikacji i 35 rocznicę parafii Trójcy Przenajświętszej odprawiona została uroczysta msza św. i koncert Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego.

23 czerwca w kościele Matki Bożej Pocieszenia odprawiona została uroczysta msza św. z wprowadzeniem i poświęceniem obrazu błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego pędzla Zbigniewa Kotyły.

2 września w gmachu Telewizji Lublin odbyła się premiera filmu „Patron pojednania”.

13 października 2019 roku w Gdeszynie odbyła się uroczystość intronizacji relikwii błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego celebrowana przez biskupa diecezji zamojsko-lubaczowskiej ks. Mariana Rojka. W uroczystości uczestniczyła pielgrzymka Stowarzyszenia „Ku Dobru” i pielgrzymka Środowiskowego Domu Samopomocy.

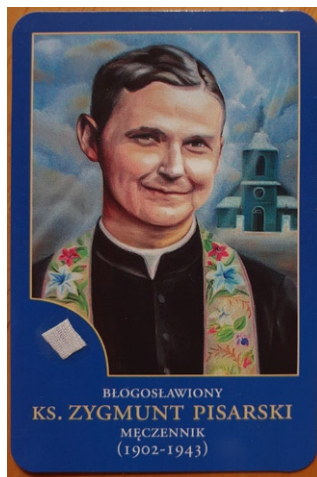
Powiatowa Biblioteka Publiczna zorganizowała 6 marca 2020 roku promocję książki Zbigniewa Kulika, a 16 marca ruszyła strona internetowa szlaku „Droga życia” promująca kult księży: Pisarskiego, Wyszyńskiego i Mysakowskiego, krasnostawskie szlaki pielgrzymkowe oraz historię Koś-

ciola katolickiego na ziemi krasnostawskiej.

Ze względu na obostrzenia epidemiologiczne i niemożliwość odbycia pielgrzymki, 24 kwietnia przeprowadzono transmisję internetową mszy św. z sanktuarium w Gdeszynie, sprawowanej w 118 rocznicę urodzin bł. ks. Zygmunta Pisarskiego - zrealizowaną przez Janusza Sarzyńskiego.

Począwszy od 2008 roku do Gdeszyna jeździły pielgrzymki z Krasnegostawu. W 2020 roku tradycja ta została zatrzymana. Realizowane są tylko wyjazdy indywidualne. Pomimo panującej pandemii koronawirusa SARS-CoV-2 i związanych z tym ograniczeń, pewne działania w zakresie krzewienia kultu błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego są realizowane. Być może są to najważniejsze inicjatywy z całego dotychczasowego kalendarza działań. Najbliższe dni i miesiące ukążą nam efekty podjętych inicjatyw.

Ks. Zygmunt powrócił do rodzinnego miasta



26 kwietnia 2019 roku w Gdeszynie przeprowadzono ekshumację relikwii ks. Zygmunta Pisarskiego. Dokonała tego specjalnie w tym celu powołana i zaprzysiężona komisja pod przewodnictwem ks. biskupa Mariusza Leszczyńskiego. W skład komisji wchodził: notariusz, lekarz, pielęgniarka, ks. dziekan miejscowego dekanatu, fotograf i pracownicy zakładu pogrzebowego. Wyjętą z grobu trumnę przewieziono do wydzielonego pomieszczenia na plebanii w Gdeszynie. Tam doko-



nano właściwej ekshumacji, czyli rekognicji relikwii błogosławionego. Zachowany materiał kostny przeanalizowano, udokumentowano i złożono do przygotowanego relikwiarza w kształcie trumienki. Został on następnie przeniesiony do kościoła w Gdeszynie. W uroczystej procesji prowadzonej przez biskupa Leszczyńskiego szli członkowie komisji, najbliższa rodzina i delegacja Stowarzyszenia „Ku Dobru”. Część relikwii (drobnego materiału kostnego) została zabezpieczona i złożona w katedrze w Zamościu.

13 października w Gdeszynie dokonano uroczystej intronizacji relikwii błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego. Uroczystości przewodniczył biskup diecezji zamojsko-lubaczowskiej ks. Marian Rojek. W czasie uroczystości dokonano złożenia relikwii w ołtarzu miejscowego kościoła. Do Gdeszyna przybyło wielu zaproszonych gości. Krasnystaw reprezentowali: starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk, burmistrz miasta Robert Kościuk, dwie pielgrzymki - pierwsza ze Środowskiego Domu Samopomocy, oraz druga z księdzem prałatem Henrykiem Kapicą zorganizowana przez Stowarzyszenie „Ku Dobru”. Do Gdeszyna przyjechało też wielu pielgrzymów indywidualnych z Krasnegostawu. Od tamtego dnia minęło trochę czasu. Był on potrzebny na przygotowanie właściwych relikwiarzy i urzędowych druków kurii zamojskiej, zaświadczających ich autentyczność. Po wykonaniu tych czynności można już było wystę-

pować z prośbą o relikwie. Pierwszy relikwiarz trafił do kościoła w Gdeszynie. O drugi i trzeci wystąpiły w grudniu ubiegłego roku parafie w Skierbieszowie i Zamościu - Matki Bożej Królowej Polski.

Teraz przyszedł czas na Krasnystaw, rodzinne miasto Zygmunta Pisarskiego. Pierwsze działania w tej sprawie podjęła parafia św. Franciszka Ksawerego, czyli rodzinna parafia ks. Zygmunta. Przecież to w tym kościele przyjął chrzest i kolejne sakramenty święte. To tu pełnił posługę w służbie ołtarza i tu odprawił swoją mszę prymicyjną. Decyzję o sprowadzeniu świętych relikwii i fundacji relikwiarza podjął ks. dziekan Jarosław Wójcik i Rada parafialna parafii św. Franciszka Ksawerego. Nastąpiło to w przededniu 78 rocznicy męczeńskiej śmierci ks. Zygmunta Pisarskiego w Gdeszynie. Działania były realizowane na przełomie stycznia i lutego. Ten historyczny dzień przewiezienia relikwii nastąpił 15 lutego. Miałem wielki zaszczyt uczestniczyć w tym wydarzeniu i pojechać z księdzem dziekanem do kurii diecezjalnej w Zamościu. Tam, po załatwieniu wymaganych procedur urzędowych, otrzymaliśmy z rąk biskupa zamojsko-lubaczowskiego ks. Mariana Rojka i kanclerza ks. Michała Maciołka ten przepiękny i jakże cenny dar. W naszych rękach (dokładnie to w rękach ks. dziekana) spoczęły święte relikwie błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego, ale już za chwilę miało się to zmienić. Po opuszczeniu kurii należało wsiąść do samochodu. Ksiądz dziekan prowadził, więc święte relikwie trafiły w moje ręce. Była to dla mnie wielka i podniosła chwila. Chwila nie tak krótka, bo trwająca ponad pół godziny. Tyle mniej więcej trwała podróż powrotna z Zamościa do Krasnegostawu. Relikwie umieszczone zostały tymczasowo na plebanii parafii i tu oczekiwały na uroczystość wprowadzenia do kościoła św. Franciszka Ksawerego. Na mszy św. w niedzielę 28 lutego ks. proboszcz Jarosław Wójcik zaprezentował parafianom zakupiony relikwiarz wykonany w stylu barokowym i zapowiedział planowane wydarzenie. 7 lutego w kościele odbyło się spotkanie Rady parafialnej, na którym omówiono wszystkie sprawy organizacyjne wydarzenia, które miało nastąpić w kolejną niedzielę.

Przyszedł ten oczekiwany, niedzielny dzień 14 marca. Po mszy św. o godz. 10.30 odprawione zostało nabożeństwo pasyjne gorzkich żali. Tuż



przed godziną 12 z parafialnej plebanii wyruszyła procesja ministrantów, księży i członków Rady parafialnej. Ksiądz proboszcz Jarosław Wójcik niósł święte relikwie błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego umieszczone w złoto-srebrnym relikwiarzu. Relikwiarz ustawił na ołtarzu, a następnie odmówił modlitwę powitalną, prosząc błogosławionego o stałą opiekę, ducha jedności, dar nawrócenia i wiary dla parafii oraz wszystkich jej wiernych. Mszę św. koncelebrowaną odprawili ks. dziekan Jarosław Wójcik i ks. prałat Henryk Kapica. W słowie wstępnym ks. proboszcz podkreślił, że po 78 latach nastąpił uroczysty dzień, w którym błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski, rodowity krasnostawianin powrócił do rodzinnego miasta i kościoła św. Franciszka Ksawerego, dawnej katedry biskupów chełmskich i lubelskich.

W słowach okolicznościowego kazania ks. prałat Henryk Kapica podkreślił, że oto przeżywamy wyjątkową chwilę, w której *po 78 latach od tragicznej i męczeńskiej śmierci, nasz kraj, który wyrósł w tej krasnostawskiej ziemi, w tej naszej społeczności miasta królewskiego Władysława Jagiełły, w stolicy diecezji chełmskiej, Błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski powrócił do nas...* (Fragment kazania ks. prałata Henryka Kapicy głoszonego 14 marca 2021 r. w kościele św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, które publikujemy w dalszej części „Nestora”).

Na zakończenie ks. proboszcz Jarosław Wójcik pobłogosławił wszystkich parafian świętymi relikwiami, które znajdują swoje stałe miejsce na ołtarzu Matki Bożej Nieustającej Pomocy, błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego

i św. Jana Pawła II. W ten sposób spełniły się marzenia wielu krasnostawian. Wieloletnie działania sporej grupy parafian przyniosły widoczny efekt. Zaczęło się od dziękczynnej mszy św. i kaplicy błogosławionego w krasnostawskim więzieniu. Od kameralnych spotkań, wspólnych modlitw, indywidualnych, a następnie grupowych pielgrzymek do Gdeszyna. Od snucia kolejnych planów krzewienia kultu błogosławionego. Od „Roku ks. Zygmunta Pisarskiego”, od patronatu dla Środowiskowego Domu Samopomocy, od rocznicowych akademii, od szlaku „Droga życia”. W efekcie tych

wszystkich działań coraz większa liczba mieszkańców Krasnegostawu dowiadywała się kim był ks. Zygmunt Pisarski. Coraz liczniejsza grupa wiernych czciła i szerzyła jego kult. Jednak pracy jest przed nami jeszcze bardzo wiele. Pracy, którą należy wykonać. Bo przecież ks. Zygmunt Pisarski to nie tylko patron księży diecezji zamojsko-lubaczowskiej i nie tylko patron pojednania polsko-ukraińskiego, za którego się go uważa i próbuje niemal zaszeregować i ograniczyć do tej roli. To przecież patron w szerszym znaczeniu słowa „pojednanie”. To patron pojednania między wszystkimi narodami, pojednania między ludźmi o różnych kolorach skóry, pojednania między ludźmi różnych wyznań, pojednania między ludźmi o różnych poglądach. To patron pojednania między ludźmi w ogóle. Między skłóconymi sąsiadami, przyjaciółmi i nieprzyjaciółmi, kolegami i koleżankami z pracy, braćmi, siostrami, krewnymi, znajomymi i nieznajomymi. To patron pojednania między rodzicami a dziećmi, mężami a żonami. Mówiąc inaczej to patron przebaczenia, zgody, tolerancji, zrozumienia, szacunku, bezinteresownej pomocy i miłości. Dziś błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski powrócił do rodzinnego miasta i kościoła. Ale to nie wszystko. Już niedługo czekają nas nie mniejsze uroczystości, które za sprawą naszego błogosławionego krasnostawianina będą miały swoje miejsce w prastarym, królewskim grodzie nad Wieprzem.

Zbigniew Atras

ks. Henryk Kapica

Intronizacja relikwii błogosławionego księdza Zygmunta Pisarskiego w kościele Świętego Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie



Ksiądz Zygmunt Pisarski, syn Stanisława i Władysławy, urodził się 24 kwietnia 1902 roku w Krasnymstawie. Miał dwie młodsze siostry: Mariannę i Władysławę. Został ochrzczony w parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. W tym też kościele przyjął pierwszą komunię św. i bierzmowanie. Zygmunt miał zaledwie osiem lat, kiedy umarła mu matka. Szkołę powszechną ukończył w Krasnymstawie i tutaj rozpoczął naukę w gimnazjum. Szkołę średnią kontynuował w Liceum im. Piusa X we Włocławku. Po jej ukończeniu, w roku 1921 wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Lublinie. Na kapłana został wyświęcony 26 czerwca 1926 roku w katedrze lubelskiej. Pracował jako wikariusz w Modliborzycach i Soli. Po dwóch latach kapłaństwa otrzymał nominację na proboszcza w Zamchu, było to ważne i trudne zadanie dla młodego księdza - tworzenie wspólnoty w nowej rzeczywistości po odzyskaniu przez Polskę wolności. Potem pracował jako proboszcz w Trzęsinach i Perespie. 1 sierpnia 1933 roku otrzymał nominację na proboszcza w Gdeszynie. Tutaj pracował bardzo gorliwie do czasów II wojny światowej. W parafii żyła dość spora grupa osób rusińskiego pochodzenia, dawniej unitów, którzy zostali po powstaniu styczniowym przymuszeni do prawosławia. Zabrano księdzu Zygmuntowi klucze od kościoła i sprowadzono prawosławnego księdza. Chciano, by katolicki kapłan opuścił parafię. Ksiądz Zygmunt postanowił nie opuszczać swojej owczarni. Modlił się w kaplicy zorganizowanej w jednym z pokoi na plebanii. Na przełomie lat 1942/43 uaktywniła się partyzantka polska, ale i sowiecka. Ślady działalności partyzanckiej prowadziły do Gdeszyna. Niemcy zawiadomili ukraińskiego sołtysa, aby zgromadził mężczyzn przed kościołem w dniu 30 stycznia 1943 roku. Chętnie się zgłosili, mając nadzieję, że Niemcy wysiedlą Polaków, a oni otrzymają ich gospodarstwa. Niemcy przybyli

na kilku saniach i weszli na plebanię. Ksiądz Zygmunt właśnie zakończył mszę św. Zapytali go, kto zabrał mu klucze od kościoła i zażądali ujawnienia bandytów (partyzantów). Ksiądz zaprzeczył jakoby tutaj byli bandyci. Nie powiedział też, kto zabrał mu klucze od kościoła. Jeden z Niemców uderzył w twarz księdza pistoletem. Potem wyprowadzili kapłana z plebanii, mężczyzn ustawili czwórkami, księdza postawili na końcu i pędzili wszystkich w stronę lasu. Naprzeciw domu Ukraińca, który zabrał klucze od kościoła, zatrzymali wszystkich, a księdza jeszcze raz zapytali, kto zabrał mu klucze od kościoła. A kiedy ksiądz milczał, jeden z Niemców podwójnym strzałem zabił kapłana. Pozostali sprostęgli, że są prowadzeni na śmierć, rozbiegli się. Niestety, prawie wszyscy zginęli. Po nad dwudziestu.

Kapłana mogło pogrzebać tylko kilku parafian. Prawdziwy, katolicki pogrzeb miał miejsce w roku 1948. Sprawował go biskup lubelski ks. Stefan Wyszyński, kolega z Liceum Piusa X.

13 czerwca 1999 roku papież Jan Paweł II beatyfikował 108 męczenników ostatniej wojny światowej, a wśród nich błogosławionych diecezji lubelskiej: biskupa Władysława Goralą, ks. Zygmunta Pisarskiego, ks. Kazimierza Gostyńskiego, ks. Stanisława Mysakowskiego, Stanisława Starowiejskiego.

Intronizacja relikwii błogosławionego księdza Zygmunta Pisarskiego miała miejsce dopiero 13 października 2019 roku w Gdeszynie, zaś w rodzinnej parafii błogosławionego w Krasnymstawie, dnia 14 marca 2021 roku. Relikwie wystarał się, z odpowiednim certyfikatem z kurii biskupiej w Zamościu, ks. dziekan i proboszcz parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie ks. Jarosław Wójcik. Uroczystą mszę św. intronizacji relikwii błogosławionego księdza Zygmunta Pisarskiego sprawował miejscowy dziekan ks. kan. Jarosław Wójcik i dawny proboszcz ks. Henryk Kapica, który wygłosił kazanie. Oto jego treść:

Po 78 latach od tragicznej i męczeńskiej śmierci, nasz kraj, Błogosławiony ksiądz Zygmunt Pisarski, który wyrósł w tej krasnostawskiej ziemi, w tej naszej społeczności królewskiego miasta Władysława Jagiełły, ze stolicy diecezji chełmskiej, powrócił do nas, do świątyni, w której otrzymał chrzest, przyjął komunię św., był bierzmowany,

odprawiał swoją pierwszą mszę św. Powrócił jako święty znak dla nas współczesnych i chce nam przypominać o naszym powołaniu do świętości, do życia według Ewangelii, według Jezusowych błogosławieństw, do życia według dziesięciu przykazań z góry Synaj.

Jesteśmy ludźmi, którzy potrzebują znaków, by wyrażać naszą wiarę, naszą miłość i naszą nadzieję, tak jak w życiu porozumiewamy się przy pomocy znaków, słów, gestów, jak wyrażamy nasze uczucia czy stany emocjonalne, przy pomocy znaków. Obdarowujemy się kwiatami, stawiamy na stoliku fotografie kochanych osób, budujemy pomniki.

Chrześcijaństwo od pierwszych wieków chrześcijaństwa, czcili szczątki świętych męczenników, by nieustannie poszukiwać kontaktu z Bogiem. To, że Bóg stał się człowiekiem, wszedł w nasz świat, daje nam dowód, że ludzkie człowieczeństwo, zarówno kiedy człowiek żyje, jak i po śmierci, może być znakiem samego Boga. Pismo św. powiada, że jesteśmy i że powinniśmy być świątynią Boga (Kor 3,16-17).

Sam dotykałem świętości, ze wzruszeniem wędrując jako pielgrzym, dotykając relikwii i miejsc, gdzie one się znajdują, stawałem przepełniony Bożą obecnością, czy to w Jerozolimie, dotykając skały, gdzie Chrystus po śmierci został złożony, czy pod bazyliką św. Piotra, klęcząc przy grobie wielkiego Apostoła, opoki Kościoła, czy w katakumbach rzymskich, sprawując mszę św. na grobach męczenników, czy wreszcie w Tunezji, w ruinach amfiteatru, gdzie poniosły śmierć Felicita i Perpetua, klęczając na pustyni przy ich grobie, a też na wielu innych miejscach.

Stąd też chrześcijanie, od pierwszych wieków chrześcijaństwa czcili relikwie, kości męczenników i świętych, a nawet przedmioty, którymi się posługiwali, wierząc w ich wielką moc Bożą i wierząc, że oni za nami się wstawiają u Boga i że oni pomogą nam nasze życie przeżyć pięknie, pomogą nam przezwyciężyć zło, które się sieje w nas jak chwast na polu.

W naszej parafii, niegdyś katedralnej, znajdowały się wspaniałe relikwie, szczególnie za czasów biskupa Krzysztofa Szembeka, który pierwszy raz koronował obraz Matki Bożej na Jasnej Górze w roku 1717. Był to niesamowicie gorliwy pasterz,

który ubogacał naszą katedrę, także w święte znaki, także w relikwie. Instalował w roku 1717, podczas synodu w katedrze krasnostawskiej, cenne relikwie patronów Polski - św. Wojciecha i św. Stanisława. Na nowym ołtarzu patronów Polski umieścił relikwie Krzyża Świętego, które otrzymał od kardynała Hannibala Albaniego, zreformował porządek liturgiczny w katedrze, zaprowadził bractwo Różańca św., dołączając do niego dawne bractwo św. Szkaplerza.

Podobnie jezuita, w tej świątyni, w której dziś się modlimy, w której modlił się ks. Zygmunt, umieścili wiele relikwii w ołtarzu głównym i w ołtarzach bocznych, jak chociażby: św. Franciszka Ksawerego, św. Stanisława Kostki, św. Franciszka Borgiasza, który przyjął do zakonu w Rzymie św. Stanisława Kostkę. Są tu relikwie św. Walentego, św. Antoniego z Padwy, św. Faustyna, św. Innocentego, św. Celestyna, św. Leona papieża, ale też takich świętych, o których niewiele wiemy jak: św. Werakonda, św. Wiktoria, św. Felicita, św. Apolonia, św. Blandina. W każdym naszym ołtarzu znajduje się kamień zwany portatylem z relikwiami świętych. Dawniej w ołtarzu głównym stało też sześć drewnianych relikwiarzy w formie małych trumienek, w których były relikwie drugiej klasy - a więc, przedmioty, którymi posługiwali się święci.

Dzięki ks. dziekanowi Jarosławowi i radom parafialnym dziś intronizujemy relikwie naszego krajana Błogosławionego księdza Zygmunta Pisarskiego w naszym kościele. Do tej litanii świętych i męczenników dołączmy relikwie naszego Błogosławionego, Bożego kapłana, Męczennika. Przebywały one w ziemi gdeszyńskiej do roku 2019. Mój poprzednik i ja domagaliśmy się, by znalazły się w świątyni parafialnej, w miejscowym ołtarzu. Dzięki obecnemu proboszczowi ks. Mariuszowi Rybińskiemu, doszło w dwudziestolecie beatyfikacji do wspaniałych uroczystości w Gdeszynie. Najpierw specjalna komisja pod kierownictwem ks. bpa zamojskiego Mariusza Leszczyńskiego, wydobyła śmiertelne szczątki błogosławionego z grobu, specjalny, zaprzysiężony lekarz, przebadał relikwie i fachowo opisał. Ten obrzęd wydobywania z grobu i badania relikwii, zwany jest po łacinie „recognitio” - „rozpoznanie”. Było to 26 kwietnia 2019 roku. Relikwie zostały złożone w specjalnej ozdobnej trumience i zapieczętowane.

Pragnę przypomnieć, że pogrzeb ks. Pisarskiego miał miejsce dopiero po wojnie, w roku 1948. Bowiem Niemcy nie pozwolili, by jakiś ksiądz mógł się modlić nad grobem Męczennika. Sprawował pogrzeb kolega Błogosławionego ks. Zygmunta z czasów nauki w Liceum św. Piusa X we Włocławku, dziś już błogosławiony, ks. biskup, a potem kardynał Stefan Wyszyński. Ks. kardynał był tylko o rok starszy od ks. Zygmunta. Ks. biskup Wyszyński na tym pogrzebie wypowiedział pamiętne słowa: „Taką śmiercią chciałbym umrzeć”.

Rozmawiałem z ks. bpem Leszczyńskim, który opowiadał o tym wydarzeniu wydobycia relikwii z grobu. Były tam, oprócz kości: brewiarz ks. Pisarskiego, księga modlitwy codziennej kapłana, różaniec, na którym się modlił, idąc na swoją kalwarię oraz metalowy krzyż z pasyjką Pana Jezusa, wyrwany z jakiegoś muru, może cmentarnego, a może kościelnego. Parafianie położyli krzyż w ten sposób, że figura Pana Jezusa dotykała ciała Męczennika, Jego serca. To niezwykle ciekawe. Chcieli w ten sposób powiedzieć, że ten kapłan, jego ciało umęczone, to ciało ukrzyżowanego Jezusa. Męczennik, to „alter Christus” - to drugi Chrystus.

Przeprowadzałem też wywiady z mieszkańcami Gdeszyna, którzy pamiętali tamte okrutne czasy, a niektórzy pamiętali ks. Pisarskiego. Jedna z kobiet, po wojnie, jako młoda dziewczyna jeździła furmanką w pole, obok cmentarza. I opowiadała, że na grób kapłana przybywał czasami jego ojciec. Przysiadywał na płycie grobu i przykładał swoją głowę do kamiennego grobowca. Niezwykle wzruszająca scena. Swoistego rodzaju ojcowska „pieta”.

Druga uroczystość, zwana intronizacją relikwii błogosławionego, miała miejsce w niedzielę, 13 października 2019 roku w południe, przy pięknej, słonecznej pogodzie, w otoczeniu barwnych, jesiennych drzew. Przybyło bardzo wielu pielgrzymów, seminarium zamojskie, wielu kapłanów, media, a przede wszystkim rodzina Błogosławionego, na czele z Jerzym Cichockim, siostrzeńcem naszego Męczennika, a też pielgrzymi z Krasnegostawu. Uroczystościom przewodniczył ks. biskup zamojski Marian Rojek. Najpierw uczestniczyliśmy w procesji z relikwiami dookoła świątyni. Relikwie nieśli czterej kapłani. Miałem przywilej wniesienia

relikwii do świątyni. Potem strażacy umieścili w ołtarzu, w specjalnym relikwiarzu, relikwie błogosławionego. Parafianie złożyli hołd modlitewny przed ołtarzem. Potem uczestniczyliśmy w uroczystej mszy św. koncelebrowanej, pod przewodnictwem biskupa, który wygłosił historyczne kazanie.

W kazaniu ksiądz biskup wspominał o dzieciństwie i rodzinie księdza Pisarskiego, bowiem w tym rodzinnym gnieździe kształtuje się serce człowieka, kształtuje się system wartości, według których układa człowiek swoje życie. Tutaj, w Krasnymstawie, w domu rodzinnym, który był pierwszą i podstawową szkołą człowieczeństwa, a potem kapłaństwa, uczył się ksiądz Zygmunt jak być dobrym człowiekiem, dobrym kapłanem, jak stawać się darem dla Boga i dla ludzi. Od rodziców uczy się bowiem człowiek podstawowych cnót, sprawności, nie tyle intelektualnych, ale przede wszystkim moralnych, duchowych, uczy się wiary tak mocnej, że nie lęka się dać siebie w ofierze Bogu i ludziom. U Błogosławionego ks. Zygmunta ta wiara zaprowadziła go na krzyż. Ta mocna wiara dała mu siłę, by nawet własnego wroga nie wydać prześladowcom. Tak jak Chrystus umarł za grzeszników, za swoich nieprzyjaciół, tak samo postąpił jego sługa, kapłan Zygmunt. Odczytali to poprawnie parafianie gdeszyńscy, kiedy napisali na krzyżu w miejscu Jego męczeństwa słowa: „Postulujący na głos serca i obowiązku kapłańskiego, oddał życie za nieprzyjaciół ukochanej Ojczyzny”.

Dziś do naszej świątyni zaprosiliśmy szczególnego gościa w znaku relikwii, naszego Błogosławionego Księdza Zygmunta i chcemy, by z nami na zawsze pozostał. Duchowo był zawsze z nami, do niego modliliśmy się i nadal modlimy się, odwiedzaliśmy go w Gdeszynie. Jemu też powierzamy nasze sprawy radosne, smutne i trudne. Jemu dziękujemy za naukę wiary, za wsparcie w naszych trudach, za orędownictwo w niebie. Cieszymy się, że jest z nami w znaku relikwii, bo przecież tutaj pogłębiał świat swojej wiary. Kościół jest drugą rodziną, gdzie człowiek uczy się człowieczeństwa i świętości.

Tutaj przybiegał jako dziecko i młody człowiek. Patrzył na tabernakulum, na Chrystusa - pokarm duszy, przyjmował go do serca, patrzył na pelikana, który jest nad tabernakulum i rozdrapuje własną pierś, by umierające z głodu dzieci na-

karmić własną krwią. Patrzył na Maryję i uczył się modlitwy różańcowej, której trzymał się jak wędrowiec wędrujący w górach trzyma się liny. Z różańcem szedł na własną golgotę. On tutaj patrzył na młodziutkich świętych św. Stanisława Kostkę i św. Alojzego, którzy ciągle powtarzali, że do wyższych rzeczy zostali stworzeni.

Tutaj spoglądał na św. Franciszka Ksawerego, który na własnych ramionach niesie Hindusa i w ten sposób patron naszej świątyni ukazywał mu drogę miłości, podpowiadał, jak być dobrym pastorem. Owce nosić na własnych ramionach. I tak czynił jako kapłan. On patrzył na patrona naszej parafii, który przeistaczał się w herosa, mocarza wiary, który pragnął cały świat do Boga nawrócić. Dla niego każdy człowiek, Polak, Żyd, Ukraińiec, katolik, prawosławny, był dzieckiem Boga.

Patrzył na środek sklepienia prezbiterium, gdzie znajduje się św. Franciszek w niebie, w chmurach, wśród aniołów. Przyglądał się na różne znaki, które zdobią sklepienie świątyni, które jest symbolem nieba. Nawet znaki zodiaku namalowane na sklepieniu opowiadały mu, zwłaszcza kiedy był w liceum i w seminarium, o drodze i celu naszej ziemskiej wędrówki.

Ot, chociażby Rak. Rak idzie do tyłu i napis to potwierdza: „Redi ad Dominum” - „Powrócił do Pana”. Franciszek w Niebie - powrócił do Pana. Cel życia - powrócić do Pana, niosąc całe naręcza dobrych czynów. Błogosławiony ksiądz Zygmunt powrócił do Pana i nas zachęca, byśmy tak żyli, tak kochali, tak walczyli z grzechami, by powrócić do Pana.

Lew, królewskie zwierzę, stróż i opatrność. Namalowany w pobliżu św. Franciszka jako herosa uczy nas, a z pewnością i uczył naszego Błogosławionego, że mamy bronić wiary, a jeśli trzeba za nią umierać, jak Chrystus, mając w perspektywie ostatecznej Zmartwychwstanie. A dziś uczy nas tego święty nasz krajan, ks. Zygmunt.

Inny znak to Baranek - symbol ofiary, Chrystus stał się ofiarą, darem, za grzechy moje, twoje i całego świata, tak i ks. Zygmunt stał się barankiem ofiarnym na polskiej ziemi, na polskiej drodze, usłanej białym dywanem śniegu, skropionej czerwienią Jego męczeńskiej krwi.

Jeszcze inny znak zodiaku, to Byk albo Wół - symbol ofiary, ale też mocy, wytrwałości, nieugię-

tości i napis: „Natus tolerare” - „Trwać w Synu”. Nie być chwiejnym, nie poddawać się różnym naciskom, dziś np. mediom, modzie, różnym ideologiom. Ks. Zygmunt nie bał się zagrożeń, nie uciekł od swojej owczarni, nie wydał swoich nieprzyjaciół, by ratować życie, do końca trwał w swej wierze, przy Synu Bożym. Dodatkowo malarz domalował plug, który ciągnie Wół, by robić bruzdę, a siewca wrzuca ziarno, by dało nowe życie. „Jeśli ziarno pszenicy wyrzucone w ziemię nie obumrze pozostanie tylko samo, ale jeżeli obumrze, przynosi plon obfity”. (J 12,24). Tym ziarnem dorodnym był nasz krajan ks. Zygmunt. To ziarno zostało wrzucone w ziemię, ale wydało plon stokrotny. Otrzymał nowe życie, nieprzemijające w niebie i tym życiem, jak Chrystus, dzieli się z nami. Jego duch, jego wiara i jego miłość, zostały wypalone w Bożym ogniu i stały się złotym skarbem złożonym przed Bożym tronem i Bożym skarbem świętości, którym chce się dzielić z nami.

Cieszymy się, że te relikwie, które są znakiem jego męczeństwa i znakiem świętości, stają się dla nas tym nowym ziarnem i owym złotym kruszcem, skarbem na życie wieczne. Ksiądz Zygmunt powrócił do nieba, ale też powrócił w znaku relikwii do swego domu, parafialnego kościoła, w którym został włączony do rodziny chrześcijańskiej i w którym wrastało jego powołanie kapłańskie. Módlmy się, by wypraszał dla nas Boże łaski, dla parafii, miasta i naszej Ojczyzny, by wypraszał nam wiarę głęboką, wzajemną miłość i wlewał nadzieję spotkania w niebie po naszej śmierci.

Amen.

ks. Henryk Kapica



rys. Robert Znajomski

Jan Henryk Cichosz

Rozmyślania pod wieczór



Najnowszy tomik poezji Edwarda K. Rogalskiego „Kiedy pada światło” zawiera czterdzieści siedem wierszy. Szukałem w nim wierszy, które zapamiętałem z jego wcześniejszych publikacji. Oto jeden z tych zapamiętanych:

*Zostawiam uśmiech na drogach
Końskim śladem malowanych
Ukrywam dźwięki z fortepianu wierzby
Żywicą namaszczałam nogi ptakom
Zasłuchany w akordy pszczoł pod lipą
Zabieram garściami tajemnicę traw
I chciałbym być ujść mógł
W świątynię spokojnych prawd*
(„Pejzaże polskie”, s. 9)

Nie jestem do końca pewny, wydaje mi się, że w wersji drugiej od góry zamiast „końskim śladem malowanych” pierwotnie było „końskim łąnem malowanych”... i chyba ta wcześniejsza wersja lepiej i prawdziwiej oddaje urodę tego lirycznego wiersza.

Z tych pierwszych wierszy odnalazłem w tym tomiku jeszcze wiersz „Rodzice”. I w tym miejscu warto wspomnieć o tym, że Edward Krzysztof Rogalski, który od roku 1983 mieszka w Szczecinie, urodził się w Rudniku k. Krasnegostawu i współtworzył Grupę Literacką „Słowo” w Krasnymstawie oraz Grupę Literacką „Zamoście”.

*Siedzą
Na pniakach obok studni
Którą wykopali aby mnie napoić
Rośnij - powtarzali
Mają tranzystor i patrzą w niebo
Mówią że na zbawienie dusz czekają*
(„Rodzice”, s. 27)

A jakie są pozostałe wiersze w tym tomiku? Są różne, tzn. liryczne, filozoficzne, metafizyczne, polityczne i sakralne.

*Maryjo
Najświętsza Panno
Święta dziewico
Co różą rozkwitasz
Na łodzi jasnych prawd
Płyniesz strzelistą falą miasta
Wokoło szarfy i wstążki
Matko
Przenajświętsza krynico
Promieniem słońca
Ulicą
Jak rzeka płyniesz
Bez końca*
(„Procesja”, s. 58)

Wcześniej wspomniałem o związkach poety Rogalskiego z jego rodzinnymi stronami, co nie bez znaczenia znajduje odbicie w jego twórczości, choćby w wierszu „Czterowiersz krasnostawski” (s. 7):

*Niebieskozielona jest trawa nad Wieprzem
A wierzby i jabłonie przepętniają pobliskie ogrody
I zegar na wieży ratusza wyraźny
/.../
Miasto z błękitem i dwiema rybami nad głową
Pradawnymi słowami strzeżesz poza czasem
Królewskich znużonych twarzy ciszy
Co milczą niepokojem tysiącletnich horyzontów.*

Poetycki świat zawarty w tym tomiku jest tak różny i niezwykle, że aż trudny do ogarnięcia. Dlatego dla mnie, jako zwykłego odbiorcy poetyckiego słowa, wieloznaczność tej poezji i jej stylów zatrzymała ją przy sobie na dłużej...



Jan Henryk Cichosz

Edward Krzysztof Rogalski
„Kiedy pada światło”.
Wyd. Polihymnia.
Lublin 2019, ss. 72.

Edward Krzysztof Rogalski

Czterowiersz krasnostawski

1.
Niebiesko-zielona jest trawa nad Wieprzem
A wierzy i jabłonie przepęlniają pobliskie ogrody
I zegar na wieży ratusza wyrażny

Tam pani domu w rozpiętej sukience swych lat
O smagłej twarzy waha się
Podchodzi do okna

Giętka ukazuje giętką dłoń
A była kiedyś tancerką
I wyszła za opoję
Który teraz często przesiaduje w pubie
I ciągle zostawia ją samą

2.
Przechodzę obok tego domu
W leniwym szaroróżowym brzasku

Zaciągnięte zasłony lecz okna otwarte
Delikatny wiatr od rzeki jest
Jak jej oddech na moim policzku

Cały dzień wędruję w przelotnym deszczu
Zrywam czerwoną różę w pustym parku
Obok pomnika historii
Jedynie krople przywarły do płatków

Widzę ją niewyraźnie w ruchu
Między oświetlonymi ścianami
A pragnieniem moich warg

3.
Ile teraz masz lat smagła przeszłości
Która tkasz brzegi rzeki błękitnym lnem
Pyzatymi brzożami w zielonej zamieci

Święci na starych wieżach kościoła
Woda kanałów niepomna granic morza
Stare melodie - koronkowe strzępy pamięci
Kołyszają senne ptaki rozsypane po niebie
I moje serce
Kiedy zachód jest cichy wiąże w obfity bukiet
Leciutkie dotknięcie lilii i dziwny nadmiar
Sierpniowej rosy



4.
Miasto z błękitem i dwiema rybami nad głową
Pradawnymi słowami strzeżesz poza czasem
Królewskie znużone twarze ciszy
Które milczą niepokojem
Kilkuset letnich horyzontów

Wspomnienia

Są chwile gęste od dawnych krajobrazów
Ciężkie od dróg z tumanem kurzu
Zapachu mokrej, gliniastej ziemi
Z zsuwającą się kroplą po liściach

I twarze naokoło już mniej wyraźne
Nie ma w nich miejsca dla łez
I uśmiechów
A jeżeli już to cichaczem
W głębinie przez niezliczone sążnie
U źródła bijącego od zawsze
W wiecznej mądrości pokornego drzewa

W ogrodach

Najszybciej zmieniają się barwy
I kształty kwiatów
Jedynie wąż niezmiennie
Omija stopę OGRODNIKA

On doskonale zna
Jego miejsce pobytu
I w każdej chwili może
Zmiażdżyć jego głowę
Lecz pełen majestatu
Od czasu do czasu
Skrapia wodą
Spękaną ziemię

Chociaż zroszona
Formowaniu poddaje się
Z trudem
A nasiona rzadko obumierają
By cieszyć owocem

Amelia Pudzianowska



Do syreny

syreno smażona na głębokim oleju
wydzielasz mleko ze swej bladej piersi
dla chłopców jak odcisk na lewej pięcie szatana

syreno z rybim układem rozrodczym
kusisz mężczyzn ze skórą obwisłą
których ciało usiłuje być człowiekiem

syreno na haczyku w kształcie obrączki
nie każdy jest godzien wejść po schodach kręgosłupa
tam gdzie nie ma imion są tylko westchnienia

Przemoc

będziemy rzucać w psy kamieniami
aż się skóra rozłączy z mięsem
aż sierść krwią przemoczona
nie połaskocze nas w twarde serca

my barbarzyńscy ze złotymi paznokciami
kamieniem tłumaczyć będziemy prawo licyfera

psie dusze nieznające grzechu ani dobra
parzyć będą nas w ręce jak różaniec

przezroczyście anioły osłaniają psy ciałem
zakrwawione skrzydła nie mogą wznieść się do nieba
płaczą a ich woda koi otwarte rany
i czasem rozmiękcza serca tych
co jeszcze czytają wiersze

Dziewica pisze erotyk

nie dotrzesz do mnie niedomyty książę
ze stopami miękkimi jak skóra ślimaka
strzegą mnie aniołowie z dmuchanymi mieczami
nie ukazuj twarzy twych bezbożnych kolan
jesteśmy obcy jak dwie strony pięści
ty chcesz zrzucić skórę z nagiej prawdy
a mi od orgazmów bliższa jest poezja

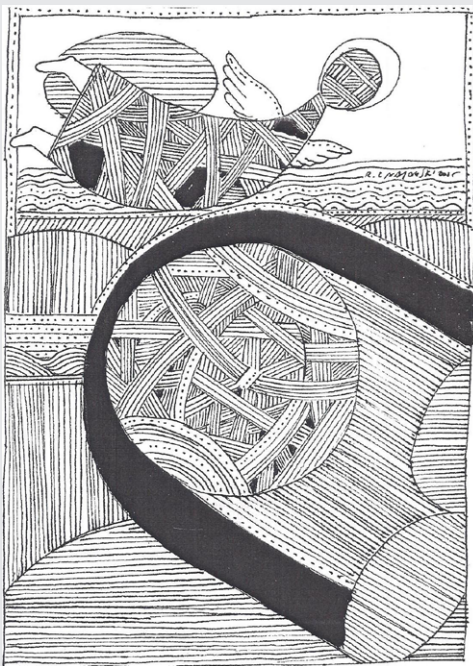
Żebro Adamowe

żebro papierowe
my wszystkie które rozkleja
słony ocean wylanych łez
można z nas czytać
choć same wydajemy się być
jedynie materia

żebro z kamienia
my wszystkie o roztraskanych twarzach
chcieli zrobić z nas ogień
pocierając ciała aż stały się szorstkie
dlatego nikt nie kładzie nas w miękkie pościele

żebro plastikowe
my wszystkie - nieudany eksperyment
puste, szeleszczące, zużywamy się
szybciej niż rodzimy
nocami śnimy o recyklingu

żebro z kości
starannie sklejonny pył ziemi
Boża obietnica
i dużo ciszy



rys. Robert Znajomski

Wiesław Krajewski

Uwaga! Trucizna!



Przechodziłem jakiś czas temu obok jednej z posesji przy ulicy Okrzei. Przed płotem, tuż obok chodnika ktoś urządził sobie rabatę z kwiatami. Bardzo ładnymi zresztą. Przed nią natomiast umieścił tabliczkę z ostrzeżeniem: „Uwaga! Spryskano monotlenkiem diwodoru. Nie wprowadzać psów!”. Znaczący - trucizna. Niedawno słyszałem, że preparat ten zyskał sporą popularność i okresowo rozpylany jest też m.in. na trawniku przed kościołem Dominikanów w Poznaniu, na jednym z osiedli w Gdyni i w którymś z miast zachodniej Polski. Ostatnio natomiast dotarła do mnie niepokojąca informacja, że monotlenek diwodoru wykryto w szczepionkach przeciw COVID-19!



UWAGA!!!

Wyciekła informacja, że szczepionki na koronawirus SARS-CoV-2 firm Pfizer, Moderna i Astra Zeneca zawierają **monotlenek diwodoru!**

Jest to bezbarwna, bezwonna i pozbawiona smaku substancja, w której skład wchodzi wysoce niestabilny rodnik hydroksylowy.

Monotlenek diwodoru odpowiada za tysiące zgonów każdego roku spowodowanych jego wdychaniem. Mimo to, nie został uznany przez nadzór farmaceutyczny za substancję niebezpieczną! Ponadto jest on składnikiem wielu trucizn i źródłem kataklizmów

Proszę, nie lekceważcie tego i zasięgajcie informacji na temat ryzyka związanego z monotlenkiem diwodoru z niezależnych źródeł informacji!

Czas przyjrzeć się bliżej omawianej substancji. Monotlenek diwodoru w literaturze anglojęzycznej określany jest jako *dihydrogen monoxide*, w skrócie DHMO. Inne nazwy tego związku to kwas hydrohydroksylowy, wodorotlenek wodoru, kwas wodorotlenowy. Międzynarodowa Unia Chemii Czystej i Stosowanej (*International Union of Pure and Applied Chemistry*, IUPAC) dopuszcza też nazwę *oksydan*. Literatura fachowa podaje, że jest to związek bezbarwny (o nieco jasnoniebieskawym odcieniu), bezwonny, nie ma określonego smaku. W przyrodzie występuje w dość dużych ilościach, choć są regiony świata wyraźnie ubogie w jego zawartość. Szczególnie obfite w monotlenek diwodoru są rzeki i Wielkie Jeziora Ameryki Północnej. DHMO wykryto nawet w lodach Antarktydy. W normalnych warunkach występuje w postaci płynnej (podobnie jak rtęć), w stanie gazowym natomiast jest lżejszy od tlenu węgla (czadu) i unosi się, sięgając nawet górnych warstw atmosfery.

Czy jest to substancja trująca? W myśl zasady Paracelsusa *Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną, bo tylko dawka czyni trucizną* (łac. *Omnia sunt venena, nihil est sine veneno. Solā dosīs facit venenum*). Badania wykazały, że tylko w umiarkowanych ilościach jego spożycie nie jest szkodliwe dla ludzi i zwierząt. Ogólnie jednak jego wpływ na środowisko naturalne i organizmy żywe jest ogromny i nie da się go zbagatelizować. Jest ponadto bardzo silnym rozpuszczalnikiem i czynnikiem chłodniczym, co sprawia, że używany jest powszechnie w wielu procesach przemysłowych, a także w reaktorach jądrowych. Dlatego stosowanie go nie jest zakazane w większości krajów świata. Również nasz rząd (podobnie zresztą jak i amerykański) nie zdecydował się na jakiegokolwiek ograniczenia, motywując to jego ważnym znaczeniem dla gospodarki narodowej. Monotlenek diwodoru ma więc swoich zwolenników, ale ma też zagorzałych przeciwników.

Ci ostatni zwracają uwagę na fakt, że DHMO powoduje rocznie tysiące zgonów! Większość z nich spowodowana jest przypadkowym dostaniem się go do płuc. Pierwszymi objawami przedawkowania kwasu wodorotlenowego są nadmierne pocenie się, znaczne zwiększenie ilości wydalanego moczu, nudności, wymioty oraz zaburzenie równowagi elektrolitycznej organizmu.

Dochodzi do wypłukania z komórek jonów sodu, co może prowadzić nawet do obrzęku mózgu (!). Odnotowano też wystąpienie poważnych oparzeń po ekspozycji na DHMO. Wykryto go także w komórkach nowotworowych, przede wszystkim tych złośliwych, i w płynie mózgowo-rdzeniowym noworodków. Stosowany jest jako dodatek do gotowych produktów żywnościowych typu instant. O dziwo, Światowa Organizacja Zdrowia nie zajęła, jak dotąd, jednoznacznego stanowiska w tych sprawach.

Przeciwnicy zwracają uwagę, że DHMO jest także głównym składnikiem kwaśnych deszczów i tzw. *chemtrails*, w tym smug kondensacyjnych powstających za lecącymi samolotami. Odpowiada również za erozję gruntów, niszczenie zabytków i odgrywa istotną rolę w procesach prowadzących do efektu cieplarnianego. Podkreślają oni, że wiele fabryk i zakładów przemysłowych wprowadza duże ilości DHMO do rzek i jezior, skąd trafia potem do mórz i oceanów. Procederu tego nikt nie kontroluje, ponieważ *de facto* i *de iure* jest to działalność legalna.



Kontrowersje wzbudza też fakt, iż DHMO przyczynia się do korozji metali, zwarć w obwodach elektrycznych, jest czynnikiem powodującym zatonięcia statków. Jest dodawany do żywności, zwłaszcza napojów w sieciach restauracji McDonald's i podobnych. Wywołuje uzależnienia u osób nadmiernie spożywających takie napoje. Pozbawienie dostępu do DHMO powoduje u tych osób śmierć, zwykle już po kilku dniach. W 2002 roku, podczas okresowego przeglądu stacji wodociągów w Atlancie, stwierdzono tam - jak podały niezależne media - „duże ilości oksydanu”. Rzecz-

nik wodociągów natychmiast zdementował tę informację, podając, że nie ma go tam więcej niż przewidują normy. Nie wiadomo, jakie były skutki tego „przecieku” i kto mówił prawdę.

Na całym świecie podjęte zostały próby zdelegalizowania DHMO. Pierwsze naukowe doniesienia na ten temat opublikowano na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Cruz w 1990 roku, choć pierwsze wzmianki w prasie podali dziennikarze „Durant Express” już w 1983 roku. Problem trafił do Internetu. Zwolennicy i przeciwnicy starli się na słowa. Ci, którzy są „za”, utworzyli nawet stronę *Friends of Hydrogen Hydroxide*, na której udowadniali, że monotlenek diwodoru jest bezpieczny dla środowiska, a także „poprawia funkcjonalność, wzrost i zdrowie wielu form życia”. W Stanach Zjednoczonych powstała Koalicja dla Zakazu Stosowania DHMO. Z kolei w lutym 2011 roku, podczas kampanii wyborczej w Finlandii połowa z kandydatów opowiedziała się ograniczeniem dostępu do monotlenku diwodoru. Ale, jak to z obietnicami wyborczymi bywa - te też się nie sprawdziły. W 1998 roku jeden z członków parlamentu federalnego Australii ogłosił kampanię na rzecz zakazania kwasu wodorotlenowego na świecie. W 2001 roku jedna z posłanek w parlamencie Nowej Zelandii z ramienia Partii Zielonych wsparła kampanię na rzecz zakazania stosowania monotlenku diwodoru. Efekty tych działań okazały się jednak mizerne. Inicjatywy te nie mają wsparcia rządzących, a lobby przemysłowe i interesy gospodarcze światowego biznesu są zbyt silne.

Mimo, że skutki działania wodorotlenku wodoru są bardzo realne, to jedyne, co nam pozostaje, aby zapewnić sobie i bliskim jako takie bezpieczeństwo, to zachować ostrożność i zdrowy rozsądek, co nie zmienia zupełnie powagi sytuacji. Nie mówi się o tym wprost, ale omawiany związek ma jeszcze jedną nazwę zwyczajową - woda, wzór - H_2O , czytaj: monotlenek diwodoru.

Wiesław Krajewski

PS

Moim znajomym z ulicy Okrzei gratuluję pomysłowości i jednocześnie przepraszam za zdemaskowanie mistyfikacji.

Anna Bembenek

Urodziłam się w Krasnymstawie i to tutaj spędziłam dzieciństwo. Razem z siostrą, rodzicami i dziadkami mieszkaliśmy w dużym domu przy ulicy Kilińskiego. Za domem rozciągał się ogród poszatkowany grządkami warzyw. Dla mnie, dla małej dziewczynki był to raj, miejsce zabaw, odkrywania natury, obserwowania pieczołowitej pracy mrówek, biegania za motylami. Miejsce pełne smaków i zapachów, które karmi, bawi i koi. Ulica Kilińskiego była w tamtych czasach spokojną, pokrytą kostką brukową uliczką, na której jedynie z rzadka pojawiały się samochody, dlatego od rana do wieczora tętniła życiem. Ludzie przystawali przy ogrodzeniach, aby porozmawiać z sąsiadami. Dzieci organizowały zabawy. Było bezpiecznie. Wszyscy się znali i odwiedzali.

Odkąd pamiętam lubiłam rysować i malować. Prawdziwą pasję tchnął jednak we mnie pan Godlewski. Pan Edward wraz z żoną Zofią mieszkał przy ulicy Kościelnej. Tam też miał pracownię malarską, do której po raz pierwszy przyprowadziła mnie moja koleżanka z podstawówki Agata Szura. Zachwyciła mnie atmosfera tego miejsca, zapach farb, obrazy, książki, ale też sama postać starszego, poważnego a zarazem życzliwego malarza. On też chyba zobaczył we mnie jakąś iskrę, bo pozwolił mi przychodzić raz w tygodniu. I tak zaczęła się moja przygoda z malarstwem, która trwa do dzisiaj.

Zanim zaczęłam malować, przez kilka pierwszych zajęć przypatrywałam się pracy mojego nauczyciela. Patrzyłam jak miesza farby na palecie, obserwowałam ruchy pędzla na płótnie. Podglądałam jak wyczarowuje pejzaże, drewniane chałupki, babcię w chuście niosącą na plecach chrust, białe obłoczki na niebie, szron na ośnieżonych gałęziach drzew... W tle zazwyczaj snuła się muzyka klasyczna lub ludowa z radiowej dwójki.

Następnym etapem mojej nauki były próby kopiowania obrazów mojego mistrza, a potem



Przed Krasnostawskim Domem Kultury. Edward Godlewski, Wiktoria Miężał i Zofia Godlewska (z d. Siewier), lata 50. XX wieku (nie istnieje jeszcze budynek KM PZPR, gdzie obecnie znajduje się II LO im. C.K. Norwida).

praca nad własnymi. Bardzo ciepło wspominam również panią Zofię, która od czasu do czasu wpadała do pracowni z wielkim uśmiechem oraz talerzykiem pełnym cukierków. Cieszę się, że mogłam poznać tych pełnych empatii, ciepłych ludzi.

Po ukończeniu szkoły podstawowej wyjechałam do Nałęczowa, gdzie w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych kontynuowałam swoją artystyczną pasję. Było to niezwykle miejsce, w którym spotkałam ludzi o podobnych zainteresowaniach i ideałach, jak moje. Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do Krasnegostawu, odwiedzałam pana Godlewskiego, aby pokazać mu swoje prace.

Czas studiów to Zielona Góra i Instytut Kultury i Sztuki Plastycznej, który wprowadził mnie w tajniki sztuki współczesnej pod okiem takich profesorów jak Jan Berdyszak i Stanisław Kortyk. Zielona Góra stała się moim drugim domem. Tutaj poznałam mojego męża Andrzeja. Tutaj urodził się mój syn Kuba i tutaj zamieszkałam. Obecnie zawodowo zajmuję się grafiką 2D i 3D oraz animacją. Jednak pasja do malarstwa pozostała wciąż ważna w moim życiu. Wraz z mężem mamy pracownię, w której spędzamy każdą wolną chwilę.

W pasji tej bardzo ważna jest dla mnie swoboda twórcza. Nie maluję na zamówienie. Maluję, kiedy czuję potrzebę wyrażenia się w jakimś temacie. Zazwyczaj swoją wypowiedź nie ograniczam do jednego obrazu, maluję w seriach. Inspiracje są bardzo różne. Jedna z takich serii opowiada na przykład o podróżach. Poprzez pejzaże z okna samochodu starałam się oddać atmosferę transu, w jakim znajduje się człowiek podróżujący. Inną poświęciłam baletowi „Święto wiosny” Igora Strawińskiego w choreografii Piny Bausch. Postać niemieckiej choreografki i tancerki, a także jej niezwykła sztuka od wielu lat mnie porusza. Jej podejście do baletu, do ludzkiego ciała, do emocji urzeka mnie, dlatego spróbowałam podjąć ten temat i na pewno do niego wrócę.

Obecnie pracuję nad serią kwiatów. Nie są to jednak piękne kwiaty w klasycznym tego słowa znaczeniu. Są to kwiaty z oznakami przemijania, na granicy wędnięcia. Zachwyca mnie dramatyczna struktura, która pozostaje po jędrnej, nęcącej formie kwiatu. Tak jakby resztkami swego istnienia próbowała wykrzyczeć, że jeszcze jest, że jeszcze nie koniec. Jest to zamrożony ułamek sekundy dramatycznego tańca. Każdy kwiat namalowany jest osobno, nie w bukiecie. Każdy obraz tej serii to indywidualny portret pojedynczej rośliny. Bez kontekstu tła. Kwiaty umieszczam w ciemnobrązowej przestrzeni, w ten sposób chcę podkreślić pustkę i samotność, jaka towarzyszy każdej istocie w momencie odchodzenia. Jednak, wbrew pozorom, nie chcę zasmucić tymi obrazami widza. Wierzę, że odbiorca zobaczy w nich również nadzieję i myśl, że każdy moment życia ma swoje piękno i wart jest pochylecia się nad nim.

Rolą malarza jest uwiecznianie w długim procesie pracy twórczej ulotnej chwili. Jest to praca często żmudna, pełna potknięć i rozczarowań, ale i zachwytów. Jednak zawsze dotyczy ona chwili. Czegoś, czego już nie ma. Tych kwiatów również już nie ma. Dawno zwiędły i obeschły. Pozostał po nich tylko popiół. Obrazy te są czymś w rodzaju kapsuły pamięci po światach, których już nie ma a zarazem istnieją póki o nich pamiętamy.

Inną dziedziną mojej aktywności plastycznej jest malarstwo cyfrowe (*digital painting*). W tej technice, za pomocą tabletu graficznego maluję

portrety. Są to głównie portrety bliskich mi osób: mojego syna, męża, autoportrety.

Na swoim koncie mam kilka wystaw indywidualnych:

1998 - Galeria Cafe Bumerang - malarstwo (Zielona Góra)

2001 - Galeria Teatru Lubuskiego „Na Balkonie” - malarstwo (Zielona Góra)

2011 - Galeria „Pro-Arte” - „Obrazy z szuflady” - malarstwo (Zielona Góra)

Uczestniczyłam również w szeregu wystaw zbiorowych, między innymi:

2001 - Galeria BWA - Salon Jesienny (Zielona Góra)

2003 - Galeria „Pro-Arte” - Pokolenie (Zielona Góra)

2003 - Galeria Młodych GA (Kraków)

2005 - Galeria BWA - Salon Jesienny (Zielona Góra)

2005 - Finalistka konkursu Fundacji im. Franciszki Eibisch, CFP, Warszawa

2007 - Galeria Stara Prochownia - „Zielonym do Góry” (Warszawa)

2007 - Wystawa pokonkursowa - III Konkurs na Obraz dla Młodych Malarzy im. Mariana Michałika - Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie

2010 - Galeria BWA - Salon Jesienny (Gorzów Wielkopolski)

2011 - Muzeum Ziemi Lubuskiej - 100 lat ZPAP (Zielona Góra)

2011 - Galeria BWA - Salon Jesienny (Zielona Góra)

2015 - Wystawa Jubileuszowa pt. My 60 - lat OZZPAP, Galeria „Pro-Arte” Zielona Góra

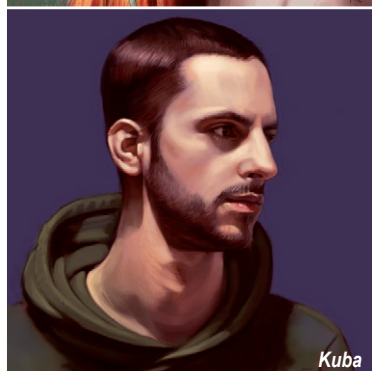
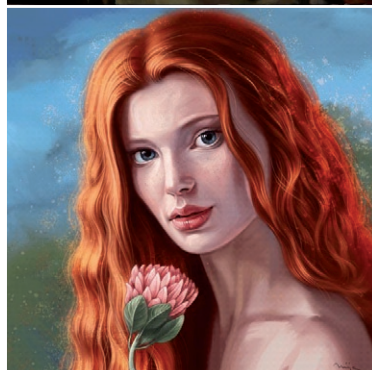
2016 - Życie artystyczne Zielonej Góry w latach 1945-2016, Galeria BWA Zielona Góra

2017 - Salon Jesienny - Galeria BWA Zielona Góra

2019 - Salon Jesienny - Galeria BWA Zielona Góra



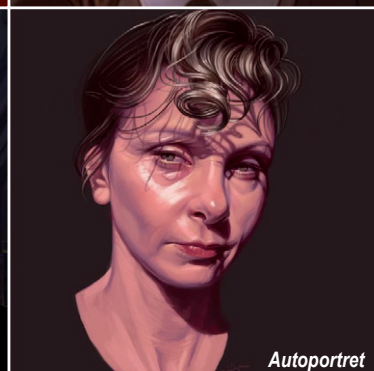
Anna Bembenek (z domu Karauda) urodziła się w 1972 roku w Krasnymstawie. Dzieciństwo spędziła w rodzinnym domu przy ulicy Kilińskiego. Już w wieku szkolnym przejawiała zdolności plastyczne, a zamiłowanie do malarstwa ugruntowały lekcje znanego w środowisku artysty malarza Edwarda Godlewskiego. Po ukończeniu Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie podjęła studia w Instytucie Kultury i Sztuki Plastycznej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Miała okazję pracować pod kierunkiem m.in. profesorów Jana Berdyszaka i Stanisława Kortyka. W Zielonej Górze poznała męża Andrzeja i tam osiedliła się na stałe. Zawodowo zajmuje się grafiką 2D i 3D, a ostatnio pasjonuje ją portretowe malarstwo cyfrowe. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków. Ma na swoim koncie nagrody i wiele wystaw.



Kuba



Andrzej



Autoportret



mal. Anna Bembenek